

PROF. JERZY BRALCZYK
SŁOWA, KTÓRE BUDZĄ STRACH

ANNA GORNOSTAJ
WŁASNY SPOSÓB NA TEATR

JAKUB DYMEK
PRZESADNA WIARA W SANKCJE

JÓZEF DAROL
– ZAPOMNIANY ZA ZASŁUGI

Pull up, pull up, pull up...

ODLOTY MACIEREWICZA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311201



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

**Uciekły przed wojną, ale nadal
są narażone na krzywdzenie**

**Chrońmy dzieci
w kryzysie uchodźczym**

standardy.fdds.pl



Jazda bez hamulców

Cynizmu mogą uczyć się od nich najwięksi oszuści i manipulatorzy. Od 12 lat PiS prowadzi makabryczną grę z Polakami. Trumny smoleńskie traktuje jak kartę wyborczą. Z powodzeniem. Udało się na tym wygrać po dwa razy wybory parlamentarne i prezydenckie. Próbuje więc po raz kolejny. Prezes Kaczyński wyciągnął z przechowalni Macierewicza, który w głoszeniu bredni jedzie bez hamulców. A gdy został dodatkowo zachęcony przez Kaczyńskiego, z jeszcze większą mocą powtórzył stare kłamstwa. Ale Macierewicz jest tylko narzędziem. Tragiczną katastrofą pod Smoleńskiem manipuluje osobiście Kaczyński. I robi to bez skrupów. Tak, by mieć z tego jak największe korzyści polityczne. Wbrew stwarzanym przez niego pozorom, po 12 latach w „operacji zamach” nie ma już żadnych emocji. Jest tylko chłodna, cyniczna kalkulacja. Socjotechnika ogłupiania. I przekonanie, że w kłamstwa po wielokroć powtarzane prędzej czy później ludzie muszą uwierzyć. Siła propagandy rośnie, a rozumu maleje. Prawdziwy raj dla szalbierzy. Za nieprzestrzeganie procedur w lotnictwie płaci się życiem pasażerów i własnym. A nieprzestrzeganie zasad w polityce pozwala rządzić i kraść na potęgę.

Nie jest to oczywiście pierwszy przypadek budowania mitu wokół katastrofy lotniczej. Od katastrofy w Gibraltarze, w wyniku której śmierć poniósł gen. Sikorski z grupą współpracowników, minęło już 79 lat. A jeszcze niedawno katowicki oddział IPN badał ją jako... zbrodnię komunistyczną. Po kolejnych ekshumacjach ofiar wypadku, wyjazdach i wydaniu kasy wykluczono, że był to zamach.

Czy taki będzie los kłamstwa Macierewicza? Ile lat będziemy czekali na potwierdzenie, że katastrofa pod Smoleńskiem, najlepiej przebadana katastrofa lotnicza w historii, była nie zamachem, ale tragicznym w skutkach splotem bałaganu, niekompetencji i wywierania presji na pilotów? I że kolejne występy Macierewicza faszerującego Polaków bredniami są tylko cynicznym zabiegiem mieszącym ludziom w głowy? Bo a nuż uda się zbudować między Polakami jeszcze jeden mur. I zepchnąć przeciwników tej władzy do narożnika. Nazwać zdrajcami, renegatami i pachotkami Putina. Taki mają pomysł na potężny, bardzo emocjonalny i dewastujący psychiki ludzi podział. Na dziesięciolecia. Całkowicie bezsensowny. Bardzo kosztowny społecznie. Potwierdzający, że nie potrzebujemy wroga zewnętrznego, bo sami dla siebie potrafimy być najgorszymi wrogami.

Podaruj bliskim książkę PRZEGLĄDU

2+1 GRATIS

Kup 2 książki, a trzecią – „Dąbrowszczacy” otrzymasz w prezencie

Promocja do końca kwietnia!

Rabaty do -30%

sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

RAFAŁ MATYJA, politolog,
Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie
*Nie lubię mówienia, że toczymy wojnę,
bo jej nie toczymy. Polacy nie giną,
na nasze miasta nie spadają bomby.*
„Tygodnik Powszechny”

ANNA DYMNA, aktorka
*Czasem trzeba tylko przypomnieć:
„Kurde, człowieku, przecież ty dobry jesteś”.
„Viva!”*

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Operacja Smoleńsk 2.0**
Ta hucpa została starannie zaplanowana
- 10 Jakby pluął mi w twarz**
– rozmowa z Pawłem Dereszem
- 12 Jak Ordo Iuris płodu broniło**
Absurdalny proces w sprawie aborcji
- 50 Święta w koszu**
– rozmowa z Beatą Cieptą

OPINIE

- 14 Jakub Dymek**
Mity o sankcjach

WOJNA W UKRAINIE

- 18 Deklasacja dronem**
Nadchodzi rewolucja

ZAGRANICA

- 20 Kto na nowo zjednoczy Francuzów**
Przed drugą turą wyborów
- 23 Monarchia pozorów**
Arabia Saudyjska łamie prawa człowieka
- 26 Migrant w mundurze**
Brakuje chętnych do armii
- 30 Oliwa nie zawsze sprawiedliwa**
Włochy walczą z fałszowaniem oliwy

KSIAŻKI

- 29 Buta u władzy**
„Delirium władzy” Krzysztofa Mroźewicza

HISTORIA

- 32 Jak udowodnić zamach**
Ekshumacja szczątków gen. Sikorskiego
- 36 Hej, sokoły**
Kozacy – rozbójnicy i żołnierze

SYLWETKI

- 40 Ludożerca, tyran i Żyd**
Zasłużony i zapomniany Józef Darol

KULTURA

- 44 Jak jeden dzień**
– rozmowa z Anną Gornostaj
- 46 Kłamstwo to nie żarty**
Prof. Bralczyk o strasznych słowach
- 49 Culturalia**
- 66 Ciało nieobce**

OBSERWACJE

- 54 Oponka**
Przyroda nie pozbywa się tłuszczu

PSYCHOLOGIA

- 58 Od fantazji do czynu**
– rozmowa z Katarzyną Kucewicz

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Jazda bez hamulców
- 17 Jan Widacki**
Palma, brzoza i arcybiskup
- 39 Roman Kurkiewicz**
Gruby był
- 53 Tomasz Jastrun**
Ale zamach
- 57 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Jak sobie pomóc,
czyli przewodniczek dla opornych



30
ZAGRANICA

OLIWA NIE ZAWSZE SPRAWIEDLIWA

Włochy walczą z fałszowaniem oliwy

44
KULTURA



JAK JEDEN DZIEŃ

– rozmowa z Anną Gornostaj



54
OBSERWACJE

OPONKA

Przyroda nie pozbywa się tłuszczu

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI,
MAREK KUDELSKI/SUPER EXPRESS/EAST NEWS





f Kto za to zapłaci?

Wydatki na zbrojenia zawsze uderzają w najbiedniejszych, a szczególnie w kobiety i dzieci.

Waldemar Witkowski

A kto cierpi, gdy wydatki na zbrojenia są niskie?

Kobiety i dzieci! Utopijna wizja świata sprawiedliwego dla wszystkich, równego traktowania i szacunku runęła właśnie za sprawą naszych sąsiadów, którzy jak zawsze, wyczuwając słabość Zachodu, ruszają z natarciem.

Artur Pie

Obawiam się, że spirala zbrojeń i przygotowania do wojny są nieuniknione, bo taka jest już natura ludzi i ludzkości. Parcie do konfliktu zbrojnego jest instynktowne i zakorzenione w naszych małych mózgach. Przez tysiące lat ewolucji człowieka mieliśmy do dyspozycji tylko kije i kamienie, względnie pochodnie do realizacji tych tendencji. Teraz mamy broń masowego rażenia, ale mentalność podobną do niegdyśiejszej. Dlatego oczywiście musimy krzawić humanizm, żeby nie staczać się w stronę barbaricum, w którą naturalnie grawitujemy.

Krzysztof Leszmań

Polska nie musi wydawać 3% PKB na zbrojenia ani mieć 300-tysięcznej armii. To populizm i absurd! Taka polityka nie poprawi bezpieczeństwa Polski, a tylko przyczyni się do problemów gospodarczych i zubożenia tysięcy Polek i Polaków.

Paweł Stawicki

Gdyby Ukraina nie miała dobrej armii, to już byłoby po wojnie i po Ukrainie – warto obserwować i wyciągać wnioski. Nawet uzyskanie jakiegos wsparcia jest rozciągnięte w czasie, co doskonale widać na przykładzie pomocy Europy i sankcji. W tym czasie trzeba jakoś się bronić, więc armia być musi.

Dariusz Nożyński

f Czy Polska powinna mieć broń atomową?

Ja bym najpierw proponował publiczne toalety, połączenia autobusowe i kolejowe albo program mieszkaniowy dla młodych.

Andrzej Młynarczyk

Część polskich elit politycznych przerasta ta kwestia. W swojej głupocie, zaciętrzewieniu mogliby ściągnąć na Polskę masę problemów. Absolutnie nie!

Damian Paweł Strączyk

Już mieliśmy magazyny radzieckich głowic atomowych w Podboresku, Brzeźnicy oraz Pstrążu. Co nam to dało? Kiedy „bohater” Kukliński zdradził lokalizację ważnych obiektów militarnych, automatycznie stały się celami dla głowic NATO. Dziś takie obiekty stałyby się celami dla głowic rosyjskich. Czy więc Polsce potrzebna broń atomowa? Absolutnie nie. Po pierwsze – nie stać nas na jej stworzenie i utrzymanie w zadowalającym stanie gotowości. Po drugie – po co? Odstraszać Rosję? Jak wykazała polityka handlowa Rosji z UE, Polska przestała być ważnym węzłem komunikacyjnym dla handlu. Można po prostu ją ominąć. Po trzecie – biorąc pod uwagę, kto nami rządzi, niezależnie od opcji politycznej, strach zostawiać Polakom broń masowej zagłady. Jak to ujął Bismarck, „dajcie Polakom rządzić, a sami się wykończą”. Ta broń byłaby zatem tylko na użytek wewnętrzny.

Michał Czarnowski



ZDJĘCIE TYGODNIA

Jedno ze zdjęć z nagrodzonego na World Press Photo reportażu brazylijskiego fotografa Lala de Almeidy. Sklep mięsny w Vila da Ressaca, miejscowości na terenach, gdzie wydobywano złoto. Teraz ten obszar jest niemal zupełnie opuszczony.





PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego Polacy nie ufają mediom?

PROF. JANUSZ ADAMOWSKI,
*działek Wydziału Dziennikarstwa,
Informacji i Bibliologii UW*

Jednym mediom ufają, a drugim nie. Media podchwyciły podział polityczny naszego społeczeństwa i zazwyczaj przemawiają wyłącznie do swoich audytoriów, co zniechęca całą resztę – to po pierwsze. Po drugie, bardzo spadła pozycja społeczna i ranga dziennikarzy, co ma związek z wyraźnym spadkiem przeciętnego poziomu kompetencji przedstawicieli tego zawodu. Trzecim powodem ograniczonego zaufania do tradycyjnych mediów jest rozwój mediów społecznościowych. Opinie komentatorów mających setki tysięcy obserwujących częściej osób automatycznie uważa za bardziej wiarygodne niż opinie dziennikarzy, przeważnie znacznie mniej popularnych.

RYSZARD BAŃKOWICZ,
przewodniczący Rady Etyki Mediów

Jedni Polacy nie ufają mediom dlatego, że uważają je za stroniczne,

by nie powiedzieć często mijające się z prawdą. Drudzy ufają tylko „swoim” mediom. Są też ludzie, którzy np. kupują dany dziennik nie dlatego, że mają głębokie przeświadczenie, że można polegać na publikowanych tam informacjach, ale po to, by się przekonać, że w swoich poglądach nie są sami. Podział na wzajemnie wykluczające się bańki społeczne znajduje odzwierciedlenie w poczytności, oglądalności i słuchalności poszczególnych mediów – ci z jednej bańki z założenia nie ufają środkom masowego przekazu związanym z pozostałymi. Co nie znaczy, że ufają „swoim”, ale przynajmniej manifestują przed samym sobą, do której grupy przynależą. Myślę, że ograniczone zaufanie do mediów nie jest tylko polskim zjawiskiem. W epoce fake newsów rozpowszechnianych przez wszystkie strony sporów, w tym przez „naszych”, czytelnik, słuchacz i telewizor nie może być pewny prawdziwości informacji, z którymi styka się na co dzień.

ANDRZEJ SKWORZ,
redaktor naczelny „Press”

Dziennikarze i media nie mają łatwego życia w kraju, w którym co trzeci obywatel im nie wierzy, za to ufa władzy i pozytecznym idiotom Putina wmawiającym, że Donald Tusk z Angelą Merkel są winni zmianom klimatycznym oraz wojnie w Ukrainie i inflacji. Brak zaufania do wolnych mediów i wiara w chore wizje autokratów to dwa oblicza tego samego problemu. Internet mógł być krynicą mądrości dla społeczeństw, ale stał się skażonym źródłem mitów, teorii spiskowych i antynaukowych bzdur. Efekty widzimy w Rosji, na Węgrzech i w Polsce, a wkrótce pewnie i we Francji. Łatwość, z jaką społeczeństwa poddają się rosyjskiej, węgierskiej, Kurskiej czy Rydzyskiej propagandzie, powinna być dla Unii Europejskiej ostatnim sygnałem ostrzegawczym. Wolność słowa i niezależne media nie obronią się same.

Not. Michał Sobczyk

Operacja Smoleńsk 2.0

Ta hucpa została starannie przygotowana.
To część wielkiego planu

Robert Walenciak

Jeszcze pół roku temu wszelkie wiadomości o raporcie podkomisji Macierewicza były w kierownictwie PiS pomijane. A on sam był synonimem obciachu, w hierarchii politycznej partii rządzącej spychano go coraz dalej. Jego tezy, że w samolocie były wybuchy, że rozpadł się, zanim dotknął drzew, były traktowane jako fantazje emeryta. Nawet członkowie rodzin smoleńskich sugerowali, by poddał się leczeniu. Podkomisja, którą kierował, de facto nie działała. Jej członkowie otwarcie krytykowali Macierewicza, za co on ich wyrzucał. Od jego teorii dystansował się sam Jarosław Kaczyński, a telewizja publiczna kasowała go ze swoich programów.

Co nagle się stało, że tezy Macierewicza, te same, które opowiada od co najmniej dwóch lat, wówczas wyśmiewane, dziś okrzyknięto wielkim odkryciem, a Jarosław Kaczyński ogłosił, że był zamach i była bomba? Przecież i on, i Macierewicz dokładnie wiedzą, że żadnej bomby w samolocie Tu-154 nie było. Że opowieści o zamachu nie trzymają się kupy. Że tych wersji, często wykluczających się, było już kilkanaście. Najnowsza głosi, że piloci nie chcieli lądować (choć lądowali) i że na 100 m przed słynną brzozą (pancerną, jak mówią w PiS) eksplodował ładunek umieszczony w skrzydle. Potem, już bez skrzydła, samolot leciał dalej, przez sześć sekund. Piloci zresztą tego nie zauważyli, kontynuowali manewr zniżania. Potem nastąpił drugi wybuch, wtedy samolot rozpadł się na kawałki, choć na taśmie z czarnej skrzynki tego nie słychać. Aha, te bomby miały zostać podłożone jesienią 2009 r., gdy samolot był remontowany w Samarze. Czyli Rosjanie założyli, że przez pół



Raport Macierewicza, który był wstydliwie chowany, 11 kwietnia zyskał rangę świętej prawdy.

roku samolot będzie latał z podłożonymi ładunkami wybuchowymi i nikt ich nie znajdzie. I że z dwóch tupolewów, którymi wożono VIP-ów, do Smoleńska polecą ten z bombą.

Tak można się znęcać nad bzdurą i zastanawiać się, jakim trzeba być hucpiarzem, by te kłamstwa wciśkać ludziom. Rzecz w tym, że nie o to chodzi.

Zwróćmy uwagę, jak cała operacja została przez PiS przygotowana. Jak wcześniej urabiały nas media związane z partią Kaczyńskiego. „Czy ktoś jeszcze ma wątpliwości, że Putin mógł zorganizować ten zamach?”, grzmiały dwa-trzy tygodnie temu okładki piśmowskich czasopism. Oto więc była ta nowość – Rosja zaatakowała Ukrainę, Putin w polskich oczach pokazał twarz zbrodniarza. A skoro może teraz, to czy nie mógł wtedy?

To chwyciło. Wielu Polaków zaczęło zadawać sobie pytanie, czy Putin był zdolny do zlecenia zamachu. No, był. Czyli... Kaczyński ich

wahanie wyczuł znakomicie. Rozpoznanie bojem przyniosło pozytywną odpowiedź, więc rozpoczął medialną ofensywę. „My w tej chwili bardzo dużo wiemy o tym, co się stało w Smoleńsku, nie mamy wątpliwości, że to był zamach”, przekonywał w „Sygnałach Dnia”.

A jeżeli nie ma wątpliwości, to wszystko jasne, można dać ludziom nawet raport Macierewicza. Ten sam raport, który rok temu był wstydliwie chowany, teraz zyskał rangę świętej prawdy. I tylko trzeba było zrobić wokół tego wielkie halo.

No i zrobiono. 10 kwietnia mieliśmy manifestację w Warszawie. A 11 kwietnia Antoni Macierewicz zaprezentował swój raport. Opowiadał z pasją, przedstawiał „dowody”. Potem rozlała się propaganda.

„Gazeta Polska Codziennie” językiem chropawym, jakby z innej epoki, tak wyjaśniała katastrofę: „Głównym i bezspornym dowodem ingerencji Rosji był wybuch

w lewym skrzydle samolotu przed minięciem brzozy. Komisja zlokalizowała miejsce i czas eksplozji. Następna eksplozja nastąpiła w centropłacie – powiedział wczoraj Antoni Macierewicz podczas prezentacji ostatecznego raportu z prac podkomisji ds. ponownego zbadania wypadku lotniczego pod Smoleńskiem. Jednocześnie podkreślono, że raport komisji Jerzego Millera z 29 lipca 2011 r. zostaje uznany za nieważny.

Przez lata pewne siły polityczne robiły wszystko, aby ośmieszyć i zaszczuć osoby, które odrzucały tłumaczenie przyczyn katastrofy smoleńskiej forsowane w słynnych już raportach Jerzego Millera i Tatiany Anodiny. Wczoraj ostatecznie zadano kłam tamtym wnioskom”. Bum!

Tygodnikowa wersja „GPC” wykladała kawę na ławę: „Narzędzie zbrodni? Ładunek termobaryczny, czyli klasyczne materiały wybuchowe wzbogacone w paliwo. Ślady? Pozostałości substancji eksplozywnych i charakterystyczne zniszczenia samolotu. Sprawca? Rosyjskie służby specjalne, które remontowały samolot Tu-154, a następnie przejęły śledztwo i niszczyły liczne dowody. Motyw? Chęć likwidacji polskiej elity, która w 2010 r. – podobnie jak dzisiaj władze Ukrainy – stała na przeszkodzie w realizacji imperialnych planów Kremla. Poszlaki? Sfałszowane sekcje zwłok, »samobójstwa« świadków, tajne rozmowy”.

Michał Karnowski w swoim portalu wPolityce.pl zamieścił z kolei taki

wpis: „Lech Kaczyński poległ, byśmy nie ginęli jak dziś Ukraińcy. Zginął, bo rozumiał, że za polityczne zdrady narody płacą krwią”.

Ja zaś rozumiem, że czytanie tych głupot i kłamstw czy słuchanie komentarzy na temat tego, co Macierewicz „wykrył”, może co wrażliwsze osoby przyprawiać o ból głowy, ale taki jest pisowski świat. I nic nie dzieje się w nim przypadkowo.

Spór o to, jak wyglądała katastrofa smoleńska, nie jest przecież sporem o fakty czy nawet o ich interpretację. Fakty nic tu nie znaczą. Ważna jest atmosfera. Uznanie jakiegoś mitu i wyciągnięcie z tego wniosku.

Jakiego? A to już odpowiedział Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla PAP: „W sensie faktu, że był zamach, i że to była przyczyna katastrofy oraz śmierci 96 osób, w tym prezydenta Polski, a dla mnie brata bliźniaka, nie mam żadnych wątpliwości. Do ustalenia na poziomie procesowym jest jeszcze tylko to, kto za to odpowiada. Tutaj jest jeszcze praca do wykonania”.

Czyli był zamach i teraz szukamy winnego. A właściwie wiadomo, kto jest winien, wiadomo, kto był współnikiem winnego, kto ukrywał prawdę. I teraz – tak Kaczyński to opowiada – choć nie mamy dowodów procesowych, trzeba sprawę doprowadzić do końca. Przez prokuraturę, która niestety „się opóźnia”. Albo, już bez opóźniania, wskazując tych winnych palcem. Tusku, drżj!

• „W istocie walka idzie o to, ile procent Polaków uwierzy w teorię PiS. Z tego będą płynąć polityczne konsekwencje” – to słowa Aleksandra Kwaśniewskiego. Zresztą bardzo powściągliwe. Chyba nieoddające grozy intencji Kaczyńskiego.

Otóż zamierza on wokół katastrofy smoleńskiej stworzyć alternatywną rzeczywistość. Wmówić większości Polaków swoją wersję, innych zstraszyć, zaszantażować patriotycznie. Bo kto stał na drodze do pełnego wyjaśnienia przyczyn katastrofy? Kaczyński odpowiada: „Cała ta akcja po Smoleńsku była w istocie wielkim dziełem agentury rosyjskiej”. Czyli przed ujawnieniem prawdy o Smoleńsku drżała rosyjska agentura. Plus ci, którym grożą z powodu niedopażeń i błędów popełnionych przy organizowaniu wizyty potężne wyroki. Wszystko już jasne...

Wszyscy jesteśmy uczestnikami wielkiej socjotechnicznej operacji. Chyba największej w historii III RP. Wmawia się nam kłamstwo na temat katastrofy smoleńskiej. Czy ta operacja, na pierwszy rzut oka szalona, ma szanse powodzenia?

Jak najbardziej ma. W dzisiejszych czasach można ludziom wmówić bardzo wiele. Żeby daleko nie sięgać – Władimir Putin wmówił przecie Rosjanom, że napaść na Ukrainę to operacja specjalna, szlachetna, w której dzielni rosyjscy żołnierze wyzwalają Ukraińców z nazistowskiej niewoli. I kto nie popiera „naszych chłopców”, ten jest wrogiem ojczyzny. Proszę bardzo, 80% Rosjan popiera Putina. Fotografują się z literą Z albo białymi wstążkami. Wierzą, że w Buczy była nazistowska inscenizacja.

W Polsce Kaczyński chce mniej. Ewidentnie zafascynowany jest możliwościami wmawiania ludziom kłamstwa, tego, że żyją w jakiejś innej rzeczywistości. Wykreowania jej. Ale też nie jest jeszcze Putinem. Nie musimy chodzić z literą Z ani unikać słowa wojna. Wystarczy, że uznamy, że był zamach. Bo – jak mówi Mateusz Morawiecki – chyba wszyscy już się przekonali, chyba nie ma wątpliwości. Uznajmy to, żeby Polaków już nie dzielić. Praca podkomisji ▶

Katastrofa czy zamach?

Kwiecień 2018:

Z badania Kantar Millward Brown na zlecenie „Faktów” TVN i TVN 24 wynika, że 26% Polaków uważa, że katastrofa smoleńska była wynikiem zamachu. W roku 2017 tak uważało 18% ankietowanych.

Jednocześnie zmniejszył się odsetek badanych, którzy za przyczynę katastrofy uznają wypadek – w sumie jest to 59% badanych (o 6 pkt proc. mniej niż w roku 2017).

Kwiecień 2022:

Pracownia Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl przeprowadziła badanie, w którym pytano: „Czy bierze Pani/Pan pod uwagę możliwość, że katastrofa polskiego samolotu w Smoleńsku z 10 kwietnia 2010 r. mogła być wynikiem celowego działania osób trzecich, np. zamachu?”. 48% badanych „zdecydowanie” lub „raczej” bierze pod uwagę, że przyczyną katastrofy był zamach. Z kolei 33% badanych odrzuca taką możliwość, a 19% nie ma zdania w tej sprawie.

► Antoniego Macierewicza była przecież prowadzona wzorowo.

A gdy uznamy, że był zamach, czy to w imię jedności, tak potrzebnej w wojennych czasach, czy dla świętego spokoju, żeby już się nie kłócić, czy z grzeczności (jak chce, niech tak sobie mówi, to i tak bez znaczenia), to nie będzie koniec, ale dopiero początek. Początek pisowskiego matriksu.

Bo będziemy musieli uznać, że Polska dzieli się na patriotów i zdrajców. W tej czarno-białej dychotomii patriotą był Lech Kaczyński, który powstrzymywał Putina, był zaporą wobec jego ekspansji i dlatego musiał zginąć. Jego śmierć nie była więc przypadkowa – to było skrytobójstwo, zdrada.

Zdrajcą zaś był Tusk, zresztą nie tylko on, ale także ci wszyscy, którzy „wysługiwali się” a to Rosjanom, a to Niemcom, a to Europie, a w Lecha Kaczyńskiego wątpili. I wątpili w wersję zamachu.

Jarosław Kaczyński, jeżeli postuchamy jego wynurzeń, wobec tych wszystkich ludzi chce postąpić szlachetnie i sprawiedliwie. Oddzielić rosyjskich agentów od tych, którzy albo błądzili, albo ulegli presji środowiska, sprzedajnych mediów itd. Dla agentów ma sąd, tam jest ich miejsce. A tym uczciwym, ale błądzącym – czyli nam, bo przecież nie jesteśmy rosyjskimi agentami – podaje rękę, daje szansę rehabilitacji.

Wiele nie wymaga. Wystarczy, że uznamy bohaterstwo Lecha Kaczyńskiego (dlatego by nie uznać, tragiczna przecież była jego śmierć), no i nie będziemy przeszkadzać w osądzeniu agentów i wrogów ojczyzny (kto broniłby agentów?). Bo

wobec nich litości nie będzie. Zresztą tę twardość Kaczyński zapowiada w wywiadzie dla PAP.

Pada pytanie: „Jaka jest odpowiedzialność polskich władz państwowych z premierem Donaldem Tuskiem na czele, MON, odpowiedzialność komisji badającej katastrofę? Czy ta odpowiedzialność powinna być rozszerzona?”.

Odpowiedź: „To jest kwestia, która musi być ostatecznie w trybie procesowym wyjaśniona. Co do odpowiedzialności politycznej, moralnej, to tutaj nie ma żadnych wątpiwości. Jest pytanie o odpowiedzialność dalej posuniętą. Mówię to ja jako obywatel i jako prawnik – wydaje mi się to rzecz dość oczywista. Ważne jest, żeby w tej chwili widzieć coś innego. To, że nasi przeciwnicy z tamtych czasów, dzisiaj dość cienko piszcący, sprzeciwiają się temu, co zostało w raporcie powiedziane, to jest oczywiste, biorąc pod uwagę ich interesy różnego rodzaju. Dobrze, żeby był przez społeczeństwo zrozumiany sens takiego domagania się, żeby sprawa katastrofy smoleńskiej została zamknięta. Sens jest taki: Rosja ma prawo zlikwidować polską elitę, jeżeli jej się tak podoba, a polskie państwo ma nie reagować – taki jest sens tych żądań, (...) i to jest postawa, którą można określić jako antypaństwową w najbardziej skrajnym tego słowa znaczeniu i trzeba o tym pamiętać”.

W ten sposób Polska podzielona zostanie na patriotów, tych wyższych moralnie, co zawsze mieli rację, i tych, którzy będą sądzeni. Tuskowców, postkomunistów itd. I PiS będzie miało w kieszeni nie tylko najbliższe wybory, ale jeszcze kilka kolejnych.

Czy Polacy dadzą się na to złapać? Czy wejdą w zmyśloną rzeczywistość? Chciałoby się rzec, że Kaczyński tym razem przeszarżował, że matrix będzie matriksem, że nie damy się złapać na kłamstwa, nie wpadniemy w prymitywne pułapki. Że Polacy są na takie rzeczy uodpornieni. Może jesteśmy uodpornieni, ale najpierw proponuję poczekać na wyniki sondaży...

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Robert Walenciak

Widział pan konferencję, podczas której Antoni Macierewicz prezentował raport swojej podkomisji?

– Jestem pod wrażeniem, jak można grać zmyśleniami, kłamstwami. Jestem pełen podziwu dla Macierewicza, że potrafi tak kłamać. Jest w tym mistrzem.

Słuchał go pan i...

– I czułem się, jakby ktoś pluł mi w twarz. Taka to była konferencja! Przede wszystkim kłamstwem jest to, że były jakiegokolwiek wybuchy. Wszystkie poważne instytucje na świecie twierdziły, że żadnego wybuchu nie było. Badano wrak, badano ciała – na 700 próbek tylko na trzech były obecne cząsteczki materiałów wybuchowych. Ale minimalne – to mógł być np. ślad od broni funkcyjnariuszy BOR. O żadnych bombach nie ma mowy.

Trudno uwierzyć, że były wybuchy, skoro w ich wyniku odpadło skrzydło, a samolot jeszcze sześć sekund leciał, załoga niczego nie zauważyła, podchodziła do lądowania.

– Macierewicz mówił też, że nie było żadnego kontaktu z brzozą, podczas gdy wszyscy specjaliści zajmujący się katastrofami lotniczymi twierdzą, że właśnie brzoza uszkodziła skrzydło samolotu. I tak dalej... Proszę pana, za te kłamstwa on powinien być albo leczony, albo ścigany. Podejrzewam go zresztą o poważną chorobę psychiczną.

Ale w PiS go okłaskują.

– Oceniam, że raport jest pełen półprawd, niedomówień, został napisany z jedną podstawową tezą: za wszelką cenę trzeba pokazać, że był zamach. Pisany był na polityczne zamówienie. Dobierano przecież odpowiednie zespół, manipulowano odpowiednimi dowodami i odrzucono inne hipotezy związane z katastrofą, np. raport komisji Millera czy badania prokuratury wojskowej, bardzo dokładne i bardzo konkretne. Odrzucono także badania polskich instytucji naukowych. O manipulacjach, jakich dokonywała podkomisja Macierewicza, świadczą wypowiedzi jej członków, którzy sami zrezygnowali z pracy, nie zgadzając się ani



Jakby plunął mi w twarz

Konferencja Macierewicza to było kłamstwo i bezczelność

z metodologią prac, ani z otrzymywanymi wytycznymi.

Ale oni powtarzają swoje. Kaczyński to powiedział – że był zamach. I że niedługo pokaże dowody.

– To, co mówi Kaczyński, należy brać pod lupę i nie wierzyć za bardzo. Jeśli ma jakieś dokumenty, dowody, to powinien je natychmiast ujawnić. Dlaczego je chowa? Jeżeli nie chce ich pokazać – do akcji powinna wkroczyć prokuratura. Żeby je pokazać. Dobrze by było, gdyby Kaczyński sobie uświadomił, że może mu grozić więzienie za składanie fałszywych oświadczeń oraz ewentualne ukrywanie dokumentów czy faktów świadczących o popełnieniu przestępstwa. Kodeks karny, art. 276, przewiduje karę do dwóch lat więzienia za tego rodzaju działalność.

Szef PiS ma jeszcze jeden chwyt. Mówi, że wojna w Ukrainie pokazała, że Putin jest zdolny do wszystkiego. Również do zamachu w Smoleńsku.

– To, że ktoś jest zdolny do jakiegoś czynu, nie znaczy, że ten czyn popełnił. Poza tym już mówiliśmy, że żadne dowody nie potwierdzają, by w Smoleńsku był zamach.

PiS twierdzi, że Putin miał motyw – obawiał się Lecha Kaczyńskiego.

– Dlaczego miał się go obawiać? Owszem, taka jest narracja Kaczyńskiego, ale logiczne rozumowanie temu zaprzecza. Putin nie miał żadnego interesu w tym, aby pozbywać się przeciwnika, którego totalnie lekceważył i który nie mógł mu w żadnym przypadku w czymkolwiek zagrozić. Przeglądałem wyniki badań opinii publicznej z marca 2010 r., na dwa tygodnie przed katastrofą. To były wyniki konfrontacji między Lechem Kaczyńskim a Bronisławem Komorowskim. Z badań wynikało, że w pierwszej turze Komorowski uzyskał 38%, a Kaczyński 21%. Natomiast w drugiej turze Komorowski miał uzyskać 60% głosów, a Kaczyński – 38%. Myślę,



PAWEŁ DERESZ

– mąż posłanki Jolanty Szymanek-Deresz, która zginęła w katastrofie smoleńskiej

że te badania były obserwowane w Moskwie. W związku z tym Putin mógł dojść do wniosku, że po co zajmować się osobą, która popada w niebyt polityczny. Po prostu należy lekceważyć Lecha Kaczyńskiego, a nie go zabijać. Bo on nie jest żadnym konkurentem. Zwłaszcza że Lech Kaczyński nie był wybitną postacią, wybitnym politykiem.

Jak pan sądzi, ludzie uwierzą w wersję Macierewicza?

– Zatwardziali zwolennicy PiS uwierzą. Jeśli im się powiedziało, że Ziemia jest płaska – też by uwierzyli. Myślę, że cała operacja związana z konferencją Macierewicza miała na celu scementowanie pisowskiego elektoratu. Ale tego najbardziej zatwardziałego. Bo ci inni z pewnością w to nie uwierzą, to są ludzie wykształceni, potrafią racjonalnie myśleć i potrafią ocenić bzdury Antoniego Macierewicza.

Członkowie rodzin smoleńskich, tych pisowskich, wierzą w zamach.

– I ciągle będą wierzyć, bo takie już mają geny.

Członkowie rodzin smoleńskich teraz, parę dni przed 10 kwietnia, mieli spotkanie w prokuraturze. Był pan na tym spotkaniu.

– Odniosłem wrażenie, że prokuratura jest trochę zażenowana tym, że Antoni Macierewicz chce jakikolwiek raport ogłosić. Bo sama prokuratura jest jeszcze na etapie głębokiego badania wszystkiego i nie ma sprecyzowanego zdania w żadnym szczególe. Co dotyczy również tego, czy był zamach, czy nie było zamachu, jak wyglądał start samolotu, kto jest winien organizacji wizyty... Jedynym wnioskiem, do którego doszła prokuratura, było to, że nie ma w ogóle postępu we współpracy ze stroną rosyjską. I nie ma jeszcze żadnego powodu, aby oznajmić, że jest pewna czegośkolwiek z przeprowadzonych badań.

Macierewicz jest pewien.

– I on, i Jarosław Kaczyński, który znów wyciągnął go z niebytu. Może dlatego, że chce grać nie tylko kartą smoleńską, ale także zrozumiałą nawiąścią Polaków do Rosjan, a konkretnie do Putina.

Może więc o to chodzi? Może niedługo będzie tak, że gdy ktoś powie, że nie wierzy w teorię zamachu, to zaraz go okrzykną ruskim agentem.

– To jest znane powiedzenie, już powszechne w obiegu. Ten „ruski agent”. Sądzę, że wymyślił je sam Jarosław Kaczyński. Bo to on jest od wysyłania tego rodzaju insynuacji.

Czy my jako obywatele normalnie myślący będziemy w stanie obronić się przed taką insynuacją?

– Trzeba liczyć, że jednak zdrowa część naszego społeczeństwa potrafi samodzielnie myśleć. Potrafi samodzielnie wyciągać wnioski. A oprócz tego uważam, że wszyscy jesteśmy już zmęczeni tą hucpą Antoniego Macierewicza. I Jarosława Kaczyńskiego. A generalnie jesteśmy zmęczeni powracaniem do tragedii smoleńskiej. Przecież to już 12 lat minęło!

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Anna Stachowiak

Sekwencja wydarzeń była taka: w lutym 2020 r. do Justyny Wydrzyńskiej, aktywistki Aborcyjnego Dream Teamu, zgłosiła się Ania. Była w ciąży, zbliżał się 12. tydzień. Chciała ją przerwąć, ale czasu było bardzo mało. Wyjazd za granicę się nie udał – mąż zaszantażował kobietę, mówiąc, że jeśli wyjedzie z ich dzieckiem, zgłosi porwanie. Usługi pocztowe były sparaliżowane pandemią, Ania nie wiedziała, czy zamówione środki do przeprowadzenia aborcji farmakologicznej w domu przyjdą na czas. Pierwotnie po pomoc zwróciła się do Women Help Women. W tle całej sprawy jest przemoc – Ania próbowała uwolnić się od męża. To dlatego była taka zdeterminowana, by zorganizować zabieg. Kiedy zwróciła się do Justyny, ta nie wahała się – przekazała Ani tabletki do aborcji, które miała w domu. Potem już nie miały już kontaktu.

W rozmowach z mediami Justyna podkreśla dziś, że sama doznała przemocy: „Również byłam kontrolowana, doświadczyłam przemocy nie tylko psychicznej, ale też fizycznej. Kontrolowanie telefonu, podawanie hasel, posiadanie wspólnego konta i kontrolowanie wydatków, dzwonienie do pracy, dzwonienie setki razy w trakcie moich wyjazdów służbowych, krzyki i wyzwiska”.

Zasadzka

Jak się okazało, mąż Ani zawiadomił policję. Wydrzyńska została oskarżona o pomocnictwo w aborcji, a tabletki skonfiskowane. Kiedy po kilku tygodniach Ania ponownie odezwała się do ADT, powiedziała, że poroniła ze stresu. „Wyobraź sobie, że wracasz do domu z myślą, że za chwilę przerwiesz niechcianą



Jak Ordo Iuris płodu broniło

Absurdalny proces w sprawie aborcji

ciążę. W torebce masz pigułki. Otwierasz drzwi, a w środku czeka na ciebie zastawiona przez męża zasadzka: wezwany przez niego patrol policji, który konfiskuje ci leki”, opisuje sprawę ADT w swoich mediach społecznościowych.

Zgodnie z art. 152 Kodeksu karnego Wydrzyńskiej grozi kara pozbawienia wolności do trzech lat. Przepis brzmi tak: „§ 1. Kto za zgodą kobiety przerywa jej ciążę z naruszeniem przepisów ustawy, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3. § 2. Tej samej karze podlega, kto udziela kobiecie ciężarnej pomocy w przerywaniu ciąży z naruszeniem przepisów ustawy lub ją do tego

nakłania”. To ten sam przepis, którego boją się lekarze.

8 kwietnia w Warszawie odbyła się pierwsza rozprawa. Przed salą sądową Wydrzyńska mówiła: „Nie żałuję. Mam nadzieję, że ten proces coś zmieni. Bardzo bym chciała, by osoby mogły się wspierać, dzielić się tabletkami, mogły być ze sobą”. Oczywiście jest i była świadoma konsekwencji pomocy, jeśli ktoś – przemocowy partner Anny – doniósłby o swoich podejrzeniach. Ale siostronom trzeba pomagać. W Polsce, gdzie ofiarą przemocy pada okragły milion kobiet rocznie, sprawy o znęcanie się są taśmowo umarzane, kobiet nie traktuje się poważnie, a aborcja jest właściwie niemożliwa do przeprowadzenia, pozostaje liczyć na siebie. Walczyć o podstawowe prawo, jednocześnie odpierając coraz śmielsze ataki fundamentalistów. „Obrońców tradycji” – tych samych, którzy konwencję stambulską uważają za „genderowy bełkot”.

Jak naucza pismo

„To pierwsza sprawa w Europie wytoczona działaczce za pomoc w aborcji poprzez przekazanie tabletek”, pisze Aborcyjny Dream

Team. Poparcie dla Justyny wyrażają nie tylko polskie aktywistki i środowiska kobiece, ale także Międzynarodowa Federacja Ginekologii i Położnictwa oraz europarlamentarzyści/rzystki. Żądają od polskiego rządu natychmiastowego wycofania wszystkich zarzutów w stosunku do Justyny. W dzień rozprawy pod warszawskim sądem odbyła się duża demonstracja solidarnościowa – interweniowała oczywiście policja, a internet zalały hasztagi #BądźJakJustyna.

Solidarność z Justyną wyraża też amerykańskie stowarzyszenie @Catholic4Choice: „Wierzmy, że równy dostęp do pełnego zakresu praw reprodukcyjnych, w tym

bezpiecznej i legalnej aborcji, jest kwestią sprawiedliwości społecznej. Wierzmy, że te osoby, które wybierają aborcję, robią to zgodnie z czystym sumieniem. A jak naucza nas pismo: We wszystkim, co mówi i czyni, człowiek jest zobowiązany do wiernego podążania za tym, co uważa za słuszne i sprawiedliwe. Wierzmy, że miłość do bliźniego i pomaganie ludziom, gdy tego potrzebują, są kamieniem węgielnym świata i nie powinny spotykać się z kryminalizacją czy represjami”.

Tuż przed rozpoczęciem procesu – pierwsza rozprawa odbyła się w piątek, a wniosek został złożony w środę – Ordo Iuris, znane ze skrajnie antykobiecej polityki i postępowania, które rzekomo ma wspierać rodzinę i „tradycyjne wartości”, dołączyło do sprawy jako „strona społeczna”. Po co? By, jak napisano we wniosku, reprezentować „interes społeczny” i „bronić interesów płodu”. Problem w tym, że płód, o czym prawnicy Ordo Iuris muszą wiedzieć, nie jest podmiotem w rozumieniu prawa i konstytucji.

Prawnicy z organizacji Pro Abo wskazują, powołując się na akty prawne i orzeczenie Sądu Najwyższego z 26 marca 2009 r. w sprawie I KZP 2/09 („biorąc pod uwagę fakt, że ustawa karna procesowa nie pozwala przyznać statusu pokrzywdzonego innym podmiotom niż osobie fizycznej, osobie prawnej i jednostce organizacyjnej nieposiadającej osobowości prawnej, a dziecko poczęte do żadnej z tych kategorii nie należy, zasadna jawi się konstatacja, że taki status nie może być mu przyznany”), że płód nie może być pokrzywdzonym w procesie karnym i występować w nim jako strona postępowania o czyn z art. 152 § 2 k.k. oraz „nikt nie może występować w procesie karnym o pomoc w aborcji jako reprezentant płodu”. W Polsce jednak takie cuda się zdarzają.

Żadna konwencja dotycząca praw człowieka nie traktuje o interesach płodu – choć w Polsce uparcie dąży się do zmiany przepisów, czego dowodem jest np. ostatni, absurdalny projekt nowelizacji Kodeksu karnego. Chodzi o przepisy, które zrównywałyby aborcję z morderstwem – taki

projekt, przygotowany przez Fundację Pro – Prawo do Życia, skierowała w listopadzie do pierwszego czytania marszałkini Elżbieta Witek. W druku 1693, bo o nim mowa, wprowadzono m.in. nową definicję dziecka – po to, by prawnie usprawiedliwić zrównanie aborcji z zabójstwem.

Natalia Broniarczyk z ADT: „Niestety, sędzia zaakceptowała wniosek Ordo Iuris i wbrew obowiązującym przepisom uznała, że płód jako taki może mieć reprezentację w sądzie. Uważamy, że to szokujące i nazywamy to wprost: OI przyłącza się do przemocowego męża pani Ani. Mam nadzieję, że następna rozprawa, zaplanowana na 14 lipca, odbędzie się w większej sali, przy obecności wszystkich mediów zainteresowanych sprawą, że zostaną wpuszczone przedstawicielki ambasad i organizacje chroniące praw człowieka”.

Amnesty International i organizacje broniące praw człowieka nie zostały dopuszczone do udziału w rozprawie.

8 kwietnia w ostatniej chwili, nie wiadomo z jakich powodów, zmieniono salę, w której miała się odbyć rozprawa. Na dużą mniejszą – taką, w której nie zmieścili się przedstawiciele mediów.

Reprezentant Ordo Iuris mówił, że chce „wesprzeć sąd” i „reprezentować płód podczas rozprawy”. Jako „jednostkę pokrzywdzoną”. Aktywiści relacjonowali, że kiedy przedstawiciel OI przemawiał, mówił wyłączenie o „dziecku nienarodzone” i „ojcu dziecka nienarodzonego”, ani słowem nie zająknął się o kobiecie, której aborcja dotyczyła. Kodeks karny przewiduje udział organizacji społecznej w postępowaniu, o ile zachodzi potrzeba ochrony interesu społecznego lub indywidualnego. Ordo Iuris zostało zatem do sprawy dopuszczone, ale Amnesty International i inne organizacje broniące praw człowieka – już nie. Pełnomocnicy oskarżonej złożyli wniosek o wyłączenie sędzi Agnieszki Brygdyr-Doros, wybranej przez nową KRS, a więc o dość oczywistej afiliacji światopoglądowo-politycznej, oraz o wyłączenie Ordo Iuris, ale

obydwa wnioski zostały odrzucone. Na rozprawie nie stawili się świadkowie, w tym mąż Ani, zdaniem Ordo Iuris „pokrzywdzony ojciec nienarodzonego dziecka”.

Aborcja dla wszystkich

Jak podaje Aborcjny Dream Team, średnio 94 osoby dziennie otrzymują wsparcie od organizacji. Od października 2020 r., czyli momentu, kiedy Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem Julii Przyłębskiej uznał przesłankę embriopatologiczną za niezgodną z konstytucją, pomoc otrzymało ponad 30 tys. osób. Ponad 1,5 tys. osób wyjechało na zabieg w drugim trymestrze ciąży. Obecnie ADT pomaga uchodźczyniom z Ukrainy. „Nasze stanowisko się nie zmieniło – piszą działaczki. – Będziemy to

robić, bo to sprawiedliwe i potrzebne. Każda osoba potrzebująca aborcji powinna mieć do niej dostęp bez konieczności zadłużania się, bez wstydu i bez przepraszania”.

Natalia Broniarczyk: „Niezależnie od przebiegu procesu nasza praca się nie zmieni. Od teraz chcemy się skupić na pomaganiu wszystkim osobom uciekającym przed wojną w Ukrainie. Dostęp do bezpiecznej aborcji nie może zależeć od zasobów portfela, posiadanego paszportu czy powodu aborcji. Będziemy dalej wykonywać robotę państwa i byłoby miło, gdyby państwo dało nam w spokoju pracować, skoro samo nie chce dostępu do aborcji zapewniać”.

Z sondażu z listopada 2021 r., przeprowadzonego przez pracownię United Surveys, wynika, że 74,1% Polek i Polaków chce zmiany obecnie obowiązującego prawa aborcyjnego (najbardziej restrykcyjnego w Europie – poza Maltą i Watyką), z czego ponad 30% chce liberalizacji ustawy, a 42,8% – powrotu do „kompromisu aborcyjnego”. ■



MITY O SANKCJACH

Opinia publiczna i europejscy decydenci karmią się wyidealizowaną wizją sankcji gospodarczych – czym są, do czego służą i jak działają

Jakub Dymek

Im dłużej trwa wojna Putina i im więcej przerażających obrazów dociera do Europy z Ukrainy, tym większe znaczenie przypisywane jest sankcjom. Czasami wręcz magiczne. I nie jest to głos cynika albo wyłącznie kpina. Europejscy decydenci i opinia publiczna zdają się bowiem zachowywać tak, jak gdyby ekonomiczne środki nacisku na Rosję miały moc cofania czasu, przemiany umysłów i zatrzymywania kul w locie. Rzeczywistość jest jednak odległa od tego życzeniowego myślenia. Sankcje gospodarcze potrafią być potężną bronią, dotkliwą dla uderzonego. Pod warunkiem że wie się, po co i do czego chce się ich użyć.

Jak pokazuje obecna sytuacja, na Zachodzie nie ma zgody nawet co do podstawowych faktów. Czy sankcje (a także późniejsze embargo na surowce) mają doprowadzić do rozmów pokojowych? Do trwałego wykluczenia Rosji ze wspólnoty międzynarodowej? Do zmiany władzy na Kremlu? A może do energetycznotransformacji

Europy lub będą groźbą, która dotrze do Pekinu? Uzasadnienia zmieniają się regularnie i potrafią przeczyć sobie nawzajem. Na razie – jako UE i umowny „świat demokratyczny” – bardzo chcemy ostrych sankcji, nawet jeśli nie jesteśmy zgodni, jakich i dlaczego.

Historia uczy – nawet jeśli jest to lekcja trudna dziś do przyjęcia – że

gospodarcza: wzrost sankcji jako narzędzie współczesnej wojny) o genezie sankcji gospodarczych. Lub właśnie „broni” albo „blokady gospodarczej”, jak kiedyś nazywano ten instrument wojny i polityki. Książka Muldera dotyczy nie najciekawszych i najbardziej współczesnych przykładów użycia sankcji – ani zimnej wojny, ani XXI w.

Historia uczy, że sankcji łatwych, szybkich i skutecznych nie udało się wprowadzić prawie nigdy.

sankcji łatwych, szybkich i skutecznych nie udało się wprowadzić prawie nigdy. I że czasami wołanie o sankcje jest formą rytuału. Politycy i opinia publiczna krzyczą „sankcje!”, bo woła to niż milczenie w obliczu zbrodni.

Największy straszak

Pod koniec stycznia 2022 r. Nicholas Mulder, profesor uniwersytetu Yale, opublikował pracę „The Economic Weapon: The Rise of Sanctions as a Tool of Modern” (Broń

– ale właśnie początków ich stosowania na arenie międzynarodowej 100 lat temu.

Publikacja tej książki nastąpiła w doskonałym momencie. Nie tylko dlatego, że zainteresowanie sankcjami stało się powszechne, a prawie każdy uważa się za eksperta czy ekspertkę w tej dziedzinie. Opisana w niej odległa i raczej zapomniana historia dobrze pokazuje pewne pułapki czy ryzyko skrótów myślowych, w które dzisiaj wpadamy. „The Economic Weapon” uświadamia nam bowiem,

że szczególnie w ostatnich latach wytworzyliśmy sobie wokół pojęcia sankcji kilka różnych mitów i złudzeń, których wcale nie mieli sto lat temu pomysłodawcy użycia blokady gospodarczej jako narzędzia walki.

Trzy najważniejsze moim zdaniem mity opierają się na przekonaniu, że sankcje to narzędzie: łatwe i tanie,

będą rodzic chore i słabe dzieci”. Siła sankcji była dowodem nie sadyzmu czy bezduszości rządzących, ale przekonania, że wyłącznie narzędzie potworniejsze niż wojna jest w stanie skutecznie powstrzymać państwa przed wszczynaniem wojen.

Dzisiejsze myślenie o sankcjach jako o czymś prostym i tanim – co

podzielone. Jedni oceniają, że sankcje są nieskuteczne zawsze, drudzy, że „tylko” często. Zdaniem pesymistów sankcje to najbardziej skompromitowany instrument polityki w historii. Zdaniem optymistów są skuteczne, chociaż czasami na osiągnięcie założonego celu musi czekać całe pokolenie albo i dwa. Prawda jest taka, że sankcje są skuteczne, dopóki powstrzymują kraje przed pójściem na wojnę – i w historii zdarzały się takie przypadki. Mogą (i powinny!) działać jako odstraszacz – to cel, który wyznaczali ich twórcy. Gdy wojna już wybuchnie, skuteczność sankcji drastycznie spada. A czasami ich skutki są odwrotne do zamierzonych, bo izolowani dyktatorzy czy zdemoralizowane społeczeństwa godzą się na większą brutalność i przedłużanie konfliktu. (Tu często panuje ponadpartyjna zgoda między ekspertami z lewicy i z republikańskiej lub wolnorynkowej prawicy. Jedni i drudzy tradycyjnie byli sceptyczni wobec skuteczności sankcji jako narzędzia zmiany polityki wrogich czy niedemokratycznych państw. W konflikcie z nimi byli „liberalni internacjonalści” i neokonserwatyści, dwie szkoły myślenia przekonane o konieczności

Sankcje nigdy nie są bezkosztowe dla tych, którzy je nakładają.

działające skutecznie i uniwersalnie – magiczne właśnie. Prawda jest inna. Oto dlaczego wszystkie te przekonania bardziej nam szkodzą, niż pomagają w postawieniu tamy Rosji.

Mit pierwszy: tanie i łatwe jak meble z Ikea

Pierwszy mit mówi, że sankcje to rozwiązanie proste i bezkosztowe. Myślenie to podpowiada, że wystarczy nacisnąć guzik, by natychmiast odciąć gospodarkę bandyckiego państwa od dostaw surowców, światowych przepływów finansowych, rynku broni itd. Dziś, w czasach gospodarki cyfrowej, istotnie jest to łatwiejsze niż kiedykolwiek. A światowe banki oraz instytucje finansowe naprawdę mają do dyspozycji sankcje „na kliknięcie myszką”. Jest to też względnie łatwe tak długo, jak długo mówimy o uderzeniu w światowych pariasów albo stosunkowo łatwe do izolacji wyspy. Ale prawie nigdy rzeczywistość nie wygląda tak jak na tym oczyszczonym ze wszystkich komplikacji, kłopotów i niejasności obrazku.

Twórcy sankcji wiedzieli, że groźba ich użycia musi być straszna, potworna wręcz. Woodrow Wilson pisał, że sankcje powinny zdusić w państwie wolę walki, tak jak pozbawia się tlenu duszonego człowieka. Mulder dodaje, że dopóki nie powstała broń jądrowa, blokada gospodarcza i wywołany nią głód miały być największym straszakiem, większym nawet niż gazy bojowe i naloty bombowe – bronią masowego rażenia w rękach mocarstw. Politycy tamtej epoki wiedzieli, że zastosowanie sankcji ma nieść skutki sięgające pokoleń naprzód: „Pokolenia niedożywionych matek

ujawnia się w potocznym użyciu tego słowa: „sankcje na Nord Stream”, „sankcje nałożone na chińską technologię”, „sankcje Brukseli na rząd PiS” – przeczą tej logice. Albo sankcje są straszne i służą jako groźba, albo są normalnym, codziennym wręcz elementem polityki handlowej i metodą nacisku. Obie te rzeczy nie mogą jednocześnie być prawdziwe.

Oczywiście sankcje nigdy nie są również bezkosztowe dla tych, którzy je nakładają. Choć dopóki karze się w ten sposób gospodarkę małe i słabe, koszt dla światowych potęg jest nieodczuwalny. Ale blokowanie portów, zatrzymywanie ruchu handlowego, wycofywanie się biznesu, walka z przemysłem,

Sankcje są skuteczne, dopóki powstrzymują kraje przed pójściem na wojnę. Gdy wojna już wybuchnie, skuteczność sankcji drastycznie spada.

koszt zastępowania importu i inne tego typu środki też kosztują. A zdarzało się, że państwa podtrzymujące blokadę musiały dosłownie kraść towary zmierzające do obłożonego sankcjami kraju, latami trzymać je w magazynach, pilnować ich i patrolować cudze granice. Wiemy już na pewno, że zupełnie symboliczne bojkoty konsumenckie albo wycofanie się światowych marek z rosyjskiego rynku ani nie zasługują na nazwę sankcji, ani tym bardziej nie pełnią ich funkcji.

Mit drugi: skuteczne i precyzyjne jak chirurgia laserowa

Drugi mit mówi, że sankcje są skuteczne. Tu zdania ekspertów bywają

kształtowania ładu światowego przez prawo, standardy i nacisk gospodarczy ze strony demokracji).

Sankcje służące *regime change* – obalaniu dyktatur – należą do jednych z najmniej skutecznych. Udało się np. w końcu zmienić rasistowski system apartheidu w RPA, lecz przez dziesięciolecia kraj oraz jego biała elita przemysłowa i polityczna radziły sobie znośnie (a czasami bardzo dobrze) pomimo sankcji. Nie udało się zmienić systemu władzy ani obalić konkretnych przywódców czy dynastii politycznych na Kubie, w Korei Północnej, w Iranie, Wenezueli, Iraku. A przecież dokładnie to miało być skutkiem sankcji. Być może w historii współczesnej najbardziej ►

► uderzający jest przykład Iraku, gdzie aby obalić dyktaturę Saddama Husajna, po 1990 r. próbowano sankcji gospodarczych, embarga na ropę, tysięcy nalotów bombowych, izolacji międzynarodowej, sponsorowania powstań i zamachów. Ostatecznie, mimo miliardów dolarów strat dla wszystkich stron i tysięcy ofiar po

Mówi, że pozytywne konsekwencje sankcji mogą daleko wykraczać poza sferę relacji międzynarodowych czy konfliktów zbrojnych. Że ukarane społeczeństwo się zdemokratyzuje lub zbuntuje, że uda się odstrążyć inne państwa, powstrzymać je przed łamaniem prawa i naginaniem światowych reguł, że – jak dziś

krytycy sankcji podkreślali, że okrzyk ten służy także do maskowania własnej bezradności albo wypełnienia pełnej skrupowania ciszy. Gdy nie ma politycznej woli lub odwagi wypowiedzenia wojny, sankcje służą jako alibi, wytykają sceptycy. Sankcje mogą – choć w bardzo niebezpośredni sposób – dotknąć winnych różnych zbrodni, ale nie przywrócą życia zamordowanym. Nie są też z natury proporcjonalne – jak bowiem obliczyć stosunek głodu i nędzy do gwałtu i śmierci? Jak dużą zbiorowość ukarać? Na jak długo?

Gdy liderzy państw Zachodu deklarują, że sankcje powstrzymają zbrodnie, rzadko wierzą w to, co mówią. Choćby dlatego, że po wybuchu wojny niełatwo bez interwencji bezpośredniej cokolwiek powstrzymać – tym wojna się charakteryzuje, że jest obojętna wobec funkcjonujących w normalnych okolicznościach nakazów prawa i ekonomii.

Sankcje służące obalaniu dyktatur należą do jednych z najmniej skutecznych.

stronie irackiej, do obalenia Saddama Husajna konieczna była pełnoskalowa inwazja międzynarodowej koalicji pod wodzą Amerykanów.

W odniesieniu do sankcji łatwo o pomylenie dwóch kategorii: czy są dotkliwe i skuteczne właśnie. Otóż sankcje bywają – jak broń właśnie – dobre w zadawaniu strat i bolesnych uderzeń. Nikt chyba nie będzie się upierał, że sankcje „nie działają” w tym sensie. Bo powodują straty gospodarcze, prowadząc nierzadko do głodu i cofając życie ekonomiczne uderzonego nimi państwa o dziesięciolecie. Ale skuteczność polityczna, czyli osiąganie zamierzonych rezultatów przez państwa i organizacje sięgające po sankcje – to zupełnie inna opowieść.

To samo odnosi się do dzisiejszej Rosji. Jeśli celem jest trwałe osłabienie gospodarczego i finansowego potencjału Moskwy, to sankcje – szczególnie te mało spektakularne: technologiczne i bankowe – przyniosą efekty. Ale „jeśli Rosjanie odczytają te sankcje jako próbę obalenia reżimu, to prosta droga do eskalacji”, mówił niedawno Mulder w rozmowie z Politico. „Jeśli sankcje nie przyniosą skutków szybko, to często nie działają też później, ale mimo tego utrzymują się bardzo długo. A im większe różnice ideologiczne między państwami, tym mniej skuteczne okazują się sankcje”, dodał.

**Mit trzeci:
uniwersalne jak zaklęcia i panacea**

Trzeci mit nie ma podłoża gospodarczego ani militarnego. Wynika z ideologii i przekonań Zachodu.

– nakładający sankcje działają dla własnego dobra. A także moralnych lub gospodarczych korzyści.

Trudno ten mit obalać na gruncie nauki, bo samo to przekonanie jest nieweryfikowalne. Społeczeństwa dotknięte sankcjami nie są bytami odrębnymi od rządzących elit i reżimów. Nie da się zaprogramować zachowania całego narodu ani

Gdy nie ma woli politycznej lub odwagi wypowiedzenia wojny, sankcje służą jako alibi.

przewidzieć trajektorii jego rozwoju – choć rzeczywiście od lat 80. przybyło ekspertów, którzy sądzą, że mają podobną zdolność wnikań w uniwersalne prawa historii. Z tego powodu przeświadczenie, że Rosjanie zachowają się tak albo inaczej w obliczu dotkliwych sankcji, ma więcej wspólnego z astro- i futurologią niż naukami o stosunkach międzynarodowych i socjologią. Elity i systemy polityczne w Korei Północnej, Chinach i Wietnamie są względnie stałe, mimo że Zachód stosował wobec każdego z tych państw różne środki. W przypadku Rosji gospodarcza smuta w latach 90. doprowadziła nie do dalszej demokratyzacji, lecz do jej cofnięcia i zwrotu ku rządowi silnej ręki – a teraz niektórzy prorokują, że stanie się coś przeciwnego. To hazard.

Sankcje nie będą działać jak magiczne zaklęcie. Gdy świat obiegły zdjęcia z podkijowskiej Buczy, pierwszą – odruchową wręcz – reakcją przywódców Europy był okrzyk „sankcje!”. Jednak już wieki temu

Tego uczy nas historia. Sankcje nie spełniają pokładanych w nich oczekiwań. Ale ewentualne embargo na rosyjskie surowce po stronie państw Zachodu będzie zjawiskiem bezprecedensowym. Do zjawisk bez precedensu z oczywistych względów trudno zastosować lekcje historii i oparte na nich rachunki. Czy więc będzie inaczej? Na pewno. Czy lepiej? Nie wiadomo.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Z Galicji



Jan Widacki

Palma, brzoza i arcybiskup

Niedziela palmowa. Katedra wawelska. Kazanie głosi abp Marek Jędraszewski. Mówi o „kłamstwie smołeńskim”. Odrzuca ustalenia komisji Millera i prokuratury. Nie przyjmuje do wiadomości tego, co słyszała cała Polska: ostatnich nagrań z pokładu tupolewa. Odwołuje się do swojego, jak sądzi, zdrowego rozsądku. „Kto może uwierzyć, że cienka brzoza odłamała skrzydło tak dużego samolotu?”. On oczywiście nie wierzy. Arcybiskup może uwierzyć w wiele rzeczy. Nawet w swój intelekt i zdrowy rozsądek. Ale w to, co ustalono, badając przyczyny wypadku, nie wierzy. Bardziej przekonują go ustalenia komisji Macierewicza oparte na teorii pękających parówek i zgniecionych puszek po piwie. Oczywiście wolno mu. Wolno mu też bredzić, nawet od ołtarza. Korzysta ze swojego prawa w pełni, a nawet w nadmiarze. Judzi i jątrzy. Nawet w takiej chwili, gdy wobec wojny tuż za wschodnią granicą to jątrzenie i judzenie, dzielenie Polaków ma wymiar szczególnie tragiczny i groźny.

Właściwie nie powinno to już dziwić. Chrześcijaństwo, którego istotą jest miłość bliźniego, dawno już wyparowało z polskich katedr i większości kościołów. Ale na szczęście nie zniknęło. Więcej chrześcijaństwa niż w słowach i czynach hierarchów znaleźć można w działaniach rzesz wolontariuszy, w większości ludzi młodych, czy to ratujących nieszczęsnych „złych” uchodźców na granicy z Białorusią, wypychanych wciąż do lasu i na bagna, czy pomagających tym „dobrym” uchodźcom z Ukrainy.

Czy może dziwić, że polskie kościoły pustoszeją? Że laicyzacja młodego pokolenia Polaków postępuje tak szybko? Ten zaskakujący niektórych fenomen społeczny nie jest, jak można usłyszeć, dziełem szatana, który wcielił się w mitycznych neomarksistów, Żydów, masonów i innych jawnych i ukrytych wrogów Kościoła. Nie. Jest to wynik wieloletniej pracy większości polskich biskupów i dużej części polskiego duchowieństwa. Młode pokolenie patrzy na świat krytycznie. Widzi obłudę i hipokryzję hierarchicznego Kościoła. Rozmijanie się głoszonych haseł z zachowaniami ich głosicieli. Widzi butę i arogancję hierarchów, współczesnych faryzeuszów.

Gdy piszę te słowa, zaczyna się Wielki Tydzień i Wielkanoc. Obawiam się, że Polacy w kościołach zobaczą wiele grobów Pańskich z nachalną, prymitywną symboliką, bardziej polityczną i ideologiczną niż religijną. Tak naprawdę przesłaniającą istotę tajemnicy śmierci i zmartwychwstania. Wystuchają wielu kazań o tym, co wynika nie z Ewangelii, ale z poglądów politycznych i fobii kleru.

Aż się boję, co znów powiedzą w kazaniu abp Jędraszewski i jemu podobni. W najlepszym wypadku w kościołach zostanie obrzęd, ceremonia i rytuał. Chwilowe emocje, dym kadzideł i zapach topniejącego wosku świec. A przecież podobno wiara bez miłości jest jako cymbał brząca. Tych cymbałów brzącających niestety coraz więcej, ale w coraz bardziej wyludnionych kościołach. Bo gdzie ta miłość? Podobno pierwsze przykazanie każe ludziom wzajemnie się miłować – ile kazań wielkanocnych dzieliło, sączyło nienawiść? Było o gender, LGBT i innych ulubionych ostatnio tematach kleru?

W minione Boże Narodzenie stajenka betlejemską bardziej była w lesie na Podlasiu niż w którejkolwiek iluminowanej katedrze, a z zimna płakały małe Jezuski wypchnięte do ciemnego lasu przy granicy. Jak przeżyliśmy teraz Wielkanoc? Jakie mamy po świętach skojarzenia? W Ukrainie wojna. Masowe groby, tysiące bezdomnych, już miliony uchodźców. Wielu znalazło schronienie w Polsce. Setki młodych ludzi, wolontariuszy, samorządowców, ludzi dobrej woli organizuje dla nich pomoc. Zakres tej pomocy jest zadziwiający. Tysiące Polaków

przyjmuje uchodźców pod swój dach. Gromadzi dary, przekazuje uchodźcom, wozi w konwojach humanitarnych do Ukrainy. Nie-

strudzenie pracuje, poświęca swój czas, pokazując, na czym w praktyce polegać może miłość bliźniego. Przy okazji pokazuje, że jako społeczeństwo jesteśmy w stanie przyjąć nawet ponad 2 mln uchodźców, choć parę lat temu próbowano nam wmówić, że przyjęcie kilku tysięcy przekracza możliwości Polski. Widziano w nich zagrożenie dla naszej chrześcijańskiej kultury. Straszono, że przywleką jakieś nieznane choroby, pierwotniaki...

Uchodźcy są uchodźcami. Obojętne, czy uciekają przed wojną w Ukrainie, czy przed wojną w Syrii, czy też w Jemenie, czy przed zemstą talibów w Afganistanie. Są ludźmi, którzy potrzebują naszej pomocy. I nie wolno nam tej pomocy odmawiać.

Pozostaje mieć nadzieję, że ten szlachetny odruch pomocy potrzebującym nie jest tylko krótkotrwałym zrywem. A także wierzyć, że my sami nie będziemy musieli się stać uchodźcami.

Wydarzenia ostatnich miesięcy pokazały, że jest w nas wiele dobra. I nie mam żadnej wątpliwości, że lepiej, by młodzi ludzie pomagali uchodźcom, niż mieliby w kościołach słuchać kazań o brzozech i samolotach. I tak myślę, że Panu Bogu to też miłsze.

j.widacki@tygodnikprzepld.pl

**Arcybiskup może uwierzyć w wiele rzeczy.
Nawet w swój intelekt i zdrowy rozsądek.**



Drony Bayraktar TB-2
bardzo skutecznie zwalczają
ciężki sprzęt Rosjan.

Marcin Ogdowski

Deklasacja dronem

W rosyjskiej kupie pojawił się żar,
bayraktar – śpiewają Ukraińcy

Z filmów udostępnianych przez ukraińską armię można wywieść błędny wniosek – że wojna, która rozpoczęła się 24 lutego, to starcie rosyjskich pancernych kolumn z niewielkimi oddziałami piechoty, wyposażonej w wyrzutnie przeciwpancerne i drony. W rzeczywistości konflikt toczy się w znacznie szerszym spektrum, ma też bowiem charakter tradycyjnych, ciężkich lądowych zmagania formacji zmechanizowanych, wspartych potężnym ogniem artylerii lufowej i raketowej. Przekaz ukraińskiej propagandy skupia się na działaniach, w których przewaga obrońców jest wyraźna. To sposób budowania morale własnego wojska i społeczeństwa, a jednocześnie metoda na zaskarbiecie Ukrainie przychylności zachodniej opinii publicznej, rodzaj podziękowania za udzielone wsparcie materiałowe. „Nie marnujemy przekazanej nam przez Zachód broni”, przekonują Ukraińcy. Jako że ma to pokrycie w faktach, także w wymiarze strategicznym (rosyjska porażka na północy Ukrainy), zachodnie rządy w coraz większym zakresie dozbrają armię obrońców. Minął już – zdaje się, że bezpowrotnie – okres wątpliwości, czy przekazany sprzęt nie wpadnie w ręce Rosjan. Pojedyncze sztuki agresorzy oczywiście przejmują, sporo broni niszczy w trakcie walk, ale przede wszystkim dostają za

jej sprawą potężne lanie. Dosłownie i w przenośni, w postaci upadłego na dobre mitu „trzeciej armii świata” (sami Rosjanie coraz częściej przyznają, że są „drugą armią”... w Ukrainie).

Ankara drwi z Moskwy

Spory udział w tej deklasacji mają tureckie drony Bayraktar TB2, których kilkadziesiąt sztuk Ukraina zakupiła jeszcze przed inwazją. Bezlitosne dla ciężkiego sprzętu Rosjan, dorobiły się statusu kultowych – o bayraktarach powstała już piosenka, udostępniana przez dziesiątki milionów internautów z całego świata. Na cześć drona nazwanych zostało kilku chłopców urodzonych w Ukrainie po rozpoczęciu inwazji, ukraiński zaś wzbogacił się o nowe słowo, bajraktarzyć, znaczące w zależności od kontekstu gromienie Rosjan, mieszanie szyków czy sprowadzanie nieszczęścia. Najeźdźcy stają na głowie, żeby z arsenału obrońców wyeliminować groźne bezzałogowce, lecz idzie im tak sobie. Z oficjalnych danych rosyjskiego MON wynika, że Ukraina straciła już wszystkie TB2, i to kilka

razy (generalnie, gdyby wierzyć rosyjskim statystykom, armii ukraińskiej powinno już nie być, a nieliczni żołnierze walczyliby teraz bagnietami i pięściami). W rzeczywistości dowodów na liczne strącenia brak, za to wciąż pojawiają się nowe nagrania ilustrujące ataki uzbrojonych w rakiety bayraktarów. Moskwa posunęła się nawet do złożenia oficjalnego protestu w Turcji, ale w odpowiedzi urzędnicy Kremla usłyszeli, że producent dronów to prywatne przedsiębiorstwo, a do zakupów doszło przed inwazją. W tym ostatnim przypadku Turcy zadrwali sobie z Rosjan, wiadomo bowiem o co najmniej jednej dostawie uzbrojonej wersji dronów już po 24 lutego. Oraz innych transportach nieuzbrojonych minibayraktarów służących do rozpoznania. Niemal równie groźnych, o czym przekonuje film udostępniony przez Ukraińców w pierwszym tygodniu kwietnia. Jego bohaterem jest uciekający rosyjski żołnierz, spłoszony wiszącym nad nim bezzałogowcem. Wojskowy biegnie kilkaset metrów, do swoich, zdradzając ich pozycję. Próby zestrzelenia drona przez kolegów spełzają na

niczym, maszyna przekazuje lokalizację artylerii. Wkrótce cały rosyjski posterunek zostaje zlikwidowany.

W takim celu – rozpoznawania terenu i przekazywania koordynat artylerzystom – Ukraińcy używają także bezzałogowców FlyEye. To urządzenia zaprojektowane i wyprodukowane w Polsce przez ożarowską firmę WB Electronics. Pierwsze egzemplarze „latającego oka” trafiły do Ukrainy w 2015 r. i dotąd były wykorzystywane głównie przez oddziały specjalne do śledzenia ruchów wojsk separatystów w Donbasie. Przez siedem lat Ukraińcy nie stracili żadnej maszyny – ani w wyniku zestrzelenia, ani ataku radioelektronicznego – co pozwala wystawić wysoką ocenę polskim specjalistom. Czy drony okazały się równie niezawodne w pełnoskalowym konflikcie? Ukraińcy twierdzą, że tak, a Rosjanie nie przedstawili żadnych przekonujących dowodów na zestrzelenie czy przejęcie polskiego bezzałogowca. Jedno jest pewne – w rozkręcającej się drugiej fazie wojny, bitwie o Donbas, drony FlyEye będą mogły w pełni zademonstrować swoje możliwości. Warunki terenowe, inne niż w zurbanizowanej północnej Ukrainie, to idealna przestrzeń operacyjna dla czołgów i arty-

zapowiadał kupno tysiąca warmate’ów od WB Electronics, ale ostatecznie zignorował „prywaciarzy”, przekonując współpracowników, że państwowy koncern zbrojeniowy przedstawi konkurencyjną ofertę. PGZ do dziś nie potrafi zbudować takiej konstrukcji, skończyło się zatem na wspomnianej setce. Wojsko Polskie używa także kilkudziesięciu

MQ-9A Reaper – zapowiada MON. „Żniwiarze” to dronowa superliga. Te ważące z pełnym obciążeniem prawie 5 ton maszyny mogą przebywać w powietrzu przez 27 godzin. Latają z prędkością 500 km/godz. i zabierają niemal 1,5 tony bomb i rakiet. Polska chce je pozyskać w tym roku, w ramach tzw. pilnej potrzeby operacyjnej (zakup w trybie bezprzetargowym).

Do rozpoznania Ukraińcy używają bezzałogowców FlyEye wyprodukowanych przez firmę WB Electronics z Ożarowa.

małych aparatów rozpoznawczych – izraelskich orbiterów i polskich bezzałogowców FlyEye. I to w zasadzie tyle. Ale... Wiele wskazuje, że jesteśmy u progu dronowej rewolucji w naszych siłach zbrojnych. Latem zeszłego roku MON kupiło od Turcji cztery zestawy (24 maszyny) bayraktarów, z pełnym pakietem szkolnym, logistycznym i amunicyjnym. Pierwsze samoloty miały trafić do Polski w 2022 r., lecz niedawno jeden z wice ministrów obrony skorygował ów termin – będzie to przyszły rok. Nie znamy przyczyny opóźnienia, możliwe, że Turcy udostępnili moce produkcyjne Ukraińcom. Ci – w ramach

„Pilne pozyskanie MQ-9A jest związane z sytuacją za wschodnią granicą Rzeczypospolitej”, tłumaczył okoliczności decyzji ppłk Krzysztof Płatek z Agencji Uzbrojenia. Z tych samych powodów trwają rozmowy między MON a WB Electronics na temat zakupu zintegrowanych systemów obejmujących drony obserwacyjne i amunicję krążącą. Na razie ustalenia objęte są tajemnicą – z przecieków wiadomo, że potencjalna umowa opiewać ma na 1 mld zł, a dostawy zaczęłyby się jeszcze w bieżącym roku. Z już zatwierdzonych kontraktów należy wspomnieć lutową umowę z WB Electronics na 11 zestawów, czyli 44 maszyny, FlyEye.

Z kolei w grudniu minionego roku Mariusz Błaszczak podpisał wart 170 mln zł kontrakt z PGZ na 100 aparatów obserwacyjnych. Co ciekawe, dostawy mają się zacząć dopiero w 2024 r. i trwać przez trzy lata. Państwowy gigant wciąż nie ma gotowego projektu, a umowa jest de facto kroplówką i zarazem sposobem na sfinansowanie prac. Oby nie wyszedł z tego produkt podobny do podstawowego bezzałogowca najeżdźczej armii, Orłana-10. Sprzęt wart według katalogu 120 tys. dol. to składak z części, które można nabyć w sklepie fotograficznym i... znaleźć na śmietniku. „Oczy” orłana okazały się średniej jakości aparatem fotograficznym Canon (od kilku tygodni niedostępnym w Rosji z uwagi na sankcje). Za zbiornik paliwa robiła zaś... plastikowa butelka po wodzie. „Analogia w miru niet”, zwykli chwalić swoją broń Rosjanie. W rzeczy samej...

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Antoni Macierewicz zapowiadał kupno tysiąca warmate’ów od WB Electronics, ale ostatecznie zignorował „prywaciarzy”.

lerii. W wojnie manewrowej na rozległym stepie szybkie lokalizowanie nacierających ugrupowań przeciwnika to sprawa życia i śmierci.

U progu rewolucji

Doświadczenia z wojny za miedzą w sposób naturalny rodzą pytania o polskie możliwości w zakresie bojowego wykorzystania dronów. Prawdę powiedziawszy, jest z tym nawet gorzej niż przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji. Setka dronów kamikadze (tzw. amunicji krążącej) będąca na wyposażeniu naszego wojska w marcu trafiła do Ukrainy w ramach wsparcia materiałowego dla tamtejszej armii. Kilka lat temu ówczesny minister obrony Antoni Macierewicz

realizacji kolejnego kontraktu z Ankarą – mieli uruchomić montownię TB2 u siebie, ale wojna pokrzyżowała te plany. Nie da się wykluczyć, że problem z dostawami dla Polski ma charakter polityczno-techniczny – na Turcji nadal ciąży amerykańsko-kanadyjskie embargo, które obejmuje wybrane elementy wyposażenia bayraktarów. Co prawda, Turcy zapewnili, że są w stanie znaleźć własne zamienniki, ale być może mają z tym kłopoty.

Niezależnie od tego TB2 skokowo podniesie potencjał polskiej armii, i to już niebawem. Mimo opóźnień dostawy mają się zakończyć w 2024 r. Do tego czasu arsenał naszej armii wzbogaci się również o amerykańskie rozpoznawczo-uderzeniowe

Kto na nowo zjednoczy Francuzów

Pierwsza tura wyborów pokazała głównie gniew i polaryzację

Mateusz Mazzini

Jeszcze dwa tygodnie temu zaplanowane na 10 kwietnia głosowanie zdawało się czystą formalnością. Wydarzeniem, które po prostu musi się odbyć. Na zwycięstwo bezpośrednio w pierwszej turze szans nie miał nikt, ale ubiegający się o reelekcję Emmanuel Macron utrzymywał bezpieczną przewagę sondażową nad rywalami. Éric Zemmour okazał się zbyt radykalny nawet dla francuskich konserwatystów, Marine Le Pen mocno oberwała – przynajmniej wizerunkowo – w pierwszych tygodniach marca za swoje konszachty z Putinem. Obecny od pół wieku na scenie politycznej weteran lewicy Jean-Luc Mélenchon wydawał się nieatrakcyjny, a kampania Valérie Pécresse przerodziła się w jedną wielką wizerunkową klępkę.

Macron nie był przez ostatnie pięć lat prezydentem idealnym, zarzucano mu, nierzadko słusznie, odklejenie od problemów klasy ludowej, elitarność i arogancję, ale w połowie marca nie za bardzo miał już z kim przegrać. Wtedy niosła go fala wywołana inicjatywą dyplomatyczną. Był jedynym europejskim przywódcą, który regularnie rozmawiał z Władimirem Putinem. Mimo że nic tymi rozmowami nie osiągał, a Putin stale go ośmieszał, czy to ośmiometrowym stołem, czy mało dyplomatycznymi komentarzami wypowiadanymi przez Siergieja Ławrowa, liczył się sam fakt.

Rośnie i spada

Ale potem nastąpiło tąpnięcie. Sondażowe poparcie Macrona stabilizowało się w granicach 27-29%, 10 marca przebiło nawet 30%. Gwałtownie wzrosły natomiast notowania Le Pen. Sondaż portalu Politico wskazuje, że wbrew obiegowej opinii bliskość z Kremlm zupełnie jej nie zaszkodziła. 24 lutego, w dniu rosyjskiej inwazji, popierała ją średnio



17% wyborców, pomiędzy tą datą a pierwszą turą wyborów odsetek ten tylko raz był niższy, raptem o 1 pkt proc. Zamiast runąć w dół, szła w górę, aż do 23,15% zebranych 10 kwietnia.

Spadek swobodny notował natomiast Zemmour, który w tym samym okresie stracił połowę poparcia: z 15% do 7%, przy takim właśnie wyniku zostając. Podobnie wyglądały ostatnie tygodnie Valérie Pécresse (z 13% do 4,8%), przy czym ten akurat wynik nie dziwi. Cały plan na

się naprawdę interesujące przesunięcia na scenie politycznej. Jeszcze bardziej bowiem niż Le Pen zyskiwał Mélenchon: z 13% w dniu inwazji do 22% przed weekendem wyborczym (ostatecznie 21,9%). Do drugiej tury wchodzi dwoje kandydatów, i to tych, których w niej się spodziewano, z mniej więcej przewidywanym poparciem. Jednak nie byli oni w tej kampanii – i nie będą przed drugą turą – panem (lub panią) swojego losu. Tak naprawdę od początku wiadomo było, że o następnej prezydenturze

O prezydenturze zadecydują głosy trzeciego szeregu. Zarówno wśród polityków, jak i w społeczeństwie.

zwycięstwo wyborcze kandydatki Republikanów polegał na wydtubaniu sobie niszy w połowie drogi między Macronem a Le Pen. Wzrost notowań tej drugiej i stabilne poparcie dla pierwszego musiały więc oznaczać klęskę Pécresse.

Tendencja wzrostowa Le Pen wywołała panikę w obozie Macrona, a wraz z nim u połowy Europy, oczywiście tej bardziej liberalnej. Przy okazji mocno zafałszowała obraz. Bo to nie w tym miejscu dokonywały

zadecydują głosy trzeciego szeregu. Zarówno wśród polityków, jak i w społeczeństwie.

Wojna bez znaczenia

Jeszcze przed pierwszą turą dominowała teoria, że Macronowi zaszkodziła turystyka dyplomatyczna. Media, w tym polskie, pisały, że urzędujący prezydent tak się rozkoszował swoją rolą za granicą, że zapominał o własnym kraju i własnych

wyborcach. W praktyce nie prowadził kampanii, co miało osłabić mobilizację jego twardego elektoratu. Z tą tezą jest zasadniczy problem – nie ma na nią dowodów. Elektorat Macrona jest bowiem jednym z najbardziej homogenicznych we Francji. Skupia mieszkańców dużych miast, wykształconych, z klasy średniej wyższej i wyższej. W tej grupie

strony. Jeśli zatem przyjmujemy pod ręcznikową, stworzoną przez prof. Casa Muddego z University of Florida definicję populizmu jako czarno-białego konfliktu „prawdziwego ludu” ze „skorumpowanymi elitami”, zobaczymy jak na dłoni, że właśnie to miało miejsce we Francji.

Warto się przyjrzeć punktom, z których Macron, Le Pen i pozostali

Młodzi byli Macronem rozczarowani, bo z ich punktu widzenia tylko cementował status quo.

ma status niemal religijny. Innymi słowy, nikogo, jeśli chciał na Macrona głosować, nie trzeba było do tego przekonywać. A już na pewno nie za pomocą rozmów z Putinem.

Tocząca się wojna w Ukrainie odegrała w pierwszej turze znacznie mniejszą rolę, niż wielu zakładało – głównie dlatego, że nie była w ogóle ważna w kampanii. Według ostatniego dużego badania elektoratów, które francuski Ipsos przeprowadził w dniach 6-9 kwietnia, temat Ukrainy był istotny przy wyborze kandydata jedynie dla 15%. W elektoracie Macrona miał oczywiście największą siłę, jako istotny czynnik wskazało go najwięcej osób, ale wciąż był to odsetek relatywnie niski – 31%. W wypadku pozostałych kandydatów wojna była absolutnie marginalna. Liczyła się tylko dla 4% wyborców Zemmoura, dla 6% preferujących Mélenchona i dla 8% wskazujących Le Pen. Putin nikomu więc tu nie pomógł ani nie zaszkodził. Francuskie wybory rozstrzygnęły kwestie związane z życiem nie w Ukrainie czy w Rosji, ale we Francji.

Na przykład sytuacja gospodarki. Dokładniejsza analiza elektoratów pokazuje bowiem, że już pierwsza tura była głosowaniem binarnym. Z jednej strony, kosmopolityczny, otwarty, progresywny centryzm z kontrolowanymi elementami prawicy bądź lewicy: Macron, Pécresse, mer Paryża Anne Hidalgo. Z drugiej – populizm. Jak wylicza „The Economist”, 58% wyborców 10 kwietnia poparło kandydata nacjonalistycznego, otwarcie antyelitystycznego i radykalnego – z prawej bądź lewej

kandydaci startowali do wyścigu prezydenckiego. Ten pierwszy był kochany przez elity, ale obwiniany przez resztę społeczeństwa o pogarszanie się materialnych warunków życia. Krytyczni wobec niego byli zwłaszcza najmłodsi wyborcy. W listopadzie konserwatywny dziennik „Le Figaro” przewidywał, że słowem definiującym nie tylko wybory, ale i całą francuską politykę w najbliższych latach będzie *seum*, slangowe wyrażenie oznaczające coś na kształt wściekłości wywołanej frustracją. To słowo jest dzisiaj motywem przewodnim życia młodych Francuzów – odbijających się od szklanego sufitu na rynku pracy, pozbawionych zdolności kredytowej, wypychanych

wizerunku własnej partii. Najpierw, w 2018 r., zmieniła jej nazwę ze złowieszczo brzmiącego Frontu Narodowego na Zjednoczenie Narodowe. Potem zaczęła się odcinać od postulatów trudnych do przełknięcia przez mainstreamowych konserwatystów, takich jak ewentualne wyjście Francji z Unii Europejskiej.

Przez chwilę korzystał na tym Eric Zemmour, wchodząc w tę skrajnie prawicową niszę. Ostatecznie jednak jego rasistowskie galopady okazały się niewystarczające, by zdominować przynajmniej prawą część elektoratu.

Na jego tle Le Pen wyglądała niekiedy jak stonowana polityczka środka. Pozbawiony się kłopotliwych tematów tożsamościowych, ruszyła w kraj. I trzeba jej przyznać, że kampanijną pracę u podstaw wykonała znacznie lepiej niż Macron. O tym, że przesunęła się bliżej centrum, jednoznacznie świadczą dane. Według analiz francuskiego MSW na skrajną prawicę zdecydowało się głosować o 6 pkt proc. więcej wyborców niż pięć lat temu, a na prawicę głównego nurtu (czyli przede wszystkim Pécresse) o 16% mniej. I właśnie słabość Republikanów, połączona z ałecią na Zemmoura, w pełni tłumaczy finałowy wzrost notowań Le Pen w sondażach. Zbliżyła się do Macrona nie przez jego wycieczki do Rosji,

Prezydent najwyższe notowania miał w grupie powyżej 70 lat.

na przedmieścia wielkich miast przez zamożnych obcokrajowców, zmuszonych do rywalizacji o często podstawowe dobra i usługi z migrantami.

Młodzi byli Macronem rozczarowani, bo z ich punktu widzenia tylko cementował status quo. Nie ma więc przypadku w tym, że urzędujący prezydent najwyższe notowania miał w grupie wiekowej powyżej 70 lat – wśród tej części elektoratu, która w dużej mierze odbiera politykę poprzez emocje i retorykę.

Gdzie poszli młodzi?

Marine Le Pen natomiast już od kilku lat prowadziła systematyczną i skuteczną politykę ocieplania

ale dzięki sukcesywnemu odbijaniu elektoratu innym kandydatom.

Gdzie zatem poszli młodzi? Do Le Pen, ale przede wszystkim do Mélenchona. Kandydat skrajnej lewicy, który na finiszu kampanii okazał się zaskakująco biegły w nowych technologiach (emitował swoje hologramy na 12 wiecach jednocześnie), był najpopularniejszy w grupie wiekowej 24-34 lata. On i kandydatka Zjednoczenia Narodowego oferowali programy bardzo zbliżone ideologicznie, oparte na szerokiej ofercie socjalnej, gospodarczym interwencjonizmie i mniej lub bardziej bezpośrednim ograniczeniu praw migrantów. I to mimo faktu, że ich elektoraty pokrywają się tylko w najszerszych ►

► narracjach, a bardzo różnią w szczegółach. W obu grupach (według Ipsos) kluczowym czynnikiem decyzji wyborczej była siła nabywcza, istotna dla 63% wyborców Mélenchona i 69% Le Pen. W obu też kompletnie nieistotne były kwestie zagraniczne: wojna w Ukrainie i sytuacja w Europie (to drugie interesowało odpowiednio 2% i 1%). Le Pen stawiała jednak bardziej na walkę z przestępczością (istotną dla 34%, a tylko dla 4% w wypadku Mélenchona), podczas gdy kandydat lewicy kładł nacisk na nierówności społeczne (51% do 12%) oraz dostęp do usług publicznych – edukacji i systemu opieki zdrowotnej.

Dane te pokazują, że druga tura wyborów może przebiegać według kilku scenariuszy. Nie da się przewidzieć, dokąd trafi niemal 22% głosów oddanych na Mélenchona. IFOP, inna francuska sondażownia, szacuje, że 38% wszystkich głosów oddanych na kandydatów, którzy nie weszli do drugiej tury, przepłynie do Macrona, głównie ze względu na ważne dla młodszych postulatów tożsamościowe, takie jak środowisko naturalne i klimat, temat nieobecny w kampanii Le Pen. Ona z kolei może liczyć na 36% wyborców przegranych kandydatów, a 14% z tej grupy nie zamierza w drugiej turze głosować

w ogóle. Zaledwie 2 pkt proc. różnicy w przepływach to granica błędu statystycznego, sytuacja równie dobrze może być odwrotna. Wiadomo więc, że nic nie wiadomo.

Mit szklanego sufitu

Sama Le Pen liczy na przyciągnięcie sporej części elektoratu zarówno Mélenchona, jak i Zemmoura. Z tym drugim będzie łatwiej, skrajna prawica nie ma na kogo głosować poza nią, więc albo poprze Zjednoczenie Narodowe, albo zostanie w domu (co bardziej prawdopodobne). Elektorat lewicowy to już inna sprawa. Mélenchon bardzo dobrze się spisał zwłaszcza w dużych miastach, gdzie niejednokrotnie, np. w części okręgów w Tuluzie, Montpellier czy Bordeaux, pokonał nawet Macrona.

Le Pen chce tych wyborców przyciągnąć przede wszystkim postulatami ekonomicznymi, dlatego najpewniej schowa do szuflady tożsamościowe elementy swojego programu, np. zakaz noszenia muzułmańskich chust w miejscach publicznych. Dane pokazują, że te kwestie są znacznie mniej ważne dla młodych wyborców (istotne dla 9% głosujących w grupie wiekowej

18-24 lata) niż choćby klimat i środowisko (49%). A to młodzi wynieśli Mélenchona na trzecie miejsce.

Macron z kolei przed drugą turą jest w sytuacji trudnej, ale nie beznadziejnej. Jego strategia będzie powtórką z 2017 r. Chce zbudować „kordon sanitarny” wokół Le Pen, zmobilizować wszystkie prodemokratyczne siły przeciwko kandydatce skrajnej prawicy. To może jednak nie zadziałać, bo ogólny wzrost poparcia dla kandydatów populistycznych świadczy o tym, że „zagrożenie demokracji” nie jest już czynnikiem mobilizującym na tak wielką skalę jak w poprzednich wyborach. Z drugiej strony mitem jest teza o szklanym suficie Macrona. Na pierwszy rzut oka sondaże rzeczywiście mogą

Le Pen kampanijną pracę u podstaw wykonała znacznie lepiej od Macrona.

wskazywać, że nie ma skąd wziąć nowych głosów. Ale dokładniejsza analiza pokazuje co innego. Na kandydata politycznego centrum (czyli głównie urzędującego prezydenta) zagłosowało o 6 pkt proc. więcej wyborców niż pięć lat temu. Macron zwiększył więc poparcie poza swoją grupą zwolenników. Ważny jest też skład elektoratu Le Pen. Skoro doszła do wysokiego wyniku głównie poprzez przejęcie głosów republikańskiej prawicy, od której Macron nie jest wcale tak odległy, oznacza to, że jej poparcie nie jest skonsolidowane. 23% z pierwszej tury to nie jej natywny elektorat, raczej nabyty. Macron, który sukcesywnie od miesięcy przesuwają się na prawo ze swoimi postulatami, równie dobrze może w drugiej turze ten elektorat odbić.

W tej chwili nie sposób wyprorokować, jaki będzie wynik głosowania 24 kwietnia. Wszystkie sondaże dają przewagę Macronowi, ale nie większą niż 2-3 pkt proc. Oznacza to, że przygotować się trzeba na wszystko, łącznie z Marine Le Pen jako głową państwa, a co za tym idzie, wielkim wstrząsem dla całej Europy.



The advertisement features a detailed illustration of a wolf standing in a grassy field, looking towards the right. To the right of the illustration is a circular logo with the letters 'mg'. Below the illustration is a book cover for 'Księga Dżungli' by Rudyard Kipling. The cover has a bright orange background with black tiger stripes. The title 'KSIĘGA DŻUNGLI' is written in large, bold, white letters. Below the title, it says 'historia Mowgliego' and 'wydanie ilustrowane'. At the bottom of the cover is a small illustration of a person riding a tiger. Below the book cover is the website address 'www.wydawnictwomg.pl'.



Protest przed ambasadą Arabii Saudyjskiej w Londynie przeciw łamaniu praw człowieka, wojnie w Jemenie i bezkarności zabójców Dżamala Chaszukdziego, 25 października 2018 r.

Jakub Katulski

Monarchia pozorów

Arabia Saudyjska łamie prawa człowieka, choć Muhammad ibn Salman podaje się za reformatora

Prezydent USA Joe Biden, przemawiając w Warszawie, zwrócił uwagę na uzależnienie Europy od rosyjskich paliw kopalnych, które napędza maszynę wojenną prezydenta Rosji Władimira Putina. Zapowiedział też, że Waszyngton pomoże w zdwersyfikowaniu źródeł dostaw, najpewniej korzystając z sieci partnerów handlowych, potencjalnych lub obecnych. Jednym z nich jest Arabia Saudyjska.

Waszyngton od pierwszych dni wojny naciska na Rijad i inne stolice naftowych monarchii Półwyspu Arabskiego, by zwiększyły podaż ropy na rynku i pomogły tym samym w obniżeniu światowych cen surowca. Te naciski nie odnoszą jednak skutku.

Już w marcu „Wall Street Journal” informował, że następcy tronów Arabii Saudyjskiej i Abu Zabi, a de facto władcy swoich krajów, nie chcą się zgodzić na rozmowę telefoniczną z Bidenem. Choć zarówno Arabia Saudyjska, jak i Zjednoczone Emiraty Arabskie uchodzą za bliskich sojuszników Waszyngtonu,

w rzeczywistości ich relacje z Amerykanami znacząco się pogorszyły, od kiedy Donald Trump opuścił Białą Dom. Joe Biden bardziej krytycznie patrzy na politykę w arabskich monarchiach, jednak w relacjach z Rijadem kluczowe są interesy, a nie promocja demokracji.

Więzienia dla działaczy i dziennikarzy

Wśród pierwszych decyzji administracji Bidena znalazła się publikacja raportu dyrektorki Wywiadu Narodowego Avril Haines, który odpowiedzialnością za zabójstwo dziennikarza Dżamala Chaszukdziego w 2018 r. obarczył bezpośrednio księcia koronnego Muhammada ibn Salmana, stwierdzając, że ten

całkowicie kontroluje procesy decyzyjne w królestwie, w tym kwestie operacji wywiadu. Choć raport Haines opierał się na raczej słabych przesłankach i nie podawał niezbitych dowodów, nie spodobał się na dworze Saudów. Tym bardziej że w Stanach Zjednoczonych księcia Muhammada czekają procesy sądowe w sprawie stosowania tortur, więzienia osób trzecich i właśnie zabójstwa Chaszukdziego. Jeden z procesów wytoczyła mu narzęczona Chaszukdziego, Hatice Cengiz, wraz z założoną przez publicystę organizacją Democracy for the Arab World Now.

Chociaż książę Muhammad ibn Salman przeprowadził w ostatnich latach liczne reformy, przyciągnął zagranicznych inwestorów i otworzył

► kraj bardziej na Zachód, wciąż wiele do życzenia pozostawia kwestia przestrzegania praw człowieka i wolności osobistej.

Freedom House, amerykańska organizacja przygotowująca co roku raporty o stanie demokracji i wolności na świecie, za 2021 r. przyznała Arabii Saudyjskiej drugą najniższą ocenę 7 pkt na 100, niższą od ocen takich państw jak Korea Północna, Sudan Południowy czy Syria. Na niską ocenę składa się wiele czynników, choćby wolność zgromadzeń, która w Arabii Saudyjskiej

założona dwa lata temu prodemokratyczna Partia Zgromadzenia Narodowego.

Jej lider Jahja Assiri, były oficer saudyjskich sił powietrznych, z Arabii Saudyjskiej wyjechał w 2013 r. na studia; już rok później poprosił Brytyjczyków o azyl polityczny, obawiając się, że po powrocie do kraju może zostać aresztowany pod zarzutem udziału w licznych protestach. Do ubiegania się o azyl popchnęło go aresztowanie dwóch liderów Saudyjskiego Stowarzyszenia Praw Obywatelskich i Politycznych, Abdullaha

skazany na 10 lat więzienia za „obrazę islamu”. Miała nią być przede wszystkim krytyka policji religijnej na jego blogu. Badawi usłyszał od sędziego, że oprócz więzienia wymierzone zostanie mu 1000 batów, po 50 tygodniowo przez 20 tygodni. 9 stycznia 2015 r. na oczach tłumu przed meczetem w Dżuddzie został publicznie wychłostany, co spotkało się z krytyką społeczności międzynarodowej, a sam Badawi otrzymał od Parlamentu Europejskiego Nagrodę im. Sacharowa. Wymierzanie dalszej kary wstrzymano ze względu na zły stan zdrowia blogera.

W 2020 r. karę chłosty zniesiono, by dostosować saudyjskie przepisy do międzynarodowych standardów. Wciąż jednak sądy orzekają karę śmierci, w tym nieletnim. Wykonuje się ją zazwyczaj przez ścięcie głowy. 12 marca 2022 r., ledwie dzień po uwolnieniu Badawiego, dokonano egzekucji 81 osób. Część została skazana za morderstwo lub udział w międzynarodowych grupach terrorystycznych, ale inni np. za niejasne „śledzenie funkcjonariuszy publicznych”. Human Rights Watch podaje, że wśród zabitych było siedmiu Jemeńczyków, jeden Syryjczyk i 41 przedstawicieli saudyjskiej mniejszości szyickiej, która od lat jest represjonowana w zdominowanym przez sunnitów królestwie. Organizacja dotarła do dokumentów procesowych pięciu skazanych, w których ujawniono

Organizacja Freedom House oceniła, że gorzej z przestrzeganiem praw człowieka jest tylko w Korei Północnej, Sudanie Południowym czy Syrii.

praktycznie nie istnieje. Wszelkie demonstracje mogą być tłumione przez policję, a protestującym często stawiane są zarzuty na podstawie przepisów zwalczających terroryzm. Wielu aktywistów przekonało się już, że w tej kwestii nie ma żartów, a sądy skazują ich na wysokie grzywny, a w niektórych przypadkach nawet na karę śmierci.

Organizacja zwraca uwagę także na mocno ograniczoną wolność wyrażania własnych przekonań i poglądów religijnych. Ateizm może podlegać karze do 20 lat pozbawienia wolności, a niemuzułmańskim mniejszościom religijnym nie wolno swobodnie uczestniczyć w zgromadzeniach religijnych. Władze ściśle kontrolują też media, wymagając od blogów i stron internetowych uzyskania licencji Ministerstwa Informacji. Nierzadkie są przypadki aresztowania niepokornych dziennikarzy, którzy decydują się na krytykę urzędników rządowych czy dostojników religijnych. Komitet na rzecz Obrony Dziennikarzy podaje, że w 2021 r. w Arabii Saudyjskiej aresztowano 14 dziennikarzy.

W państwie Saudów nielegalne są partie polityczne. Nie znaczy to oczywiście, że ugrupowania polityczne czy stowarzyszenia nie istnieją, działają jednak w ukryciu lub na emigracji, jak Bracia Muzułmanie, uznawani za organizację terrorystyczną, lub

al-Hamida i Muhammada Fahada al-Kahtaniego, którym w 2013 r. postawiono zarzuty m.in. destabilizacji porządku publicznego, zwracania organizacji międzynarodowych przeciwko królestwu, podburzania opinii publicznej i niełojalność wobec władcy. Wszystko dlatego, że oskarżali Rijad o łamanie praw człowieka i wzywali do ustanowienia monarchii konstytucyjnej. Al-Kahtani usłyszał wyrok 10 lat pozbawienia wolności, Al-Hamid został skazany na pięcioletnie więzienie, a dodatkowo musiał odbyć karę sześciu lat z wcześniejszego wyroku, mimo że w 2006 r. ułaskawił go król Abd Allah. Kiedy

Ateizm może podlegać karze do 20 lat pozbawienia wolności.

w 2020 r. Al-Hamid doznał wylewu, Amnesty International wzywało do jego uwolnienia ze względu na stan zdrowia. Niestety, bezskutecznie i sktywista zmarł w więzieniu.

Kara śmierci i chłosta

Wyroki nie sprowadzają się jedynie do więzienia. Organizacje walczące o prawa człowieka od lat krytykują Arabię Saudyjską za stosowanie kar cielesnych i tortur. Głośna jest sprawa uwolnionego w zeszłym miesiącu blogera Raifa Badawiego, który w 2014 r. został

przede wszystkim poważne błędy proceduralne sądów, jak również fakt, że przyznawali się oni do winy pod wpływem tortur. Co więcej, rodziny zabitych nie zostały zawczasu poinformowane o wykonywaniu wyroków i nie miały możliwości pożegnać się z bliskimi.

Co prawda, Saudyjczycy twierdzą, że nie skazują nieletnich na karę śmierci, ale w rzeczywistości takie wyroki zapadają w przypadku osób, które były aresztowane wcześniej. Abd Allah al-Huwaiti został zatrzymany w wieku 14 lat pod zarzutami zabójstwa i napadu z bronią w rękę.

W procesie sąd miał zignorować dowody na to, że Al-Huwaiti miał alibi, choć zebrane zostały przez saudyjskie służby. Sąd zignorował także skargę wszystkich sześciu oskarżonych, którzy twierdzili, że zeznania zostały na nich wymuszone torturami. Proces Al-Huwaitiego powtarzano trzykrotnie, za każdym razem jednak słyszał on wyrok śmierci. I to mimo że w 2018 r., kilka miesięcy po rozpoczęciu jego pierwszego procesu, w Arabii Saudyjskiej wprowadzono prawo ograniczające wyroki dla osób nieletnich do 10 lat, o ile kara za popełnione przestępstwo nie została już określona przez Koran lub hadisy.

W ubiegłym roku Rijad szczylił się też, że zniósł głośno krytykowany system kafali, będący współczesnym niewolnictwem. Według niego imigranci mogą się ubiegać o pracę w królestwie, znajdując kafila (sponsora), który odpowiedzialny jest za wizę pracownika i jego status prawny. Kontrowersje budziła konieczność uzyskania zgody kafila na zmianę miejsca pracy czy nawet opuszczenie Arabii Saudyjskiej i powrót do domu. Dzisiaj nie trzeba już prosić o to sponsora, choć migranci muszą się ubiegać o zgodę urzędników rządowych. Co więcej, wiele osób wciąż nie może się cieszyć swobodą, bo kafilom wolno konfiskować paszporty swoich pracowników. Michael Page, wicedyrektor ds. Bliskiego Wschodu w Human Rights Watch, twierdzi, że wprowadzone w królestwie zmiany są „ograniczone, problematyczne i w żaden sposób nie rozmontowują systemu kafali. Miliony pracowników domowych i innych robotników są z tych reform wykluczone, co pozostawia ich całkowicie na łasce pracodawcy”.

Okaleczanie kobiet

Nadal wiele do życzenia pozostawia kwestia praw kobiet, chociaż w ramach reformowania systemu pozwolono Saudyjkom prowadzić samochód. Walczyły o to takie aktywistki jak zwolniona w lutym zeszłego roku z więzienia Ludżajn al-Hazlul, która przez trzy lata była pozbawiona

wolności i ograniczano jej kontakt z rodziną. Mimo że reforma przepisów nastąpiła już w 2018 r., saudyjski wymiar sprawiedliwości nie śpieszył się z wypuszczeniem Al-Hazlul na wolność. I nawet dzisiaj nie może ona się cieszyć pełnią praw. Nałożono na nią bowiem pięcioletni zakaz podróży za granicę i trzy lata probacji, co może sprawić, że wróci do więzienia, kiedy tylko postanowi znowu działać.

Do niedawna kobiety nie mogły podróżować za granicę bez opiekuna, którym zwykle jest ojciec, brat lub mąż. Dzisiaj sytuacja się zmieniła i każda kobieta, która ukończyła 21. rok życia, może uzyskać paszport i podróżować. Wciąż jednak będzie potrzebowała zgody opiekuna, jeśli postanowi wyjść za mąż, rozwieść się – i aby wyjść z więzienia. A rodziny często nie zgadzają

w większości przypadków procedurę wykonują lekarze.

W państwie Saudów nie ma przepisów, które zabraniałyby obrzezania. Nawet prawa, które zakazują znęcania się nad dziećmi, nie wymieniają go wśród nielegalnych zachowań. Co więcej, według ALQST władze zajmują się jedynie pojedynczymi sprawami, kiedy np. okaleczona dziewczynka wymaga hospitalizacji, ponieważ obrzezania dokonano prymitywnymi narzędziami w domu.

Naloty na Jemen

Arabia Saudyjska zaangażowana jest też w walkę przeciwko ruchowi Huti w Jemenie, którą Rijad rozpoczął w 2015 r., by wesprzeć prezydenta Abd Rabbuha Mansura Hadiego. Do dzisiaj wojna ta pochłonęła według ONZ 377 tys. ofiar, w tym

12 marca 2022 r. dokonano egzekucji 81 osób.

się na ponowne przyjęcie do domu kobiet, które odbywały wyroki za przestępstwa obyczajowe, np. za utrzymywanie pozamałżeńskich relacji seksualnych, nawet za obopólną zgodą. Jeśli po odsiedzeniu kary kobietom tym nie udaje się porozumieć z rodziną, trafiają do specjalnych schronisk, gdzie przebywają do czasu „pojednania”, jak określają to saudyjskie władze i media. Mogą się starać o zmianę opiekuna, ale taka operacja nie jest łatwa. Udało się to Samar Badawi, siostrze Raifa Badawiego, którą ojciec oskarżył o nieposłuszeństwo, a ona jego o uniemożliwianie wyjścia za mąż. Ostatecznie Samar trafiła w 2010 r. do aresztu, skąd wyszła po pół roku, gdy Sąd Generalny w Dżuddzie uczynił opiekunem jej wuja.

Kobiety w Arabii Saudyjskiej są również ofiarami praktyki okaleczania narządów płciowych. ALQST, organizacja zajmująca się dokumentowaniem przypadków łamania praw człowieka, cytuje badania przeprowadzone w Dżuddzie w latach 2016-2017, z których wynika, że okaleczonych zostało ok. 18% kobiet. Na zachodnim wybrzeżu ten odsetek sięgać może nawet 80%,

aż 15 tys. cywilów zabitych głównie w saudyjskich nalotach, których celem często były wesela czy targowiska. Jest to kość niezgody między Bidenem a Muhammadem ibn Salmanem, bo w początkach prezydentury amerykański prezydent usunął ruch Huti z listy organizacji terrorystycznych i ogłosił, że do Arabii Saudyjskiej eksportowana może być jedynie amerykańska broń defensywna, co wywołało niemałe oburzenie w Rijadzie.

Waszyngton często zapewnia, że promowanie norm demokratycznych i praw człowieka jest istotne dla jego polityki zagranicznej. Jednak mimo licznych raportów dokumentujących zły stan swobód obywatelskich w Arabii Saudyjskiej niewiele zdaje się robić w tej kwestii. Wystarczy przypomnieć, że na saudyjskiego następcę tronu, choć raport Avril Haines przekonuje, że to on odpowiada za śmierć Chaszukdziego, nie zostały nałożone żadne sankcje. Wygląda więc na to, że jeśli w grę wchodzi ropa, liczą się nie deklarowane wartości, lecz czysta kalkulacja.

Jakub Katulski

Migrant w mundurze

Kraje europejskie mają coraz większy problem ze znalezieniem chętnych do służby w armii

Bundeswehra w ostatnich latach powiększa swoje szeregi średnio o 2-3 tys. żołnierzy rocznie.

Mateusz Mazzini

Jeszcze niedawno zbyt mała liczbeność sił zbrojnych wydawała się problemem abstrakcyjnym, jeśli nie absurdalnym. Kolejne kraje jak Europa długa i szeroka albo się demilitaryzowały (i to pomimo nacisków ze strony USA, by zwiększyć wydatki na obronność do 2% PKB), albo przechodziły w tryb armii inteligentnych, niewielkich, ale bogatych sprzętowo i zaawansowanych technologicznie. Najpierw w niepamięć odeszła epoka powszechnej służby wojskowej, potem – masowych sił zbrojnych, opartych przede wszystkim na wielkości. To ostatnie nigdy zresztą nie było domeną Europy.

Doktrynę „armii silnej, bo licznej” wyznawano przede wszystkim w Rosji. W środkowej i zachodniej części kontynentu podważano wydatki na zbrojenia, niektórzy politycy uznawali je za całkowicie bezsensowne – w tym gronie znalazł się m.in. jeden

z liderów polskiej lewicy, Włodzimierz Czarzasty.

Wojsko, czyli kariera

W ciągu zaledwie kilku tygodni wszystkie te przekonania zostały brutalnie unieważnione. Rosja najechała Ukrainę, równając z ziemią miasta i mordując cywilów na masową skalę. Wojna wróciła do Europy, i to w rozmiarach, których nikt się nie spodziewał. Paradygmaty zmieniły się błyskawicznie. Nawet Niemcy, tradycyjnie niechętni militaryzacji nader powściągliwi w kwestii zagranicznych interwencji wojskowych, zaczęli wysyłać broń Ukraińcom, zwiększając też budżet Bundeswehry. Armie znowu są potrzebne.

Polityczna zmiana kierunku, choć przydatna, nie rozwiązała jednego z głównych problemów europejskich armii – braku chętnych do służby wojskowej. Lata zaniedbań w rekrutacji, brak pozytywnych kampanii wizerunkowych armii i społeczny

sceptycyzm wobec munduru, połączony z ogólnymi tendencjami demograficznymi, sprawiły, że europejskim dowódcom zagląda w oczy widmo pustek w koszarach. To z kolei rodzi pytanie, czy nie czas już pozwolić na służbę w armiach narodowych obcokrajowcom.

Problem nie jest nowy, był po prostu przez ostatnie lata zamiatany pod dywan. Już w 2011 r. ówczesny amerykański sekretarz obrony Robert Gates ostrzegał na forum ministrów obrony NATO, że Europa traci zdolność do szybkiego rozlokowywania dużych oddziałów sił zbrojnych w rejonach ewentualnego konfliktu. Armie na Starym Kontynencie może i stawały się coraz bardziej nowoczesne technologicznie, ale jednocześnie coraz mniej mobilne. Powodów tego było co najmniej kilka. Tibor Szvircsev Tresch i Christian Leuprecht z McGill University w Toronto zauważają, że winne było po części urynkowanie zawodu żołnierza. Po zakończeniu zimnej wojny

kraje europejskie stopniowo wygaszały powszechną służbę wojskową, przechodząc na model ochotniczy. W kamazie szli ci, którzy chcieli, i nikt inny. To, piszą Leuprecht i Tresch, wywołało z kolei wiele zmian w statusie społecznym armii.

Po pierwsze, praca w wojsku stała się po prostu jedną z dostępnych ścieżek kariery, co oznacza, że armia musiała o najlepszych rywalizować z sektorem prywatnym. Nietrudno się domyślić, że często tę walkę przegrywała. Po drugie, i być może znacznie ważniejsze, oparcie wojsk na ochotnikach spowodowało skrzywienie struktury zatrudnienia w armii. Jeśli bowiem ktoś już decydował się na mundur, liczył na specjalistyczną karierę. Europejczycy próbowali rekrutację prowadzić na wzór amerykański, oferując zaawansowane szkolenia, nabycie wysokich kwalifikacji, rozwój umiejętności przywódczych. Słowem, armia miała teraz kształcić, i to na bardzo wysokim poziomie, porównywalnym z najlepszymi uczelniami i korporacyjnym, płatnym treningiem. W niektórych krajach, z Niemcami, Skandynawią i Wielką Brytanią na czele, model ten nawet się sprawdzał. Problem w tym, że siły zbrojne padały w ten sposób ofiarą własnego sukcesu. Zdeterminowani ochotnicy, owszem, szybko się uczyli i awansowali.

Armie Europy wypełniły się oficerami. Miały ekspertów, brakowało im żołnierzy.

Przez co, konkludują Leuprecht i Tresch, armie Europy wypełniły się oficerami, a trafił je brak szeregowych, miały ekspertów, brakowało im żołnierzy.

A tymczasem u Niemców...

Rozgorzała więc dyskusja, jak te dziury załatać. Jeśli bowiem przyjąć perspektywę służby wojskowej jako zwykłej pracy zarobkowej, rozwiązanie problemu wydaje się dość proste. Deficyty pojawiły się przecież w ostatnich latach wszędzie, we wszystkich zawodach, od lekarzy po nauczycieli. I wszędzie, przynajmniej

częściowo, redukowali je migranci. Pojawił się więc pomysł, żeby pozwolić im służyć w wojsku nowych ojczyzn na takich samych zasadach jak osobom w tych krajach urodzonym.

Pierwszą, która o takim rozwiązaniu mówiła publicznie, rozważając je przy tym na poważnie, była Ursula von der Leyen. Dzisiejsza szefowa Komisji Europejskiej, w 2018 r., pełniąc jeszcze wtedy funkcję niemieckiej minister obrony, alarmowała, że proces rekrutacji do Bundeswehry nie jest wystarczająco wydajny. Wtedy za cel stawiała sobie 205 tys.

Większość Europejczyków nie wie, czym armia zajmuje się w czasach pokoju i co mogłaby im zaoferować.

zawodowych żołnierzy do 2025 r. Szybki rzut oka na statystyki pokazuje, że Niemcy pozostają daleko od tego założenia.

Według danych resortu obrony w tamtejszej armii służy obecnie ok. 55 tys. żołnierzy zawodowych, a więc takich, którzy w wojsku realizują ścieżkę kariery. W nich armia inwestuje, szkoli ich i wyposaża w bardzo konkretne umiejętności, bo wiąże z nimi przyszłość i vice versa. Do tego doliczyć trzeba niemal 120 tys. żołnierzy kontraktowych i nieco ponad 8 tys. ochotników. Wychodzi trochę ponad 180 tys. Wciąż za mało, żeby dojść do wymaganego pułapu.

Zwłaszcza że Bundeswehra w ostatnich latach powiększa swoje szeregi średnio o 2-3 tys. żołnierzy rocznie, a połowa obecnie zatrudnionych w armii może przejść na emeryturę już w 2030 r.

Niemcy są w tej dyskusji przykładem ciekawym z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, to najmłodszy kraj w Unii Europejskiej, a więc braki demograficzne będą w nim najwyraźniejsze. Po drugie, kwestia zasobności i siły tamtejszej armii przez ostatnie 80 lat była nie tylko głęboko upolityczniona, ale też niesłychanie wrażliwa – w Niemczech, ale i w całej Europie. Po

trzecie zaś, jako społeczeństwo starzejące się, ale doświadczone w asymilacji migrantów najszerzej włącza ich we własny rynek pracy. Chociażby dlatego zaproszenie ich do służby w Bundeswehrze mogłoby się wydawać naturalnym krokiem.

Model nieaktualny

To rozwiązanie ma oczywiście plusy i minusy. Warto zacząć od tych drugich, bo wbrew pozorom nie dotyczą tylko kwestii bezpieczeństwa. Nietrudno zrozumieć obawy tych, którzy przed obcokrajowcami

w armii przestrzegają. Hannah Winick z German Marshall Fund (GMF) twierdzi, że w wielu krajach w powszechnej opinii patriotyzm, uczucie dla wielu konieczne do dobrej służby wojskowej, jest wartością raczej wrodzoną niż nabytą. Poza tym osoby, które urodziły się za granicą i żyły tam przez kilkanaście lat, trudniej zweryfikować np. pod względem przeszłości kryminalnej, powiązań z obcym wywiadem czy grupami terrorystycznymi. Nawet na terenie Unii Europejskiej, której kraje pewnymi informacjami się dzielą, proces oceny przydatności kandydata do służby wojskowej byłby skomplikowany.

Wreszcie, i ten argument często pojawia się w retoryce prawicy na temat migrantów w wojsku, brak chętnych do służby wojskowej nie musi oznaczać, że nie ma ich w kraju w ogóle. Zapasu jest sporo zwłaszcza wśród kobiet. W Niemczech stanowią one zaledwie 12% czynnego personelu wojskowego. Sama von der Leyen próbowała zmienić ten stan rzeczy, wprowadzając w Bundeswehrze szeroki pakiet socjalny, urlopy wychowawcze i inne instytucje ostonowe, jednak słupki procentowe niespecjalnie szły w górę. To zresztą problem nie tylko Niemiec, bo procent kobiet w armii pozostaje niewysoki niemal w każdym kraju Europy Zachodniej i Południowej.

► Z drugiej strony, podkreśla Hannah Winnick, model myślenia o armii jako etnicznym monopolu broniącym państwa narodowego jest nieaktualny i symbolicznie, i faktycznie. Znowu z pomocą przychodzą liczby. W 2019 r. w niemieckich siłach zbrojnych zatrudnionych na stałe było 900 osób z podwójnym obywatelstwem i dwoma paszportami. Takich wojskowych będzie przybywać, wystarczy rzucić okiem na strukturę niemieckiego społeczeństwa. Co piąty Niemiec może dziś powiedzieć o sobie, że ma zagraniczne pochodzenie – jedno lub dwa pokolenia wstecz. W niemieckich przedszkolach ta proporcja wynosi już jeden do trzech. To proces nieunikniony – żeby utrzymać bieżące tempo produkcji i wzrostu gospodarczego, Niemcy potrzebowały pół miliona aktywnych zawodowo migrantów rocznie. Co oznacza 1,5-2 mln nowych mieszkańców kraju, bo migranci prawie zawsze przyjeżdżają z rodzinami.

Trudno w dodatku mówić o braku patriotyzmu u przybyszów z innych krajów, jeśli ci od lat reprezentują Niemcy w różnych dyscyplinach sportu, z fetującą jeszcze niedawno mistrzostwo świata reprezentacją piłkarską na czele. Skoro są w stanie

za nabytą ojczyznę biegać, pocić się, przełamywać bariery, dlaczego nie mieliby tego samego robić w mundurze zamiast w stroju sportowym?

Racje obu stron da się zrozumieć. Problem w tym, że debata toczy się swoim tempem, a dziura rośnie. Pandemia na chwilę zamroziła negatywny trend, m.in. dlatego, że armia zapewniała stabilność zatrudnienia, ale deficyty wciąż są wyraźne. W Bundeswehrze jest obecnie ponad 20 tys. wakatów. Tylko 82% stanowisk oficerskich jest zajętych. W sąsiedniej Holandii odsetek ten wynosi 80%, w Belgii jeszcze mniej.

W Niemczech kobiety stanowią zaledwie 12% czynnego personelu wojskowego.

A Niemcy w 2020 r. nie wypłaciły żołnierzom żadnych premii, bo pieniądze potrzebne były gdzie indziej – na froncie pandemicznym. Doświadczonych żołnierzy ubywa, o nowych ekspertów coraz trudniej. I nie pomaga w tym ofensywa kierunkowa, otwieranie nowych, konkurencyjnych dla sektora prywatnego specjalizacji, takich jak praca w wojskach obrony cyberprzestrzeni.

Myśleć inaczej o armii

W Europie kwestia włączenia migrantów do sił zbrojnych pozostaje nierozstrzygnięta. Również dlatego, że nie mamy za bardzo współczesnych tradycji wcielania przedstawicieli innych narodów do naszych wojsk. Są jednak na świecie kraje, które robią to od dawna i całkiem dobrze.

Warto popatrzeć na Stany Zjednoczone, gdzie osoby nieposiadające pełni praw obywatelskich służyły w wojsku we wszystkich najważniejszych konfliktach, chociażby w I i II wojnie światowej. Według statystyk Departamentu Obrony w armii amerykańskiej służy obecnie 11,6 tys. osób bez amerykańskiego obywatelstwa. Od zamachów z 11 września aż 100 tys. takich żołnierzy przeszło służbę, następnie naturalizując się i zostając obywatelami USA. Nie wszyscy w pełni się zasymilowali. Nidal Hassan, naturalizowany Amerykanin

palestyńskiego pochodzenia, uległ radykalizacji przez arabskie organizacje terrorystyczne i w 2009 r. rozpętał strzelaninę w bazie Fort Hood. Zabił 13 osób, ranił kolejne 30. Trudno jednak za te wydarzenia winić sam koncept przyjmowania obcokrajowców do armii. Ofiarą radykalizacji Hassan padł już wewnątrz jej struktur, to samo mogło spotkać każdego żołnierza wziętego na cel przez terrorystów.

Od 2008 r. w USA zaciągac się do armii mogą obcokrajowcy bez zalegalizowanego pobytu w kraju. Amerykanie przyjmują ich, bo mają ten sam problem, co Europejczycy – w ostatnich latach, pomimo premii finansowych, podwyżek i ofert rozwoju zawodowego, do wypełnienia celu rekrutacyjnego braku

kowało średnio 5-6 tys. nowych wojskowych rocznie. Za oceanem przeszkadza też ogólny stan zdrowia populacji. Według różnych źródeł od 71% do aż 80% Amerykanów w wieku 17-23 lata jest niezdolnych do służby wojskowej z powodu otyłości lub przynajmniej jednej choroby przewlekłej. Mimo to Pentagon ma optymistyczne nastawienie, wynikające głównie z roli armii w społeczeństwie. W bardzo wielu jego częściach jest ona wciąż gigantycznym narzędziem awansu społecznego. Zapewnia wykształcenie, stypendia i kwalifikacje zawodowe bez konieczności zaciągania ogromnych długów, co dla większości młodych mieszkańców USA jest dziś codziennością.

Nawet tak skrócona analiza pokazuje więc, że Europejczyków czeka reforma nie tylko zarządzania armią, ale też myślenia o niej. Andrew Mueller z magazynu „Monocle” podkreśla, że większość mieszkańców Starego Kontynentu nie wie nawet, czym armia zajmuje się w czasach pokoju i co mogłaby im zaoferować. Europejskie rządy muszą to zmienić, w przeciwnym razie nie będzie miał kto bronić ich granic. A te akurat teraz są narażone na ataki bardziej niż kiedykolwiek w ostatnich dziesięcioleciach.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Buta u władzy

Im dłużej osoba znajduje się u steru państwa lub partii, tym bardziej nasila się syndrom buty

Krzysztof Mroziwicz

Bardzo dokładną charakterystykę polityka, którego cechuje buta, sporządził David Owen, neurolog i psychiatra, parlamentarny podsekretarz stanu ds. marynarki wojennej (1968-1970), minister stanu w resorcie zdrowia (1974-1976) i minister spraw zagranicznych (1977-1979) Wielkiej Brytanii.

Obserwował okiem fachowca kolegów z rządu i kontrpartnerów zagranicznych. Opierając się na dokumentacji medycznej, narysował profile postaci, które zapisały się w historii jako niezrównoważone. Rezultaty prac zamknął w pouczającej książce „Chorzy u władzy”¹, która pozwoli niejednemu politykowi ujrzeć własną podobiznę.

Mamy tam sylwetki obydwu Rooseveltów, Chamberlaina, Hitlera, Churchilla, Stalina, Mussoliniego, de Gaulle’a, Breżniewa, Chruszczowa, Thatcher, Jelcyna, Mao Zedonga, Chomejniego, Blaira. Pozostało jeszcze sporo miejsca m.in. dla Kaddafiego, Somozy, Amina, Rezy Pahlawiego, Pinocheta, Videli, Duvaliera, Trujilla etc. Zwracam uwagę na to etc. i polecam ostatnie zdanie książki:

Następstwa butnego zachowania – które niepoddane ograniczeniom przekształca się z aroganckiej asertywności w zapalczywość i lekkomyślność, w niewielkim stopniu uwzględniającą fakty bądź prawdę, kogokolwiek lub jakichkolwiek spraw dotkną, mogą być niezmierznie poważne.

Wniosek o powadze brzmi banalnie, ale ważny jest w tym cytacie obraz syndromu. Gdzie indziej został on rozpisany w postaci kwestionariusza, który możemy stosować jako instrument badawczy:

Im dłużej osoba znajduje się u steru [państwa lub partii – K.M.], tym bardziej

nasilają się syndromy, które można określić jako syndrom buty. Jego zdiagnozowania można dokonać w wyniku potwierdzenia zespołu przynajmniej czterech cech z listy zachowań charakteryzujących ten stan psychiczny. Są na niej:

1) narcystyczne skłonności do postrzegania świata przede wszystkim jako areny, na której polityk okazuje swą moc i władzę [Amin – K.M.], szukając uwielbienia [Trujillo cieszył się jak dziecko z prawie 2 tys. pomników, które mu postawiono w Dominikanie], a nie miejsca pragmatycznego rozwiązywania problemów, gdzie nie stawia się siebie jako jedynego punktu odniesienia [Hitler, Kim Dzong Un],

2) chęć podejmowania działań ukazujących polityka w pozytywnym świetle [rewolucja szacha i narodu Rezy Pahlawiego], służących polepszeniu jego wizerunku,

3) nieproporcjonalne skupienie uwagi na własnym wizerunku kosztem przedstawienia swoich idei i działań [Mussolini, Mitterrand],

4) mesjanistyczny styl prezentowania własnych dokonań i tendencja do egzaltacji [Kaddafi],

5) identyfikacja z państwem posunięta do utożsamiania interesów państwowych z własnymi [Somoza],

6) tendencja do przedstawiania swoich racji w trzeciej osobie bądź używania

„my” charakterystycznego dla domu królewskiego [„my, naród polski” – Waleśa, de Gaulle – „niech żyje nasza waleczna, szlachetna Polska”],

7) nadmierna wiara we własne opinie i pogarda dla rad oraz krytycyzmu innych [Trocki, Lenin],

8) nadmierna wiara w siebie, granicząca wręcz z uznaniem własnej omnipotencji [Gomułka],

9) przekonanie o odpowiedzialności przed siłami nadprzyrodzonymi, czyli przed Historią i Bogiem, a nie ziemskimi sądami lub opinią publiczną i osądem znajomych [Fidel Castro],

10) poczucie, że jedynie Bóg i Historia udziela politykowi rozgrzeszenia [*la historia me absolverá* – Fidel Castro],

11) nerwowość, brawura i impulsywność [Amin],

12) utrata kontaktu z rzeczywistością, często związana z postępującym wyobcowaniem [Putin, powiedziała o nim tak Angela Merkel],

13) tendencja do wiary we własne „szerokie horyzonty”, szczególnie silne przekonanie o prawości intencji przyświecających proponowanemu kierunkowi działania, a jednocześnie pomijanie innych aspektów, np. racjonalności, kosztów czy wystąpienia trudnych do przewidzenia i niepożądanych następstw – stanowczy sprzeciw wobec zmiany kierunku działania [Kaczyński],

14) konsekwentna niekompetencja w kierowaniu polityką, skłaniająca do nazwania jej butną niekompetencją [Lepper... A Stalin we wszystkich punktach].

Przeróżające, że kilku naszych polityków obciążonych syndromem buty, według Owena, sprawia wrażenie agentów wpływu organizacji Putina, nawet jeśli ostro przeciwko jego polityce protestują.

„Z owoców ich poznać je. Izali zbierają z ciernia jagody winne albo z ostu figi?”².

Tekst pochodzi z wydanej przez PRZEGŁĄD książki Krzysztofa Mroziwicza *Delirium władzy, Kto rządzi, ten błądzi*.

¹ David Owen, *Chorzy u władzy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2013.

² *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu podług tekstu łacińskiego Wulgaty* przekład X. Jakóba Wujka, t. II, Michał Glücksberg, Warszawa 1874, s. 606.





Oliwa nie zawsze sprawiedliwa

Tomasz Skowronek

Port Livorno jest głównym miejscem wyładunku towarów trafiających do Toskanii. To tu codziennie docierają oleje z basenu Morza Śródziemnego, zwłaszcza z Hiszpanii. Importowana oliwa będzie następnie mieszana z produkowaną w kraju i sprzedawana jako włoska oliwa z pierwszego tłoczenia (EVOO). To całkowicie legalna mieszanka, jeśli spełnione zostały wszystkie kryteria stawiane produktom extra vergine.

Krążący po porcie włoscy inspektorzy polują na importowaną oliwę złej jakości: zbyt kwaśną lub za mało owocową. Często znajdują podrabiane produkty, bowiem obniża to koszty. Włoski Korpus Karabinierów (Arma dei Carabinieri) dysponuje jednostkami degustatorów przeszkolonych w wykrywaniu fałszywek. Na pierwszy rzut oka mogą stwierdzić, czy oliwa extra vergine została rozcieńczona olejem słonecznikowym lub rzepakowym. Kilkdziesiątce specjalnie przeszkolonych urzędników oraz kolejne 1,1 tys. osób prowadzi dochodzenia w sprawie oszustw związanych z żywnością w całym kraju. Mówią o sobie „żywnościowe FBI”.

Włochy walczą z fałszowaniem oliwy

Dumne z dziedzictwa kulinarnego Włochy są pierwszym krajem w Europie, który wdrożył środki wykrywania oszustw w branży spożywczej. Takie produkty jak parmezan, szynka parmeńska czy ocet balsamiczny są bowiem podrabiane na potęgę. Jednak największej uwagi ze strony władz wymaga oliwa z pierwszego tłoczenia. We Włoszech jest uwielbiana i spożywana tak często jak chleb, działa tu więc wiele stowarzyszeń zajmujących się promowaniem i kontrolowaniem jej jakości. Co roku w listopadzie w Mediolanie odbywa się Wystawa Smaków i Salon Oliwy. W lutym w Sienie, Rzymie czy w Bari organizowany jest Krajowy Tydzień Oliwy. Z kolei w liguryjskiej Imperii – coroczna Olioliva. Lista podobnych wydarzeń na Półwyspie Apenińskim nie ma końca. Według legendy pod

drzewem oliwnym narodzili się Romulus i Remus – założyciele Rzymu. Włosi zaś odziedziczyli kult oliwy właśnie po starożytnym Rzymie.

Włoska oliwa z pierwszego tłoczenia ma najwyższą cenę na światowych rynkach ze względu na jej prestiż. Jak podaje portal Il Giornale del Cibo, oliwa z Włoch jest dwukrotnie droższa niż hiszpańska, grecka czy tunezyjska. Każdego roku przynosi państwu 1,2 mld euro. To kolosalna kwota, która pozwala zrozumieć, dlaczego tak często ten produkt jest podrabiany. Najbardziej pożądaną włoską oliwą jest ta pochodząca z Toskanii oraz Ligurii. Jak przekonuje jednak Elena Kostioukovitch w książce „Sekrety włoskiej kuchni”, jest ona tylko dla wybrańców: „Aby zdobyć oliwę liguryjską, trzeba się zaprzyjaźnić z jakimś rolnikiem, a żeby tokańską, trzeba być przyjacielem jakiegoś hrabiego”.

Włochy wytwarzają tylko 15% światowej oliwy. Mimo to są drugim jej eksporterem po czołowym producencie – Hiszpanii, która zdominowała 45% światowego rynku. Jak zauważa Larry Olmsted, autor książki „Real Food, Fake Food”, znaczna część oliwy pochodzącej z Włoch jest tam butelkowana, ale nie produkowana.

W rzeczywistości Włosi kupują w Hiszpanii tanią oliwę, najczęściej lampante, mieszają ją z kilkoma procentami extra vergine i sprzedają z podwójnym zyskiem.

Wśród największych ofiar tego oszustwa są Stany Zjednoczone, do których Włochy eksportują ok. 30% oliwy. Amerykański dziennikarz śledczy Tom Mueller mieszkający w Ligurii twierdzi, że ok. 75-80% oliwy z pierwszego tłoczenia sprzedawanej w USA to fałszywka. Wytwarzanie wysokiej jakości oliwy jest złożonym, czasochłonnym i kosztownym procesem, z kolei fałszowanie, podkreśla Mueller, jest stosunkowo łatwe i szybkie. Jedną z najczęstszych metod podrabiania jest mieszanie EVOO, czyli oliwy z pierwszego tłoczenia, z oliwą niższej jakości z innych krajów lub z innymi olejami, takimi jak rzepakowy, sojowy, a nawet z orzechów laskowych. Powstała mieszanka jest następnie poddawana chemicznemu kolorowaniu (przy użyciu przemysłowego chlorofilu) i aromatyzowana beta-karotenem.

Według Muellera jednym z największych problemów jest olej dezodoryzowany, z prawdziwych, lecz najgorszych, zgnitych oliwek. Sam w sobie jest niejadalny, jednak po przejściu delikatnego procesu rafinacji, który pozostawia niewiele śladów chemicznych, może być mieszany z prawdziwą oliwą i sprzedawany jako extra vergine. Obecnie olej dezodoryzowany stanowi znaczną część fałszywej oliwy, która trafia na półki światowych supermarketów.

W przeszłości fałszowana oliwa powodowała poważne konsekwencje zdrowotne. Na początku lat 60. oliwa doprawiona olejem do silników odrzutowych doprowadziła do poważnego zachorowania 10 tys. osób w Maroku. W 1981 r. ponad 20 tys. Hiszpanów zatruto się toksycznym olejem rzepakowym oznaczonym jako oliwa. Choć dziś oszuści nie zawsze doprowadzają do tak strasznych konsekwencji, sięgają spustoszenia w gospodarkach, źródłach utrzymania i przyszłości tych, którzy produkują prawdziwe EVOO, jednocześnie konkurując z tanimi podróbkami.

Niestety, duży producenci znanych marek również nie są bez winy. Parę

lat temu wybuchł skandal, gdy pojawiła się informacja, że takie marki jak Bertolli, Sasso i Carapelli (odpowiedzialne za 80% eksportu do USA) ponoć sprzedawały fałszywą oliwę jako extra virgin made in Italy.

„Ameryka jest wysypiskiem wszystkich tych oszukańczych operacji – twierdzi David Neuman, znawca i degustator oliwy. – Nie ma wystarczających zasobów, aby kontrolować ponad 350 tys. ton oliwy wprowadzanej na krajowy rynek. Dlatego nawet po skandalach butelki fałszowanej oliwy wciąż znajdują się na półkach supermarketów. Choć konsumenci wstydzą się przyznać, wspierają tę sytuację – dodaje Neuman. – Sklepy sieciowe wciąż kupują podróbki, ponieważ te produkty się sprzedają i wszyscy uzależnili się od niskich cen”.

Takie produkty jak parmezan, szynka parmeńska czy ocet balsamiczny są podrabiane na potęgę.

Dużym dostawcą podróbek EVOO na półki supermarketów jest włoska mafia. A raczej agromafia, głównie kalabryjska 'ndrangheta. Ponieważ podrabiana oliwa zapewnia marżę sięgającą 700%, przestępczość zorganizowana przerzuciła się z narkotyków na bardziej lukratywną działalność. Jak zauważył jeden z unijnych śledczych w „New Yorkerze”: „Zyski są porównywalne z handlem kokainą, bez żadnego ryzyka”. Autentyczną EVOO bez dodatków można sprzedawać po 50 dol. za galon, podczas gdy podróbka oliwy kosztuje zaledwie 7 dol.

We Włoszech agromafia przeniknęła na każdy etap łańcucha dostaw od pola do stołu. Wpływ przestępczości zorganizowanej rozciąga się od ustalania cen w uprawach oliwek, przez sposób transportu oraz sortowania owoców, po obróbkę oliwy i etykietowanie butelek. Nawet butelki opatrzone etykietką z chronioną nazwą pochodzenia (PDO) – poświadczającą, że zawartość pochodzi z renomowanego włoskiego regionu,

w którym owoce były poddawane kontroli – są podrabiane.

Agromafia ma nawet kontrolę nad sieciami supermarketów, co pomaga wyjaśnić, dlaczego ok. 50% oliwy z oliwek we włoskich supermarketach to podróbki. W 2019 r. włoska minister rolnictwa Teresa Bellanova stwierdziła, że nielegalny handel żywnością we Włoszech kosztuje ok. 120 mld dol. rocznie.

W 2016 r. karabinierzy, współpracujący z Dyrekcją Antymafijną i ruchem przeciwko wyłudzeniom Addiopizzo, skonfiskowali ponad 2 tys. ton fałszywej EVOO w Apulii (właśnie w tym regionie jest najwięcej gajów oliwnych we Włoszech). W 2017 r. policja rozbiła grupę eksportującą fałszowaną oliwę do USA. Karabinierzy aresztowali wówczas 33 podejrzanych z klanu Piromalli z kalabryjskiej mafii. Według śledczych Piromalli importowali oliwę z wytłoczyn – produkt, który jest ekstrahowany z już wytłoczonej miazgi owocowej przy użyciu rozpuszczalników chemicznych, a następnie etykietowali jako oliwę z pierwszego tłoczenia i eksportowali. Taka oliwa była sprzedawana w Nowym Jorku, Bostonie i Chicago. Natomiast w 2019 r. Europol pomógł karabinierom w przejęciu 150 tys. litrów fałszywej oliwy sprzedanej na rynek niemiecki. Kupując milion litrów oleju słonecznikowego rocznie i sprzedając go jako oliwę w cenie 5-10 euro za litr, oszuści zarabiali ok. 8 mln euro rocznie.

Co ciekawe, fałszowanie oliwy sięga czasów starożytnych. Dzienniki inwentaryzacyjne z 4000 r. p.n.e. zawierają wzmianki o transporcie oliwy przez Morze Śródziemne z jednego portu do drugiego. Fałszywe etykietowanie i podrabianie oliwy zostało już wtedy uznane za poważny problem, więc władze portowe rozpoczęły kontrolę amfor i upewniali się, że pojemniki zostały zapieczętowane przed opuszczeniem portu pochodzenia. Wczesne wzmianki o fałszerstwach zostały zapisane nawet w formie piktogramu na tabliczkach z Eblu w Syrii w 2500 r. p.n.e. Jak zauważa jednak Tom Mueller, „w tamtych czasach inspektorzy mieli pewne ułatwienie w wykrywaniu podrabianej EVOO – łatwiej było ją wyczuć”. ■

Jak udowodnić zamach

Śmierć gen. Sikorskiego katowicki oddział IPN badał jako... zbrodnię komunistyczną

Bohdan Piętka

3 września 2008 r. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach wszczęła śledztwo w sprawie – jak napisano w oficjalnym komunikacie – „zbrodni komunistycznej polegającej na spowodowaniu niebezpieczeństwa katastrofy w komunikacji powietrznej w dniu 4.07.1943 r. w Gibraltarze w celu pozbawienia życia premiera i Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych RP generała Władysława Sikorskiego, przez co doszło do katastrofy samolotu »Liberator« Mk II nr ew. AL 523 należącego do 511. dywizjonu brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych, w wyniku czego śmierć ponieśli

zaistnienia katastrofy do dnia dzisiejszego, uzasadnione podejrzenie przestępczego jej spowodowania, które to działanie nie stanowiło przedmiotu żadnego postępowania prowadzonego przez organy ścigania państwa polskiego, jak i innych państw”.

Na podstawie czego powzięto „uzasadnione podejrzenie” przestępczego spowodowania katastrofy w Gibraltarze? Na podstawie tego – jak czytamy w komunikacie IPN – że „jedynymi oficjalnymi dokumentami ustalającymi okoliczności śmierci gen. Sikorskiego w dniu 4 lipca 1943 r. są komunikat Brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa z 21 września 1943 r., wydany na podstawie prac brytyjskiej komisji badania wypadków lotniczych, oraz dochodzący do

głównie przez polską publicystykę. Tezy tej publicystyki IPN potraktował jako źródła historyczne, o czym także dowiadujemy się z omawianego komunikatu: „Po dokonaniu analizy treści tych źródeł i podnoszonych w nich zastrzeżeń co do faktycznego przebiegu wydarzeń w Gibraltarze w dniu 4.07.1943 r., jak również faktu wcześniejszych awarii samolotów przewożących gen. Władysława Sikorskiego oraz wątpliwości co do wiarygodności oficjalnie stwierdzonych przyczyn ich zaistnienia, uznać należy, że zachodzą przesłanki do postawienia hipotezy, że śmierć generała Władysława Sikorskiego była efektem spisku na jego życie. Przedstawione w źródłach fakty, oceniane w kontekście panującej w tym czasie sytuacji polityczno-militarnej, mogą prowadzić do wniosku, że jedną z przypuszczalnych wersji zdarzenia było dokonanie zamachu na polecenie ówczesnych władz ZSRR, a śmierć gen. Sikorskiego i towarzyszących mu osób była efektem popełnienia czynu wypełniającego znamiona przestępstwa (...)”.

Władysław Sikorski wraz z towarzyszącymi mu osobami zginął w katastrofie lotniczej, do której doszło 4 lipca 1943 r. w Gibraltarze o godz. 23.05 czasu lokalnego. Ogółem śmierć poniosło 16 spośród 17 osób znajdujących się na pokładzie samolotu. Ocalał tylko czeski pilot Eduard Prchal. 16 sekund po starcie samolot spadł do morza kilkaset metrów od końca pasa startowego. Nie odnaleziono m.in. ciała córki gen. Sikorskiego, Zofii Leśniowskiej. Brytyjska komisja badająca katastrofę w 1943 r. wykluczyła sabotaż i przyjęła, że przyczyną tragedii było zablokowanie steru wysokości. Nie wskazała jednak przyczyny zablokowania steru. Zwolennicy teorii, że doszło do sabotażu, od początku zarzucali

Najbardziej prawdopodobną przyczyną katastrofy w Gibraltarze było przeciążenie samolotu, który oprócz pasażerów przewoził pocztę i bagaże.

generał Władysław Sikorski i towarzyszący mu obywatele RP: Zofia Leśniowska, gen. bryg. Tadeusz Klimecki, płk. dypl. Andrzej Marecki, por. mar. Józef Ponikiewski, Adam Kułakowski oraz Jan Gralewski, tj. o przestępstwo z art. 225 par. 1 i 215 par. 1 Kodeksu karnego z 1932 r. w zw. z art. 2 pkt 1 ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu”.

Na uwagę zasługuje fakt, że śledczy IPN zakwalifikowali domniemane spowodowanie niebezpieczeństwa katastrofy w Gibraltarze jako zbrodnię komunistyczną, czyli niejako od razu wskazali jej sprawcę. W dalszej części komunikatu można było przeczytać, że podstawą wszczęcia śledztwa „jest zachodzący od chwili

odmiennych wniosków komunikat wydany przez Inspektorat Polskich Sił Powietrznych pod koniec listopada 1943 r., nie wykluczający dokonania sabotażu”.

Wydaje się jednak, że dla katowickiego oddziału IPN był to jedynie pretekst formalny. W następnym akapicie komunikatu z 3 września 2008 r. czytamy bowiem: „Wątpliwości co do przyczyn i przebiegu katastrofy w/w samolotu wysnuto również po analizie treści szeregu publikacji różnych autorów polskich i zagranicznych, których przedmiotem była katastrofa tego samolotu”.

Tutaj dochodzimy do właściwej przyczyny wszczęcia przedmiotowego śledztwa, czyli hipotez mówiących, że katastrofa w Gibraltarze była rezultatem zamachu, stawianych



Sarkofag z trumną gen. Sikorskiego podniesiono 25 listopada 2008 r.

komisji, że przeprowadziła śledztwo szybko, miała wybiórczo przesłuchiwać świadków, nie wszystkie ich zeznania znalazły się w końcowym raporcie, a zebrany materiał dowodowy utajniono.

Najbardziej prawdopodobną przyczyną katastrofy w Gibraltarze było przeciążenie samolotu, który oprócz pasażerów przewoził pocztę i bagaże. Przyczynami dodatkowymi mogły być przejście do wznoszenia się poniżej minimalnej bezpiecznej prędkości, nieprawidłowe włączenie autopilota podczas wznoszenia oraz przemieszczenie ładunku i pasażerów samolotu do tyłu w momencie przejścia do zniżania, co spowodowało przesunięcie środka ciężkości samolotu do tyłu. Pilot Mieczysław Jan Różycki, który analizował katastrofę w Gibraltarze, zwrócił uwagę w swoich publikacjach z 2016 r., że Eduard Prchal był przeciętnym pilotem i nie miał doświadczenia w pilotowaniu ciężkich maszyn transportowych. Drugi pilot Stanley

Herring, chociaż był doświadczonym pilotem bombowców, też nie miał doświadczenia w pilotowaniu liberatora. Zarówno Prchal, jak i Herring odbyli na powierzonym im samolocie tylko jeden start i przelot z Kairu.

Liberatory były trudne w pilotażu i nie tolerowały błędów, co skutkowało ich dużą wypadkowością. Start

a możliwości wydłużenia go były ograniczone ze względu na konieczność rozbudowy w głąb zatoki. Istotnym czynnikiem wpływającym na bezpieczeństwo startu liberatora było właściwe wyważenie środka ciężkości samolotu, zwłaszcza jego wczesnych serii, do czego była potrzebna znajomość masy ładunku i jego rozmieszczenia. Według

Postulaty ekshumacji zwłok gen. Sikorskiego zostały poparte przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego i premiera Donalda Tuska.

w nocy tego typu samolotem nie był łatwy ze względu na słabą widoczność pasa z miejsca pilota. W związku z tym instrukcja dla pilota nakazywała w nocy wydłużyć rozbieg o 20%, co w Gibraltarze nie było możliwe. Tamtejsze lotnisko North Front zostało wybudowane w poprzek przesmyku łączącego półwysp ze stałym lądem. Pas startowy wówczas nie był jeszcze ukończony,

Różyckiego masa startowa liberatora AL 523 znacznie przekraczała limity dopuszczalne przez producenta i RAF. W konsekwencji przeładowany samolot został zbyt wcześnie oderwany od ziemi przez pilota i z powodu zbyt małej prędkości zaczął przepadać. Jak zeznał Prchal, chciał wtedy nabrać prędkości, lecz stery się zablokowały. Doszło do tzw. przeciągnięcia – gwałtownego ►

► spadku siły nośnej i przyrostu oporu aerodynamicznego – i samolot spadł do morza.

Zdaniem Mieczysława Jana Różyckiego końcowy wynik brytyjskiego dochodzenia, niewskazujący jednoznacznie przyczyny wypadku, był celowym niedopowiedzeniem. Strona brytyjska z jednej strony nie chciała obarczać winą pilota i powodować zadrżnień pomiędzy rządami Polski i Czechosłowacji na uchodźstwie, a z drugiej wołała nie ujawniać zaniedbań w szkoleniu i procedurach lotnictwa brytyjskiego.

Te niedopowiedzenia raportu Brytyjczyków stały się od początku przyczyną podejrzeń różnych autorów i środowisk, że katastrofa w Gibraltarze była wynikiem celowego sabotażu lub zamachu, oraz powstawania związanych z tym teorii spiskowych. Najbardziej znanym zagranicznym autorem, który powielał tezę o sabotażu lub zamachu, był kontrowersyjny brytyjski publicysta historyczny David Irving – autor wydanej w 1967 r. książki „Accident. The Death of General Sikorski”. Teoria zamachu przewijała się także w polskiej publicystyce emigracyjnej, a po 1989 r. w publicystyce krajowej. Należy tu wymienić przede wszystkim teorie Dariusza Baliszewskiego i Tadeusza A. Kisielewskiego.

Według Baliszewskiego Sikorski i jego współpracownicy zostali zamordowani jeszcze przed startem samolotu, w rezydencji gubernatora Franka Noela Masona-MacFarlane’a, a katastrofa była mistyfikacją w celu ukrycia zabójstwa. Za zamachem mieli stać Brytyjczycy i niechętni Sikorskiemu Polacy, w tym

30 grudnia 2013 r. IPN umorzył śledztwo w sprawie zbrodni komunistycznej w związku z katastrofą w Gibraltarze. Wykluczono teorię, że był to zamach.

szef Polskiej Misji Wojskowej w Gibraltarze ppor. Ludwik Łubieński. Natomiast córka gen. Sikorskiego miała zostać uprowadzona do ZSRR za wiedzą Brytyjczyków. Brytyjskie służby specjalne i gubernator Mason-MacFarlane mieli działać pod presją obecnego w tym czasie



Gen. Sikorski z gen. Władysławem Andersem w 1943 r. w czasie inspekcji wojsk II Korpusu na Bliskim Wschodzie. W drodze powrotnej z tej wizyty doszło do katastrofy.

w Gibraltarze ambasadora ZSRR w Wielkiej Brytanii, Iwana Majskiego. W rzeczywistości Majski prawdopodobnie nie wiedział o pobycie tego dnia w Gibraltarze Sikorskiego. Z kolei Tadeusz A. Kisielewski jako głównego inspiratora i sprawcę zamachu wskazał stronę radziecką. Jego zdaniem główną rolę w przeprowadzeniu „kontrolowanego wodowania samolotu” odegrał

nie pierwszy pilot Eduard Prchal, ale podmieniony drugi pilot. Zofia Leśniowska miała zaś zostać porwana przez radzieckie służby specjalne razem z Adamem Kułakowskim – sekretarzem cywilnym gen. Sikorskiego, którego ciała też nie odnaleziono.

Te teorie zyskały uznanie części polskich historyków. Ich postulaty dokonania ekshumacji zwłok gen. Sikorskiego zostały poparte przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego i premiera Donalda Tuska. Dlatego doszło do podjęcia we wrześniu 2008 r. śledztwa przez katowicki oddział IPN w sprawie komunistycznej zbrodni. Wcześniej jednak szczeciński oddział IPN odmówił zajęcia się tą sprawą z powodu braku dowodów na zbrodnię komunistyczną. Ekshumacja gen. Sikorskiego nastąpiła 25 listopada 2008 r., a badanie zwłok przeprowadzono w dniach 25-26 listopada. Ponowny pochówek odbył się w katedrze wawelskiej 26 listopada. Ponadto ekshumowano, sprowadzono z Wielkiej Brytanii i zbadano szczątki gen. Tadeusza Klimckiego, płk. Andrzeja Mareckiego i por. Józefa Ponikiewskiego (po badaniach pochowano je w Polsce).

Nie była to pierwsza ekshumacja gen. Sikorskiego. Po raz pierwszy

jego szczątki wydobyto z trumny w 1993 r., kiedy przenoszono je z cmentarza w Newark-on-Trent do kraju, by pochować je w katedrze wawelskiej. Dokonano wówczas wstępnych oględzin zwłok przez lekarza, które potwierdziły jedynie, że w 1943 r. nie przeprowadzono pełnej sekcji zwłok.

Pod koniec stycznia 2009 r. ogłoszony został raport z sekcji szczątków gen. Sikorskiego zarządzanej przez IPN. Stwierdzono w nim, że śmierć nastąpiła wskutek obrażeń wielonarządowych, typowych dla ofiar wypadków komunikacyjnych lub upadku z wysokości, najwcześniej zatem w chwili uderzenia samolotu w wodę. Nie wykluczono utonięcia jako współprzyczyny śmierci. Stwierdzone złamania powstały, kiedy ofiara żyła. Wyniki sekcji pozwoliły kategorycznie odrzucić możliwość śmierci w wyniku postrzału, uduszenia, ran kłutych, ciętych lub rąbanych. Możliwość wcześniejszego od katastrofy zamachu na życie generała wykluczyły też badania toksykologiczne. Tadeusz Klimecki i Andrzej Marecki doznali urazów podobnego charakteru. W związku z tymi ustaleniami kierujący zespołem badaczy dr Tomasz Konopka oświadczył, że rozważanie innych sposobów wcześniejszego pozbawienia życia uważa za bezprzedmiotowe.

Ponadto w wyniku badań szczątków ustalono, że Sikorski był palaczem (ekspertyza włosów), miał silny charakter (ekspertyza na podstawie odtworzonej podobizny generała), a w czasie miał drżazgę z daglezji (analiza dendrologiczna, z drewna daglezji wykonane były elementy obicia wnętrza samolotu).

W śledztwie zebrano poza tym całość dostępnej dokumentacji źródłowej związanej z katastrofą gibraltarską, zarówno z archiwów i instytucji na terenie Polski, jak i z Wielkiej Brytanii. Zasięgnięto opinii specjalistów medycyny sądowej. Przesłuchano członków rodzin ofiar. Ustalono dane ostatnich dwóch żyjących świadków zdarzenia, w tym radiooperatora na brytyjskim okręcie ratunkowym, który uczestniczył m.in. w podniesieniu z morza zwłok generała. Osoby te przesłuchano poza

Polską w ramach międzynarodowej pomocy prawnej.

30 grudnia 2013 r. IPN umorzył śledztwo w sprawie zbrodni komunistycznej w związku z katastrofą w Gibraltarze. „Wykluczono teorię mówiącą, że był to zamach”, powiedział wówczas mediom Andrzej Arseniuk z IPN. Natomiast prokurator Marcin Gołębiowicz z warszawskiego IPN przyznał, że do śledztwa i ekshumacji doszło wobec „opracowań technicznych oraz historycznych, podważających rzetelność wyników

Zastrzegł jednak, że „przeprowadzone w toku śledztwa dowody nie dostarczyły podstaw do potwierdzenia, ale i jednocześnie wykluczenia tezy, iż do katastrofy doszło wskutek zawnionego działania człowieka, a więc sabotażu”.

31 marca 2014 r. Sąd Okręgowy w Katowicach nie uwzględnił zażalenia Teresy Ciesielskiej, córki płk. Andrzeja Mareckiego, i utrzymał w mocy postanowienie prokuratora Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Śledztwo IPN w sprawie katastrofy gibraltarskiej kosztowało według oficjalnych danych niemal 571 tys. zł.

prac brytyjskiej komisji powypadkowej z 1943 r., uzasadniających podejrzenie przestępczego spowodowania śmierci gen. Sikorskiego oraz osób mu towarzyszących”. W przekazanym mediom komunikacie Gołębiowicz poinformował również, że „wykluczono ponad wszelką wątpliwość, aby śmierć Naczelnego Wodza oraz pozostałych poddanych badaniom pośmiertnym osób została spowodowana w sposób przestępczy, przed wylotem z Gibraltaru”. Dalej prokurator IPN stwierdził, że „obraz sekcyjny oraz wyniki badań dodatkowych ukazały, że śmierć pokrzywdzonych nastąpiła w przebiegu wypadku komunikacyjnego w okolicznościach zbliżonych do tych ustalonych przez komisję brytyjską z 1943 r., których to ustaleń polskie organy państwowe na emigracji nigdy nie kwestionowały”.

w Warszawie o umorzeniu śledztwa. Sąd podzielił zdanie prokuratora IPN i wskazał, że „ustalenia winny opierać się na faktach, a nie domniemaniach, nieposiadających rzetelnych podstaw dowodowych”.

Śledztwo IPN w sprawie katastrofy gibraltarskiej kosztowało według oficjalnych danych 570 947,08 zł. Nie były to jednak wszystkie koszty, ponieważ nie obejmowały chociażby ceny ponownego pochówku gen. Sikorskiego ani ekspertyz szczątków. Prawdopodobnie całość kosztów śledztwa i ekshumacji wyniosła ok. 600 tys. zł. Śledztwo IPN, spowodowane przez fantastyczne teorie spiskowe i prowadzone w sprawie zbrodni komunistycznej, potwierdziło wyniki dochodzenia komisji brytyjskiej z 1943 r. To był tragiczny wypadek.

Bohdan Piętka

KŁAMSTWA HISTORYCZNYCH SZARLATANÓW

sklep.tygodnikprzeglad.pl

35 zł 45 zł

Wpłaty 35 zł prosimy dokonywać na konto:
 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Marek Czarkowski

Hej, sokoły

Kozacy – rozbójnicy i żołnierze

Wojna w Ukrainie sprawiła, że Polacy zainteresowali się historią sąsiadów. Zwłaszcza że nasi przodkowie żyli niegdyś w jednym państwie – Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Kim byli zamieszkujący Zaporozie i Dzikie Pola Kozacy? Skąd się wzięli i czy ostatecznie zniknęli z kart historii?

Słowo kozak znane było już w średniowieczu. W spisany w Kaffie (obecnie Teodozja na Krymie) w XIII w. rękopisie *Codex Cumanicus* oznaczało ono stróża lub wartownika. W używanych na terenach dzisiejszej Azji Środkowej językach tureckich kozakami nazywano ludzi wolnych, niezależnych, a także rozbójników, awanturników, bezdomnych i wygnańców.

W XVI- i XVII-wiecznych dokumentach państwa rosyjskiego pojęcie kozak zarezerwowane było dla przodków dzisiejszych Kazachów. Określało ono nie tyle status społeczny czy grupę etniczną, ile zajęcie.

Początki kozackizmy – w polskim i ukraińskim rozumieniu – sięgają XV w. i związane są z południowo-wschodnimi kresami ówczesnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, które po zawarciu w roku 1569 unii lubelskiej weszły w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Ogromne, niemal bezludne tereny nad Dnieprem przyciągały szukających poprawy losu chłopów, zbiegów, rozbójników, zubożałych szlachciców i liczących na dobry zarobek kupców. Ziemia była żyzna, władza państwowa – iluzoryczna. Tak powstała rządząca się własnymi prawami, wieloetniczna i wielowyznaniowa społeczność, która nie uznawała żadnej władzy zwierzchniej. Ówczesne kresy Rzeczypospolitej przypominały znany z hollywoodzkich filmów Dzik Zachód. Nawet ich nazwa była podobna – Dzikie Pola.

Czajką na Słambu

Początkowo Kozacy mieli jednego wroga – to Tatarzy krymscy, którzy w poszukiwaniu łupów zapuszczali się na zajmowane przez nich tereny.

By im się przeciwstawić, Kozacy organizowali się w zbrojne oddziały, które z czasem w poszukiwaniu zdobyczy same zaczęły się zapuszczać na tereny Chanatu Krymskiego i imperium osmańskiego. Wielką sławę zyskały ich morskie wyprawy. Mające do 20 m długości i 4 m szerokości drewniane łodzie, zwane czajkami, obsadzone załogą liczącą 20-30 Kozaków, docierały aż na przedmieścia Słambu. Napastnicy rabowali i palili wszystko, co wpadło im w ręce.

Pierwszym sławnym dowódcą kozackim był książę Wiśniowiecki, zwany Bajdą, starosta czerkaski i kaniowski, słynny awanturnik. Ze względu na odwagę i zdolności organizacyjne zyskał wśród Kozaków duży autorytet. W latach 1553-1555 ufortyfikował na Dnieprze wyspę o nazwie Mała Chortycja, dając początek Sicz Zaporoskiej – warownemu obozowi, który pełnił jednocześnie funkcje administracyjne. Dymitr Wiśniowiecki dowodził wieloma wyprawami łupieżczymi na Krym i ziemie należące do Osmanów. W 1563 r., podstępnie

Na rozległych terenach dzisiejszej Ukrainy powstawały ogromne latyfundia należące do polskich, litewskich i ruskich magnatów, których nazywano królewiami. Ostrogscy, Wiśniowieccy, Potoccy, Koniepcowscy, Pacowie i Mniszchowie posiadali własne armie, a nawet prowadzili własną politykę zagraniczną. Kozaków postrzegali jako element buntowniczy i najchętniej uczyniliby z nich chłopów.

Natomiast polscy królowie i część światłej szlachty rozumieli, że włączenie ich do obrony południowo-wschodniej granicy przyniosłoby krajowi wielkie korzyści. Pojawili się oficjalnie uznani przez władze za żołnierzy Kozacy rejestrowi, którzy otrzymywali żołd. Kozackie wojsko największą sławą okryło się w 1621 r. w trakcie obrony Chocimia przed Turkami. 30-tysięcznym korpusem dowodził hetman Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny. Wniósł on wielki wkład w zwycięstwo nad Osmanami, lecz w tym samym roku zmarł w Kijowie od ran odniesionych w czasie wojny.

Kozacy byli rządzącą się własnymi prawami, wieloetniczną i wielowyznaniową społecznością, która nie uznawała żadnej władzy zwierzchniej.

zwabiony i schwytyany przez hospodara wołoskiego Stefana Tomzę, został wraz z polskim szlachcicem Janem Piaseckim przekazany sułtanowi Sulejmanowi Wspaniałemu jako dar. Ten kazał ich zgładzić. Powieszony na haku Wiśniowiecki, jak głosi legenda, po trzech dniach został dobity z łuków, gdyż Turcy nie mogli znieść wyzwisk, którymi obrażał Mahometa. Pamięć o nim przetrwała w ukraińskich dumkach i legendach.

Na przełomie XVI i XVII w. rządzący Rzeczpospolitą nie mogli się zdecydować, jak traktować Kozaków.

Kozacy latami domagali się od Rzeczypospolitej powiększenia rejestru, czyli liczby uznanych przez władze żołnierzy, którym przysługiwały prawa równe szlacheckim. Domagali się też akceptacji ich samorządu oraz pewnej autonomii. Z powodów finansowych ówczesna Polska nie była w stanie spełnić pierwszego warunku. Przeciwnośćmi kozackim byli królewia i szlachta, która nie żyła sobie rozciągnięcia jej przywilejów na „hultajstwo”.

Prowadziło to do krwawo tłumionych przez wojsko buntów



Kozacy piszą list do sułtana. Obraz Ilji Riepina z 1891 r. jest inspiracją dla współczesnych żołnierzy ukraińskich.

smoleńskiego odzyskało okupowane przez Rosję województwa połockie i witebskie. I najważniejsze – Moskwa weszła w posiadanie województwa czernihowskiego oraz Zaporozża.

Ugoda perejaśawska i późniejsza śmierć Bohdana Chmielnickiego w roku 1657 były początkiem krwawej wojny domowej, którą toczyły między sobą trzy kozackie partie. Jedna opowiadała się za sojuszem z Rosją. Druga – z Rzeczpospolitą. Trzecia zaś widziała szansę na niezawisłość w sojuszu z imperium osmańskim.

Przez prawie 20 lat zdrady i zmiana stron przez kozackich dowódców nie były niczym nadzwyczajnym. Hetman Piotr Doroszenko zawierał sojusze z Moskwą, Warszawą i Stambułem. Hetman Jerzy Chmielnicki opowiadał się najpierw za sojuszem z Turcją, a potem z Rzeczpospolitą.

Najbardziej znanym dowódcą Kozaków, obok Bohdana Chmielnickiego, był hetman Iwan Mazepa Kołodyński, który w czasie III wojny północnej (1700-1721) zdradził cara Piotra I Wielkiego dla króla Szwecji Karola XII Wittelsbacha. Jego postać

i powstań, z których najbardziej znane jest powstanie Chmielnickiego z lat 1648-1654, uwiecznione na kartach „Ogniem i mieczem”. Był to jeden z ostatnich akordów naszej wspólnej z Kozakami historii. Gdyby powstała Rzeczpospolita Trojga Narodów, dzieje Polaków, Litwinów i Ukraińców potoczyłyby się inaczej.

Ugoda perejaśawska – początek końca Kozaków zaporoskich

18 stycznia 1654 r. w Perejaśawiu zawarta została ugoda między hetmanem Bohdanem Chmielnickim a Wasylem Buturlinem – pełnomocnikiem cara Aleksego I Romanowa. Na jej mocy kontrolowane przez Kozaków tereny oddane zostały pod władzę cara. W efekcie Rosja wystąpiła zbrojnie przeciw Koronie i Litwie w obronie swoich nowych poddanych.

Na rozległych terenach dzisiejszej Ukrainy powstawały ogromne latyfundia należące do polskich, litewskich i ruskich magnatów.

Historycy spierają się o to, co Chmielnicki chciał osiągnąć, zawierając ugodę. Nie brakuje opinii, że był to manewr taktyczny, który miał wciągnąć Rosję w wojnę po stronie Kozaków. Wcześniej hetman zawierał podobne porozumienia z Tatarami krymskimi. W ówczesnych realiach nie było to niczym nadzwyczajnym. Rzecz w tym, że Moskwa potraktowała ten akt serio. Wprowadziła swoje wojska do Kijowa i opuściła go dopiero w roku 1991.

Wojna polsko-rosyjska zakończyła się w roku 1667 podpisaniem rozejmu andruszowskiego. W jego wyniku Rzeczpospolita odzyskała Inflanty, a Wielkie Księstwo Litewskie za rzeczenie się województwa

uwiecznił Juliusz Słowacki w dramacie „Mazepa”.

Po klęsce Szwedów pod Poltawą znaczenie Kozaków osłabło. Rzeczpospolita w XVIII w. chyliła się ku upadkowi. Najważniejszym wydarzeniem we wzajemnych relacjach było powstanie chłopskie z roku 1768 pod przywództwem Maksyma Żeleźniaka i Iwana Gonty, nazwane koliszczyną. Jego najbardziej tragicznym epizodem była rzeź humańska, w wyniku której śmierć poniosło ok. 20 tys. Polaków i Żydów, którzy schronili się w miejscowości Humań.

Powstanie zostało stłumione siłami wojsk polskich i rosyjskich. Historycy szacują, że w jego wyniku życie straciło 100-200 tys. ludzi. To ►

▶ wówczas caryca Katarzyna II Wielka nabrała podejrzeń, że Kozacy zaporoscy stanowią element niepewny, z którym coś trzeba będzie zrobić.

W czerwcu 1775 r. wracające ze zwycięskiej wojny z Turcją wojska rosyjskie, dowodzone przez gen. Piotra Tekeliego, otoczyły Sicz Zaporoską. Przewaga liczebna po stronie Rosjan była tak wielka, że Sicz poddała się bez walki. Ostatni ataman koszowy Piotr Kalniszewski trafił do więzienia klasztornego na Wyspach

Kozacy mieli własny samorząd, byli zobowiązani utrzymywać gotowość bojową, w zamian państwo wydziełało im ziemię oraz żołąd. Służyli też jako formacja policyjna w regionach, w których dochodziło do powstań i starć. Kozacy kubańscy fatalnie zapisałi się w pamięci mieszkańców Warszawy, szarżując w lutym 1861 r. z szablami i nahajkami na uczestników manifestacji patriotycznej. Po raz kolejny interweniowali w Warszawie w czasie pochodu 1 maja 1905 r.

Ostrogscy, Wiśniowieccy, Potoccy, Koniecpolscy, Pacowie i Mniszchowie postrzegali Kozaków jako element buntowniczy i najchętniej uczyniliby z nich chłopów.

Sołowieckich. W niewielkiej celi spędził 26 lat. Uwolniony na rozkaz cara Aleksandra I w roku 1801, nigdy nie wrócił w ojczyście strony. Zmarł dwa lata później w wieku 110 lat.

Katarzyna II Wielka oświadczyła, że powodem zniszczenia Sicz Zaporoskiej było nieposłuszeństwo Kozaków. Prawda była taka, że niepokój carycy wzbudził udział Zaporozców w groźnym powstaniu Jemieliana Pugaczowa, który był atamanem Kozaków dońskich. Z woli Katarzyny zabroniono nawet używania nazwy Kozacy zaporoscy. W scentralizowanym imperium nie mógł istnieć ośrodek pielęgnujący tradycje buntów ludowych.

Zmierzch podpory samodziśławia

W 1914 r. w Rosji istniało dziesięć armii kozackich. W tym dońska, kubańska, astrachańska, syberyjska i amurska. Nie było armii zaporoskiej, gdyż kozaczyzna na Ukrainie była surowo zakazana.

Zasługi Kozaków dla imperium carów były niemałe. Za czasów Iwana Groźnego oddział awanturników pod dowództwem Jermaka Timofiejewicza zdobył dla Rosji Syberię. Osiedliło się na niej wielu byłych wojskowych, przybyszów z europejskiej części Rosji, także Kozaków zaporoskich i dońskich. Na początku XIX w. car Aleksander I powołał Syberyjskie Wojsko Kozackie, które można porównać do współczesnych wojsk obrony terytorialnej.

Ci mieszkający nad rzeką Terek, na północnym Kaukazie, stanowili barierę dla aspiracji niepodległościowych plemion górskich. Kozacy orenburscy walczyli w XIX w. w Azji Środkowej z plemionami kazachskimi i turkmeńskimi. Kozacy amurscy pełnili służbę patrolową na granicach Imperium Rosyjskiego nad rzekami Amur i Ussuri. Brali również udział w tłumieniu powstania bokserów w Chinach. Nic dziwnego, że w XIX w. wśród rosyjskich rewolucjonistów i intelektualistów Kozacy zyskali opinię podpory samodziśławia.

Po rewolucji październikowej 1917 r. większość z nich wystąpiła po stronie białych, przeciw bolszewikom. Wyróżnili się zwłaszcza Kozacy dońscy, kubańscy i tereccy. Dlatego

W 1914 r. w Rosji istniało dziesięć armii kozackich.

jako jedni z pierwszych zostali poddani masowej eksterminacji. Rozstrzelano całe rodziny, starszych, kobiety i dzieci. W roku 1918 została zniesiona autonomia ziem kozackich, a kozaczyzna została zakazana.

W czasie II wojny światowej w roku 1942 Niemcy zorganizowali 1. Kozacką Dywizję Kawalerii pod dowództwem gen. Helmutha von Pannwitz. Składała się ona głównie z Kozaków dońskich oraz tereckich. W 1943 r. walczyli oni w Jugosławii z tamtejszą partyzantką. W maju 1945 r. dywizja skapitulowała w okolicach Klagenu.

w Austrii przed 11. Brytyjską Dywizją Pancerną. Pod koniec maja w niezwykle dramatycznych okolicznościach Brytyjczycy siłą przekazali Kozaków Armii Czerwonej. Część żołnierzy została rozstrzelana, reszta trafiła do łagrów. Helmuth von Pannwitz, który nie chciał opuścić podwładnych, został w 1947 r. skazany w Moskwie na śmierć i powieszony. Zrehabilitowano go w kwietniu 1996 r.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego rozpoczął się w Rosji proces odrodzenia tradycji kozackich. Na ulicach Rostowa nad Donem znów widać kozackie patrole w mundurach z epoki. Organizowane są festiwale i spotkania, na których kultywuje się dawne tradycje. Stawiane są pomniki, nawet takim postaciom jak ataman Piotr Krasnow, który w czasie II wojny światowej współpracował z Niemcami.

W 2014 r. na Krymie i w Donbasie pojawiły się oddziały ochotników kozackich znad Donu, które wsparły lokalnych separatystów.

Ale historia Kozaków jest także częścią historii Ukrainy. Hetman Piotr Konaszewicz-Sahajdaczenko, Bohdan Chmielnicki, Piotr Doroszenko czy Iwan Mazepa to przywódcy walczący o niepodległość Ukrainy. Ukraińskim bohaterem narodowym jest dziś płk Iwan Bohun, kto wie, czy nie najdzielniejszy z dowódców powstania Chmielnickiego.

Nad Wisłą Kozacy mają twarz Aleksandra Domogarowa, który grał Bohuna w filmie Jerzego Hoffmana „Ogniem i mieczem”. Jest obraz Jana

Matejki „Wernyhora” i wystawiany od czasu do czasu w teatrach dramat Słowackiego „Mazepa”. Chętnie nuciemy biesiadny przebój „Hej, sokoły” skomponowany przez XVIII-wiecznego polskiego kompozytora Macieja Kamieńskiego. Możemy też zadumać się nad słowami Henryka Sienkiewicza: „Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgłiszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec”.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Gruby był

Oczywiście nigdy nie był gruby, pewnie dlatego został „Grubym”. Był, jak to mówimy, żeby nie powiedzieć: odszedł, opuścił nas, zmarł, upadł, zostawił. Niespodziewanie, nieoczekiwanie, za wcześniej, bez sensu, z zaskoczenia, ni z gruchy, ni z pietruchy. Wszedł do jeziora jak każdego dnia w roku, wrócił na podwórkę domu odległego o kilkanaście metrów od wody, przewrócił się i już nigdy nie siądziemy razem przy ogniu. Był nieznany i sławny, bliski bardzo wielu ludziom, był kimś, do kogo chętnie się wraca i rozpoczyna na nowo zawieszoną rozmowę, choćby przerwana lata wcześniej. Rzeźbił, pisał, grał. Uśmiechał się i rozmawiał. Wędrował po Mazurach Garbatych. Z kosturem. Głodził drewno i kamień, znikał we mgle trocin i pyle granitu. Z tej chmury wyłaniał się z bryłami, kształtami, rzeźbami – ptakami, smukłymi czaplami i żurawiami, ciężkimi, kamiennymi słońcami i żabami, zdziwionymi rybami. Odnajdywał je wszystkie, biorąc do ręki korzeń, starą deskę, ścięty pień, polny kamień. I oddawał zakłętą w formę. Kiedyś powiedziano by o nim: artysta ludowy, bo mieszkał na wsi i rzeźby miały w sobie prostotę i nieawangardową rozpoznawalność. Możemy sobie darować. Siedzimy za to wciąż na jego stołkach, fotelach, tronach, podestach, tarasach, książki układamy na wydrążonych w balu komnatach-półkach. Miał w sobie coś z dawnego „artysty” i fachmana, jako rzeźbiarz znał się na stolarstwie, będąc stolarzem – dokładał kamień, cięty, gładzony, uderzany. Znał drzewa i ptaki, nie nadużywał słów. Miał nadprodukcję naturalnych dziecięcych gadżetów: minimebelków, ale i drewnianych pistoletów czy proc. Z „Grubym” mogłem wreszcie porzucać nożem czy toporkiem do specjalnej tarczy, zawsze czekała.

Nie mógłbym użyć słowa przyjaciel, zbyt okazjonalnie wyglądały jednak nasze spotkania. Choć lubiłem tak o nim myśleć. Jedno z moich marzeń, nie tylko edukacyjnych, już się nie ziści – wakacyjny warsztat kamieniarско-stolarski u niego w pracowni. Było nie odwlekać. Ale on nie miał prawa tak zerwać tej nici. Dbał o siebie całego, prawdziwie. Ostał się go woda i miłość żony i córki. Nasza przyjaźń, sympatia, przywiązanie. Jego poczucie humoru i sowizdrzalska łagodna siła. I spokój kogoś, kto na co dzień zmienia potężniejsze od siebie: kamień i drewno, kto dzień w dzień zanurza się w głębinie mazurskiego jeziora. I choć nie był wysoki, był potężny. Nie mam pojęcia, czy był jakkolwiek religijny, do niczego nigdy ta wiedza nie była potrzebna. Był jakby i z ziemi, i z wody, i z krajobrazu. W całkowicie naturalny, osobisty

sposób współtworzył naturę, był z niej, będąc pięknym człowiekiem.

Jego śmierć zjawiała się, kiedy inny człowiek, podobnie żyłasty, również związany mocno z wodą, po raz kolejny z kamienną twarzą, bez emocji, z wystudiowaną, pozorowaną, karykaturalnie odegraną kompetencją opowiadał milionom ludzi, patrząc prosto w oczy, brednie o smoleńskim „zamachu”. Jest czymś dla mnie zupełnie niewyobrażalnym, że taka osoba, z takim przesłaniem może od lat występować, a może raczej odgrywać rolę występującego w imieniu polskiego państwa. Szefować pseudoinstytucyjce, złożonej z amatorów, jeśli chodzi o wiedzę w sprawie wypadków lotniczych, i amatorów na spore, łatwe pieniądze od dekady. Za nic. Za kłamstwa, symulacje, za przekręt smoleński uprawiany w biały dzień. Za nazywanie czarnego białym, a białego czarnym, za skrajnie cyniczne żerowanie na śmierci prawie 100 osób leżących wtedy z Lechem Kaczyńskim do Katynia.

Macierewiczowi brakuje tylko wielkiej, czarnej peleryny czarnoksiężnika, który miele niezrozumiałe zaklęcia spiskowej baśni.

Otóż nie ma takich racji politycznych, które by tłumaczyły tę rozgrywkę nad trumnami, z trumnami, z ekshumacjami, z milionami wyrzuconymi w błoto pseudonaukowych poczynąń, wywołujących uśmiech politowania i zażenowania. To się dzieje naprawdę? Macierewiczowi brakuje tylko wielkiej, czarnej peleryny (może i nosił taką jako harcerz Czarnej Jedyńki) czarnoksiężnika, który miele niezrozumiałe zaklęcia spiskowej baśni. Patrzyłem i słuchałem zdruzgotany monologu pisowskiego prestidigitatora. Z pełną powagą to skrzyżowanie średniowiecznego inkwizytora z pseudonaukowcem szalbierzem z błogosławieństwem politycznym Kaczyńskiego uprawiało przed nami swoje odrealnione abrakadabra.

Paradoksalnie śmierć Andrzeja wróciła mi tego dnia wiarę w człowieczeństwo, w to, co ważne, potężne, zwykłe, niezakłamate i piękne. I kiedy go wspominam, też jestem zadziwiony, że można być kimś tak bardzo na swoim miejscu w świecie, w życiu, w Polsce. I robić to, co się kocha i potrafi. Komuś takiemu można oddać całą władzę, choć nie chciał jej ani trochę i nie potrzebował. On był najprawdziwiej. Żegnaj. Poznajcie go. Andrzej „Gruby” Haręza.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Ludożerca, tyran i Żyd

O sekretarzu, który zadarł z krowami

Jan Machynia

Zaniedbaną przykościelną wieś przekształcił w sprawnie funkcjonujące miasteczko. Jego osiągnięcia przywoływał z trybuny Komitetu Centralnego PZPR Władysław Gomułka. Już za życia stał się legendą miasta i powiatu Kazimierza Wielka oraz powiatów ościennych. Ale dziś o Józefie Darolu nie ma nawet wzmianki w Wikipedii.

– Pamiętają go starsi, młodszy już raczej nie – potwierdza Andrzej Bienias, kazimierzowski regionalista. Swoista to jednak pamięć, sprowadzająca się do tego, że ktoś taki był, działał, wiele zrobił dla miasta, ale w 1968 r. musiał odejść. Filarem tej pamięci jest to, że był Żydem i że nazywał się faktycznie nie Darol, lecz Darul. W ciągu prawie 48 lat, które upłynęły od jego śmierci, było wiele sposobności, by uczcić jego pamięć nazwą jednej z ulic czy specjalną tablicą. Nic takiego się nie stało. Nikt o tym nie pomyślał. Dziś, w dobie szalejącego IPN, jest to niemożliwe.

Oszczędnie też Darol bywa traktowany w regionalnym piśmiennictwie. Ot, przytacza się jakieś scenki, jak robotnik napełnił garnek winem, zamiast wodą, i Darol tego wina skosztował. Gdy wszyscy spodziewali się awantury, on tylko zawiesił chochłę na garnku, otarł usta rękawem marynarki czy koszuli i oddalił się bez słowa. Dopiero wtedy autor przemiany wody w wino ochłonął i zdobył się na odwagę: – A co on mi może zrobić, łopatę zabrać?

I tylko niedawno zmarły regionalista z Odonowa Zdzisław Kuliś w wierszowanym opisie dorobku materialnego Kazimierza Wielkiej, który nie oparł się niszczycielskiej

fali reform lat 90. minionego wieku, zdobył się na gorzką refleksję:

Nie taka była wola
Pana Józefa Darola
Który dla prostych ludzi
Miasto ożywił, obudził

**Kto to widział, żeby I sekretarz
kładał chodniki**

O przeszłości Józefa Darola wiadomo niewiele. Urodził się w roku 1913 jako Józef Darul. W międzywojniu był działaczem Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Nie wiadomo, jakie były jego losy w latach II wojny światowej. Niektórzy twierdzą, że spędził je w którymś z niemieckich obozów zagłady, co przy jego pochodzeniu nie wydaje się prawdopodobne. Zwolennicy tej karkołomnej

Zaniedbaną przykościelną wieś przekształcił w sprawnie funkcjonujące miasteczko. Dziś o Józefie Darolu nie ma nawet wzmianki w Wikipedii.

tezy, wywodzący się wprost od współczesnych Darolowi ludzi byłej PZPR, wiedzą jednak swoje: przeżył obóz, bo był kapusiem. Wydaje się, że jeśli w ogóle przebywał w jakimkolwiek obozie, to należałoby szukać tego miejsca raczej za wschodnią granicą Rzeczypospolitej. A tam, żeby człowiek z takim jak on przedwojennym życiorysem miał szansę przeżyć, potrzebne było szczęście. Dużo szczęścia.

Po II wojnie światowej odnalazł się na Rzeszowszczyźnie jako działacz tamtejszych instancji PPR. Gdy UPA wydała na niego wyrok śmierci, znalazł schronienie w Kielcach. Październikowe przemiany witął już jako sekretarz rolny tamtejszego komitetu wojewódzkiego. Wsławił się tym, że z sali posiedzeń wyniósł gipsowe popiersie Stalina i na dziedzińcu komitetu potłukł je młotkiem. By ostudzić

gorącą głowę niesforne go towarzysza i by nabrał rozumu, skierowano go do szkoły partyjnej w Warszawie. Tak dokształconego rzucono w roku 1958 do Kazimierza Wielkiej, która dwa lata wcześniej została stolicą nowo utworzonego powiatu – najmniejszego na Kielecczyźnie i jednego z najmniejszych w Polsce. Objął w niej funkcję I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR.

W 1954 r. ta kielecka wieś, w której życie toczyło się wokół kościoła i sezonowo cukrowni Łubna, uzyskała status osady, a w roku 1959, już za Darola, została miastem. Z wyglądu jednak wciąż była to wieś, ze stodołami, chlewami, prowizorycznymi szopami i przybudówkami wzdłuż błotnistych dróg z kocich łbów, na których konie gubiły podkowy, a krowy łamały racice. Aby więc polepszyć dobrostan rzeczonych krów, prowadzano je na pastwiska i z powrotem nieutwardzonymi poboczami. Nowy I sekretarz zawziął się, żeby te sielskie klimaty zastąpić miejskim krajobrazem. Na poboczach, którymi spacerowały krowy, położono płyty chodnikowe. Odtąd przeznaczone były już nie dla krów, lecz dla ludzi. Tym zaś wyraźnie to się nie podobało. „My – mieszkańcy Kazimierza Wielkiej zwracamy się





o pomoc. Na nasz teren przyszedł nowy sekretarz Komitetu Powiatowego, który zabronił, aby nasze krowy chodziły po chodnikach. Sekretarzowi się nie podoba, że ludzie muszą omijać kupy na chodnikach i że muszą chodzić w kaloszach. My uważamy, że krowy i mleko jest ważniejsze niż kupy na chodnikach. A na jezdniach są kocie łby, błoto i krowy łamią racice. Wolimy sami chodzić po chodnikach. I dlatego zwracamy się o pomoc, żeby temu sekretarzowi wytłumaczyć, co jest ważniejsze: czy krowy i mleko, czy kupy na chodnikach” – tej treści skargę w 1961 r. podpisało 13 gospodarzy z Kazimierzy Wielkiej.

Odebranie krowom chodników to niejedyna bolączka części ówczesnych mieszkańców. Problemem był sam Józef Darol. Nie dość, że skutecznie mobilizował ludzi do czynów społecznych zmieniających oblicze miejscowości, to jeszcze sam dawał przykład, chwytając za szpadel, kilof czy łopatę. W kolejnej skardze, podpisanej „Dobrzy Obywatele”, czytamy: „Przysłano nam na I sekretarza Komitetu Powiatowego niejakiego towarzysza Darola Józefa. Nie wiadomo, kto to jest, wygląda na to, że to jakiś brukarz, ogrodnik czy ktoś tam jeszcze. Kto to widział, żeby I sekretarz sam osobiście kładł płyty na chodniki, sadził drzewa, wyrывał chwasty. Uważamy, że taki kompromituje nie tylko aktyw powiatowy, ale i całą partię. (...) A kto będzie robił robotę

polityczną i przemawiał do ludzi, kiedy on zajmuje się tylko burzeniem i przerabianiem wszystkiego?”.

Do burzenia, przebudowy i budowy było wiele. Józef Darol uznał, że stolica powiatu powinna mieć park miejski z prawdziwego zdarzenia, zalew i kanalizację. „Wyprowadził architektów na plac, na którym sadzimy sobie ziemniaki, i mówi, że trzeba zrobić park. A po co nam park? Powietrza mamy dosyć”, utyskiwali malkontenci. Inwestycje zrealizowano przy ogromnym wkładzie pracy i zaangażowaniu kazimierzowskiego społeczeństwa.

Towarzysze, to jest anarchia!

Najtrudniejszą przeprawę miał Józef Darol z kanalizacją miasta. Takie inwestycje w świetle ówczesnych

faktycznie nie przeszkadzały, ale taka postawa coraz bardziej uwierała towarzyszy z komitetu wojewódzkiego. W celu ukrócenia kazimierzowskiej samowoli w KW zwołano specjalną konferencję.

Dyskusja była specyficzna. Padają w niej pozorne pochwały, po których pojawiało się „ale”. To, co było dalej, miało już charakter poważnych oskarżeń. Rozpoczęto spokojnie: – Inicjatywa budowy wodociągu była bardzo cenna, ale musimy zwrócić uwagę, że przystąpiono do niej bez należnych zezwoleń, bez dokumentacji technicznej. Taka inwestycja powinna być zgłoszona do koordynacji, umieszczenia w planie i prawidłowego zatwierdzenia.

– Przecież przez dwa lata było w tej sprawie wiele posiedzeń, ale nic nie wskóraliśmy – ripostował

Na fali marca '68 Józef Darol musiał opuścić to, czym żył, co kochał, czemu podporządkował swoją aktywność.

przepisów można było realizować w miastach powyżej 10 tys. mieszkańców, a niedawnej wiosce do tej liczby ludności sporo brakowało. Ale, stwierdził Darol w skazanym przez ówczesną władzę na zapomnienie filmie dokumentalnym Tadeusza Jaworskiego „Sekretarz”, „mnie żaden przepis, żadne okólniki, żadne inne w robocie nie przeszkodziły. Temu, co zrobione, żaden papierowy przepis nie zaszkodzi”. Jemu przepisy

Darol. – Gdy więc mnie zapytano, kto za to weźmie odpowiedzialność, odpowiedziałem: sam wezmę odpowiedzialność.

– Tego typu partyzancka gospodarka jest nie do przyjęcia, towarzysze. Wyobraźcie sobie, że on sam, bez planów i dokumentacji, wyznaczył kierunek kolektora.

Kazimierzowski sekretarz uznał chyba ten początek wypowiedzi za częściową aprobatę, bo wszedł ▶



► przedmówcy w słowo: – I jeszcze tego samego dnia przywieziono rury, a mieszkańcy wyszli do pracy: mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Za kilka dni kolektor był gotowy.

Jednak nie tego oczekiwał przedmówca. Jego ocena była ostra, przesądzała o winie: – Towarzysze, to jest anarchia!

– A jak nazwać te cuchnące ścieki, zasmrodzone mieszkania i klatki schodowe? – nie ustępował Darol.

W dyskusji zgodnie stwierdzono: – Jest, towarzysze, samowola w tej sprawie i w innych, o których towarzysze Darol mówi, że zarządzenia są zarządzeniami, a w powiecie należy tak robić, jak życie nakazuje.

Te inne sprawy to m.in. plany gromadzkie. Chodziło o to, że najmniejsza jednostka administracyjna kraju, czyli gromadzka rada narodowa, miała obowiązek przekazywania do jednostek nadrzędnych danych o ilości i rodzaju planowanej produkcji rolnej. Owe plany były jednak wzięte z sufitu, a Józef Darol chciał, żeby były wiarygodne i realne do wykonania: – Dlatego należy skonfrontować z rolnikiem jego własne plany z naszymi wskaźnikami i w ten sposób opracować plan dla gospodarstwa i dla gospodarstw całej gromady.

– Intencja była dobra – usłyszał – ale (znów to „ale”) można było to zrobić w jednej gromadzie, ale żeby od razu w całym powiecie? W tej sprawie nie było uchwał instancji partyjnych i towarzysze Darol znowu

wyказаł się samowolą. Sekretarz województwa w rozmowie ze mną stwierdził, że te plany są nierealne i szkodliwe.

– Dlaczego szkodliwe? – pytał zdumiony sekretarz. I tu padł zarzut w tamtejszych realiach bardzo poważny: – Bo jest to okopywanie się gospodarstw indywidualnych i zaprzeczenie perspektyw budowy socjalizmu na wsi.

– Ale przecież nasze rozwiązania zostały przyjęte w kraju – studiował emocje Darol. Rzeczywiście tak było. Wieść o kazimierzowskiej oddolnej inicjatywie dotarła do Warszawy i wkrótce sporządzanie planów gromadzkich wedle metody Darola stało

realizować je do naszych potrzeb. Są towarzysze, którzy powiadają, jaką drogą mamy iść do socjalizmu. My mówimy inaczej: jeden kwintal z hektara więcej, wybudowanie jednego kilometra drogi więcej...

Bat na urzędników

Ta spójność myśli, słów, wizji i czynów oparta się próbie rewizji, którą podjęli uczestnicy konferencji, ale już nie mogła się oprzeć fali marca '68. Józef Darol musiał odejść, opuścić to, czym żył, co kochał, czemu podporządkował swoją aktywność. Pasja niszczenia wzięła górę nad pasją tworzenia.

Był postrachem prowincjonalnej elity finansowej w kufajkach, żerującej na rolnikach.

się obowiązkowe na terenie całego kraju. Niezależnie więc od zasadności i skuteczności samej inicjatywy zarzut odstępstwa od socjalizmu na wsi był spóźniony. Może dlatego po tym pustym strzale z ideologicznej armaty w dyskusji pojawił się ton nieco łagodniejszy, choć niepozbawiony ironii: – Należy cieszyć się, że są towarzysze, szczególnie w Kazimierzy Wielkiej, którzy podejmują problemy oryginalne, ale wasza interpretacja uchwał partyjnych jest zbyt dowolna.

– Bo my uważamy – bronił się Darol – że uchwały KC są kierunkowe. My musimy w naszym terenie

Jak po latach wspomina się Józefa Darola? Różnie. Kazimierza Wielka to powiat o silnych tradycjach ruchu ludowego. Adam Cecot, znany na Kielecczyźnie, nieżyjący już działacz ludowy, społeczny i gospodarczy, zapytany o Darola kilkanaście lat temu, odpowiedział: – Był ludożercą. Koledzy w Kazimierzy Wielkiej mieli z nim dużo problemów. Nazywał ich bękartami. Nic więcej nie powiem, bo ten człowiek nie żyje, a ty przestań się nim interesować.

Jeśli faktycznie był ludożercą, to ani większym, ani mniejszym niż prokuratorożercą, milicjantozercą,



urzędniokożercą i w ogóle wszystkich składników ówczesnego powiatowego establishmentu. Był postrachem kierowników masarni, mleczarni, sklepów, GS-ów, PZGS-ów, skupów, składów, cukrowni, przetwórci, owych wszechwładnych klasyfikatorów, sklepowych, skupowych, wagowych i procentowych, czyli prowincjonalnej elity finansowej w kufajkach, żerującej na rolnikach. Potrafił wsiąść na wóz wyładowany burakami cukrowymi i pojechać do punktu skupu, podając się za rolnika, by sprawdzić, jak będzie obsługiwany. A milicjantowi, który chciał ukarać mandatem rolnika za to, że poszedł do gospody Nidzica, pozostawiając konie bez opieki, tłumaczył: – Wyście są milicjanci? Wy tak rolnikom pomagacie? Człowiek zmarznięty, głodny przyszedł coś zjeść i ogrzać się, a wy chcecie go za to ukarać mandatem? To taką pomoc od was otrzymuje?

Idźcie i przypilnujcie jego koni, dopóki ten obywatel nie przyjdzie. I żadnego mandatu!

– Tak jest, sekretarzu! – odpowiedział skonfundowany milicjant.

Te i inne opowieści o przypadkach Józefa Darola rozchodziły się po powiecie kazimierzowskim i sąsiednich. Pamięć o nich i o samym bohaterze żyje w opowieściach rodzinnych. Ludzie, którym pomógł, lub ich potomkowie ciepło go wspominają. Uważają go za dobrego człowieka, który walczył z niesprawiedliwością i był batem na urzędników. Ten motyw w ich wspomnieniach jest wiodący. Często wystarczyło powiedzieć opieszalemu urzędnikowi: „W takim razie pojedę do towarzysza Darola” i sprawa nie do załatwienia była w mig załatwiana. Właśnie do „towarzysza Darola”, a nie do Darola, bo sam Darol nie istniał. Był „towarzysz Darol” – tak o nim zgodnym chórem mówili posiadacze zarówno czerwonych legitymacji, jak i grubych modlitewników.

Nieraz przy tym Darol obchodził, a nawet łamał ograniczające go przepisy. W ferworze walki o przyszłość miasta i powiatu może nie zawsze robił to w pełni świadomie. Wtedy potrzebny był ktoś, kto spróbowałby na chwilę zatrzymać go w biegu, aby ochłonął i zdobył się na refleksję. Jednak skorych bardziej do uwag niż do okłasków w jego otoczeniu nie było. A gdy nadszedł marzec '68, umilkły również oklaski.

Zdarzył się jeden wyjątek. Otóż nie było rzadkością, że Józef Darol nie respektował niektórych prawomocnych orzeczeń sądowych,

ochraniając partyjny margines, bo i taki miał w swojej nomenklaturze, odziedziczyszy go wraz z przygarnięciem do PZPR części byłej zde-moralizowanej służby folwarcznej, wywodzącej się z okolicznych dworów i dworków. Choć niektórzy mieli prawomocne wyroki Sądu Powiatowego w Kazimierzy Wielkiej, cieszyli się wolnością, bo sekretarz z tymi wyrokami się nie zgadzał. Z tego powodu w krótkim czasie rezygnację złożyło trzech prokuratorów powiatowych. Wieść gminna komentowała to oczywiście w ten sposób, że towarzysz Darol wyrzuca prokuratorów, bo gnębią ludzi.

Aż zjawił się taki, który „prokuratorożercy” nie uległ. Po burzliwych rozmowach zaakcentował, cytując początkowe frazy jednego z wyroków, że orzeczenia sądowe zostały wydane nie w imieniu sekretarza ani prokuratora, lecz w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wtedy Darol zszedł z tonu wszechwładnego sekretarza: – A czy oni te wyroki mogliby zacząć odsiadywać po żniwach?

Zbierając materiał do tego artykułu, próbowałem kontaktować się, za rekomendacją, z niektórymi potomkami współpracowników byłego sekretarza. Gdy informowałem, że zbieram materiał do reportażu o przemianach w Kazimierzy Wielkiej, byli skorzy do rozmów. Gdy zaś w pewnym momencie okazywało się, że głównym tematem moich zainteresowań jest Józef Darol, słyszałem: – A po co to panu? Co pan chce przez to osiągnąć?

Potem telefonowy zamilkły. Uparcie milczą do dziś.

Jan Machynia

Drukując artykuł o Józefie Darolu, wkroczyliśmy w klimat lat 50. i 60. XX w. Były to czasy nie tylko przesadnie eksponowanych obecnie błędów i wypaczeń, ale również prawdziwych liderów, którzy zmieniali Polskę na lepsze z ludźmi i dla ludzi. Najmniej przy tym myśleli o sobie. Dlatego ostatnie lata życia najczęściej spędzali w skromnych dwupokojowych mieszkaniach, wyposażonych w mebleścianki z dykty, a luksusem była działka pracownicza i daewoo tico. O takich ludziach, idących z prądem przemian, a równocześnie pod prąd biurokratyczno-ideologicznych, a często i klikowych ograniczeń, warto pamiętać i pamięć o nich upowszechniać. Szczególnie jest to istotne w czasach obecnych, kiedy historię pisze się pod własne wyobrażenia, a nie ją odtwarza. Dlatego zwracamy się z prośbą do Czytelników o przekazywanie informacji o ludziach, którzy mieli istotny wpływ na rozwój ich małych ojczyzn – wsi, gmin czy powiatów. Postaramy się pójść tropem tych informacji.

Od autora: oprócz rozmów z ludźmi korzystałem z następujących źródeł: „Historia pewnego zegara”, Internetowy Kurier Proszowicki; „Opowieści o świecie i zmierzchu”, andreovia.pl; „Sekretarz”, reżyseria Tadeusz Jaworski; Zdzisław Kuliś, „Przygody Franka karierowicza” i „Od Darola do Bodziocha”; Stanisław Durlej, Romuald Turkowski, „Dzieje Ruchu Ludowego na Kielecczyźnie 1944-1996”; „Polacy Żydzi 1”, Ewa Maria and Friends; dzialoszyce.info; „Filmy dokumentalne zmieniające rzeczywistość”, Culture Avenue.

JAK JEDEN DZIEŃ

Dlaczego
nie zaprosiłam
Johna
Malkovicha



Rozmawia Tomasz Miłkowski

ANNA GORNOSTAJ

– dyrektorka Teatru Capitol, obchodzi 40-lecie debiutu scenicznego

O ile wiem, nie lubisz jubileuszów?

– Niezbyt, dla kobiet to zawsze niezręczne, te wszystkie urodziny, jubileusze.

A jednak obchodzisz?

– Publiczność to lubi. Teatr potrzebuje wydarzeń. A ostatnio tak mało okazji do świętowania i radości, że uznałam to za niezły pretekst.

I obchodzisz 80-lecie?

Nie za wcześnie?

– Ponieważ „Morderstwo doskonałe” gramy razem z Olafem Lubaszenką, a on też policzył, że minęło mu niepostrzeżenie 40 lat na ekranie i na deskach scenicznych, postanowiliśmy dodać te jubileusze i wyszło nam 80 lat. A 80-lecia pracy artystycznej chyba nikt jeszcze nie obchodził? **Zacząłem podejrzewać, że planujecie stulecie, wystarczy, że minie 10 lat.**

– Oby twoje słowa w złoto się zamieniły. My jesteśmy takie zwierzaki sceniczne, że marzy się nam, aby wytrwać albo umrzeć na scenie.

Nie śpieszcie się tak. 40 lat minęło jak jeden dzień? Parę sezonów

w Narodowym, prawie ćwierć wieku w Ateneum i 13 lat „na swoim”, czyli w Capitolu. Czy potrafisz wyłuskać trzy najważniejsze dla ciebie doświadczenia w tych czterech dekadach?

– Właśnie je wymienię: pierwszy angaż – Narodowy, drugi angaż – Ateneum i trzeci Capitol.

To raczej etapy, a nie konkretne zdarzenia. Myślałem, że wymienisz spektakl, rolę, awanturę.

– Jak człowiek ma za sobą 40 lat pracy, to wszystko zaczyna się zacierać. Nawet przestałam liczyć, ile zagrałam ról. Ktoś mi czasem przypomina: o, pani w tym zagrała – a ja już nie pamiętam. Coś mi się kojarzy, ale czy to było naprawdę? Na początku mojej drogi aktorskiej grywałam dziwne role w rozmaitych filmach i nawet tego nie notowałam, różnych drobiazgów po prostu nie pamiętam. Z latami zmienia się perspektywa. Jest taka anegdota o starszych aktorach: na początku, za młodu, jak aktor dostaje rolę, sprawdza, ile ma tekstu

– chodzi o to, żeby było jak najwięcej. A w moim wieku chodzi o to, żeby tekstu było jak najmniej.

Przed wejściem do Capitolu zobaczyłem wielki transparent anonujący wasz poprzedni spektakl z Olafem Lubaszenką, „Wykrywacz kłamstw”. Nadal w repertuarze?

– Jednak już zdjęliśmy ten tytuł, autor jest Rosjaninem, może to wywoływać złe nastroje. Staje przed nami pytanie: czy grać dzisiaj literaturę rosyjską, czy jej nie grać? Emocje buzuja i rozumiem, dlaczego teraz nie chce się grać i odbierać literatury rosyjskiej.

Trzeba się strzec takich reakcji.

– Masz rację, ale wojna wywołuje tak straszliwe emocje, że trudno to z cokolwiek porównać. I myśmy nagle to poculi. Wszelkie aluzje czy elementy polityczne w spektaklach zawsze były świetnie odbierane przez publiczność – w tej chwili to się skończyło. Prawie każdy z nas stara się pomóc uchodźcom z Ukrainy.

Podobno Capitol też pomaga?

– Właścicielem budynku, w którym gramy, jest Towarzystwo Polska-Wschód, to spadek po dawnym TPPR – oni są dzisiaj towarzystwem, które autentycznie pomaga Polakom na Wschodzie. W przeszłości negocjowaliśmy czynsze, nie bez pewnych napięć, ale teraz połączyliśmy siły, ponieważ oni mają fantastyczną fundację, Dziedzictwo Kresów, która dzisiaj pomaga wszystkim w Ukrainie, nie tylko Polakom. Podjęliśmy z nimi współpracę i z każdego sprzedanego biletu przeznaczamy 5 zł na tę fundację. Ludzie, którzy przychodzą do teatru, są „usprawiedliwieni”: nie przychodzą tylko po to, aby się oderwać, bo jednocześnie robią coś pożytecznego. Pokazujemy, ile świetnych rzeczy robi wspierana przez nas fundacja. Nie myślałam, że będziemy tak blisko ze sobą pracować, a publiczność będzie z tego tak zadowolona, jak to okazuje. Wiemy, że pomoc musi być długofalowa, bo potrzeby wciąż rosną. Po spektaklach publiczność nas oklaskuje, ale my klaszczemy publiczności, dziękując za wsparcie. Powstaje jakiś nowy rodzaj więzi, bo łączą nas wspólny cel.

Mówimy o kryzysie wywołanym inwazją rosyjską w Ukrainie, ale jako teatr przeszliście niedawno przez istne tsunami wywołane pandemią.

– Pandemia nas totalnie załatwiła, bo nas zamknęła. Jak myśmy to przetrwali, sama nie wiem – cudem przetrwalimy.

W cuda nie wierzę.

– Powiem szczerze, jak było. Przed pandemią tak nam świetnie szło, że chcieliśmy wybudować i otworzyć nową scenę. Zbieraliśmy na to pieniądze, oszczędzaliśmy każdy grosz. I to nas uratowało, ten „fundusz inwestycyjny”, po którym teraz pozostało tylko wspomnienie. Sami sobie pożyczaliśmy pieniądze.

A pomoc z tarczy?

– Dostaliśmy tarczę jak wszyscy, tarcza też zadziałała, bardzo nam pomogła. I jak już zaczęliśmy się otrepywać z tego wszystkiego, to nagle wybuchła wojna. Czy teatr to przeżyje, nie wiem.

Przed pandemią pracowaliście bardzo intensywnie. A jak to teraz wygląda? Czy ta lokomotywa bardzo zwolniła?

– Lokomotywa stanęła. Trochę zaczęliśmy ją znowu puszczać w ruch. Jest teraz inaczej, ludzie nie myślą, tak się wydaje, o teatrze, ale jednocześnie chcą się oderwać od codzienności. Wprowadziliśmy tuż przed pandemią nowy system sprzedaży biletów – mamy własne call center, dziewczyny dzwonią i zapraszają do teatru, docieramy w ten sposób do konkretnego odbiorcy. Dziennie możemy się dodzwonić do około tysiąca potencjalnych widzów. I dzięki temu monitorujemy, co się dzieje – w pierwszych dniach wojny sprzedaż bardzo spadła. Z innego powodu niż w trakcie pandemii, kiedy ludzie bali się zarazić. Musieliśmy przekonywać, że teatr jest bezpieczny. Teraz wracają, widzimy, że w teatrze oddychają, przez dwie godziny czują się wyłączeni spod naporu trudnych wiadomości.

Wróćmy jeszcze do twojego jubileuszu. Jako szefowa mogłaś zaprosić każdego, nawet Johna Malkovicha. Dlaczego zaprosiłaś właśnie Olafa Lubaszenkę. Pytam, choć spodziewam się odpowiedzi.

– Ciekawa jestem jakiej?

Że poprzecznie sympatycznie wam się pracowało.

– A wiesz co? A nie.

Nie?

– Pracowało nam się sympatycznie, ale rzecz polegała na czymś innym. Zaczęliśmy szukać pieniędzy z każdej strony. Nigdy nie wyciągaliśmy ręki po pomoc, ale podczas pandemii zaczęliśmy brać udział w konkursach, składać projekty. Jednym z nich był festiwal „Capitol w drodze”. Pomysł polegał na tym, że spektakl po premierze warszawskiej, która się spodobała, wyjeżdżał w objazd, ale do takich miejsc, do których w ogóle teatr nie dociera. A my jesteśmy tak przygotowani technicznie, że możemy postawić teatr nawet na Księżycu. Społecznie projekt wyglądał nieźle, więc dostał pieniądze. Problem polega na tym, że dostał jedną dziesiątą tych pieniędzy, o które występowaliśmy. I trzeba było wymyślić formułę tanich, małych spektakli. A nasze spektakle nie do końca są tanie.

Jesteśmy teatrem komercyjnym, aktorzy naprawdę sporo zarabiają. Wobec tego jak zrobić tanio? Tanio mogę, obsadzając sobą, na szczęście

jestem aktorką i mogę w swoim teatrze zagrać za darmo. Kogo jeszcze mogę poprosić? Jakiegoś zaprzyjaźnionego aktora, kolegę, który zagra za jedną czwartą, a próby robi za darmo. Dlatego padło na Olafa, który jest aktorem i reżyserem. Stworzyliśmy spektakl „dwójkowy”, który tylko dlatego wyprodukowaliśmy, że zrobiliśmy większość za darmo albo prawie za darmo, naprawdę za symboliczne pieniądze, mając w perspektywie, że kiedyś to nam się zwróci.

Ala najpierw musieliście zainwestować siebie.

– Nie mogłam o to prosić aktora, którego nie znam. To mógł być tylko ktoś zaprzyjaźniony.

John Malkovich odpadał.

– Olaf oprócz tego, że jest erudyta, fantastycznym człowiekiem, którego bardzo szanuję, nie przywiązuje wagi do pieniędzy. Musi je zarabiać jak każdy, ale ma do tego stosunek pełen luzu. Poprosiłam zaprzyjaźnioną tłumaczkę, żeby też potraktowała nas ulgowo. Spektakl powstał więc w reżimie oszczędności, a że stał się fantastycznym przedstawieniem i przyciągał, to zasługa pewnego zabiegu. Żeby nam się dobrze pracowało, Olaf wymyślił, żebyśmy grali nie postacie ze sztuki, ale siebie. Gramy więc siebie w tych postaciach. Zazwyczaj jest tak, że aktor gra postać. Dostajesz scenariusz, masz do zagrania postać, wchodzisz w nią lepiej czy gorzej. Tym razem tekst zmienialiśmy pod siebie. Mało tego, po kilku spektaklach, zagranych na rozbieg, Olaf sięgnął po sposób, który stosują Anglicy – zmieniał tekst na podstawie reakcji widzów. Tłumaczka miała na tyle poczucia humoru, że przyjęła tę koncepcję. Toteż kiedy zmieniliśmy już tak wiele, trzeba było dodać w zapowiedzi: „spektakl częściowo improwizowany”. I tak rzeczywiście jest, grany jest z publicznością, Olafowi to wychodzi, bo jest świetny w ripostach, a ja się uczę. Przypominają mi się czasy pracy z Hanuszkiewiczem, który tuż przed premierą – tylko młodzi mogli to znieść – przychodził i komunikował: ty już tego wiersza nie mówisz, ty weźmiesz jego zwrotkę, a ty dodasz jeszcze jedną. Tak było zawsze, on tak reżyserował. Ja to teraz mam znowu z Olafem. ■

KŁAMSTWO

Niegdyś za poważnie piętnujące uważane były słowa *łgać* i *łgarstwo* (dawniej *też*), które dziś dzięki archaiczności zyskały pewien żartobliwy odcień. Słowo *kłamać* oznaczało raczej 'szydzić, żartować', także 'udawać', wreszcie 'przeczyć, nie być w zgodzie' – a dzisiejsze znaczenie jest późniejsze. *Kłamać* to teraz tylko 'świadomie wprowadzać w błąd, mówiąc nieprawdę', i już. No, może czasem też 'mylić się', jak w zwrotach *żeby nie skłamać* czy *nie, kłamię, to było inaczej...*

Abstrakcyjne znaczenie słowa *kłamać* miało źródło w fizyczności. Praindoeuropejski rdzeń *kle-m-/klo-m-* oznaczał 'pochylać, zginać', a prasłowiańskie *kłamati* – 'chwiać, kotłować'. Ta chwiejność może się nam już, choćby odlegle, kojarzyć z niepewnym stosunkiem do prostej drogi, a potem do najpierw żartobliwego, dalej już nagannego odstępowania od prawdy.

Tak było z *kłamaniem* i z *kłamem*, który to rzeczownik najpierw oznaczał 'szyderstwo, drwiny, żart', potem 'pomyłkę, błąd', wreszcie 'fałsz, nieprawdę'. Ludzi można było *postawić* (lub *położyć*) w *kłam* albo też *zadać im kłam*, co najpierw oznaczało 'wystawić na drwiny', potem dopiero (i do dziś) – 'zarzucić kłamstwo'. Jeszcze w XV w. kłamali *kłamnik*, *kłamacz* i *kłamca*, najpierw jako błażni i szydercy, potem jako oszuści, dziś już pozostał z tego towarzystwa ten ostatni, niegodziwy nieprzyjaciel prawdy – później w towarzystwie nieco łagodniej traktowanego *kłamczucha*.

Dziś kłamstwo to nie żarty. Kiedy wysoce nagannemu mówieniu nieprawdy chcemy odebrać trochę niegodziwości, mówimy o *mijaniu się z prawdą*, *koloryzowaniu*, o *skrótach myślowych* czy o *nadużyciach semantycznych*, bo gdy użyjemy słowa *kłamstwo*, to sprawa robi się poważna. *Kłamstwo* łatwo przybiera takie określenia jak *podłe*, *bezwstydne*, *bezeczne* i *bezczelne*, a także *wierutne*. Jest też potrzeba określenia jego intensywności: *kłamię się na potęgę*, *ile wlezie, jak z nut*, *aż się kurzy*, a najgorzej, gdy ktoś *kłamię w żywe oczy*. *Kłamstwo* bywa w pewnym

KŁAMSTWO to nie żarty

Prof. Jerzy Bralczyk o tym, co straszy
ludzką od zarania dziejów

sensie instytucjonalizowane, a także ideologizowane, mamy więc *kłamstwo oświeceniowskie* i *kłamstwo katyńskie*, a niektórzy próbują dodać tu i *kłamstwo smoleńskie*; mówi się o *życiu w kłamstwie* i o *cywilizacji kłamstwa*... Łatwo też w rozgoryczeniu przejść od niemal banalnych stwierdzeń w rodzaju *prasa kłamie*, *politycy kłamią*, *reklama kłamie* do sądów typu *wszyscy kłamią* czy *świat jest oparty na kłamstwie...*

Na szczęście większość z nas jest przekonana, że tak naprawdę to *kłamstwo ma krótkie nogi* i że *prawda zwycięży*... A mimo to zdarza nam się kłamać ze strachu.

NIENAWIŚĆ

Jeszcze w XVI w. mieliśmy w polszczyźnie czasownik *nawidzieć*, który znaczył 'przyjaźnie patrzeć, widząc', czyli 'mieć w kimsz upodobanie', a dalej wręcz 'kochać, miłować'. Zaprzeczeniem tego *nawidzenia* była *nienawiść*, obecna już

mają nazwy proste i wygodne: dla Włochów i Hiszpanów nienawiść to *odio*, dla Francuzów *haine*, dla Niemców *Hass*, dla Szwedów i Norwegów *hat*, dla Duńczyków *had*. Anglicy mają bardziej złożone *hatred*, ale czasownik jest poręczny: *hate*. Chciałoby się sądzić, że i żywienie tego uczucia u Słowian nie jest tak naturalnie proste jak gdzie indziej i wiąże się z większym wysiłkiem, ale chyba takiej zależności nie ma. Tyle że trudniej dziś być *nienawistnikiem*, sięjąc w internecie nienawistne wpisy, niż być *hejterem*: *hejtowanie* to coś, co tak zresztą się nazywa, że i przyznać się do tego łatwiej.

Sobie nienawiść rzadko przypisujemy. Czasem co najwyżej, z jawną przesadą, mówimy, że nienawidzimy kłamstwa czy głupoty, często półżartem emocjonalnie reagujemy na niepowodzenia okrzykiem wyrażającym nienawiść, ale każdy wie, że ma to raczej służyć odreagowaniu niż okazaniu prawdziwego, trwałego uczucia.

Stare słowniki widzą w **nienawiści** trwały i silny gniew, łączą ją ze wstrętem, pogardą.

w prasłowiańszczyźnie, nazywająca taką niechęć do widzenia kogoś, że przechodziła ona w najsilniejsze bodaj negatywne uczucie. Stare słowniki widzą w *nienawiści* trwały i silny gniew, łączą ją ze wstrętem, pogardą, „złożycieniem”, mściwością, zawziętością; w nowszych jest ukazywana jako bliższa silnej wrogości czy niechęci niż gniewowi. W każdym razie złożony to czasownik i złożony rzeczownik, jak zresztą we wszystkich językach słowiańskich. Inne języki

A jaka jest prawdziwa nienawiść, pokazuje nam jej bogata frazeologia. A więc bywa *nienawiść nieubłagana*, *dzika*, *głęboka*, *śmiertelna*, *fanatyczna* i *namiętna*, *wściekła* i *zażarta*. Może być *ślepa*, a także *głucha*. Bywa *zimna*, ale i *gorąca* – w końcu można nią *pałać*, *płonąć* i *ziać*, a ona sama *pali*. Można ją także *wzniesić* i *podsycać*, a słysząc też o *plomieniach nienawiści*. Jej wyobrażenie jest jednak bogatsze, bo też można ją *siać* czy po prostu *szerzyć*.

Jest uczuciem powszechnym i powszechnie potępianym. W wymiarze społecznym niezwykle groźna, w wymiarze indywidualnym psychicznie wyniszczająca, zwłaszcza gdy bywa głównym motorem działań, nienawiść jest jednak dla swojej intensywności często zestawiana z miłością. Jeden z najbardziej znanych Horacjańskich cytatów to sławne *odi et amo*, a niemieckie połączenie *Hassliebe* wydaje się mieć zastosowanie we wszystkich językach i kulturach. Strasznie intensywna relacja.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Odpowiedzialność to coś, co możemy *czuć* i co możemy *ponosić*. *Odpowiedzialny człowiek* to ktoś godny

ale jeszcze *komuś* lub *przed kimś*. Co ciekawe, nie tylko my możemy *komuś odpowiadać* (albo on nam), ale i *coś* może *nam odpowiadać* – ale wtedy jest w porządku. „Odpowiada mi to” mówimy i znaczy to, że jest jak trzeba. *Odpowiedzialność* bierze się z przymiotnika *odpowiedzialny*, rozszerzonego o *-ość*, zaś *odpowiedzialny* – z czasownika *odpowiedzieć*, czyli ‘powiedzieć, reagując na czyjeś słowa’, a potem w ogóle ‘zareagować’, bo odpowiadamy nie tylko słowami. Zresztą sama *odpowiedź* znaczyła kiedyś tyle, co ‘wyzwanie, pogróżka’, nawet ‘niezgoda, waśń’.

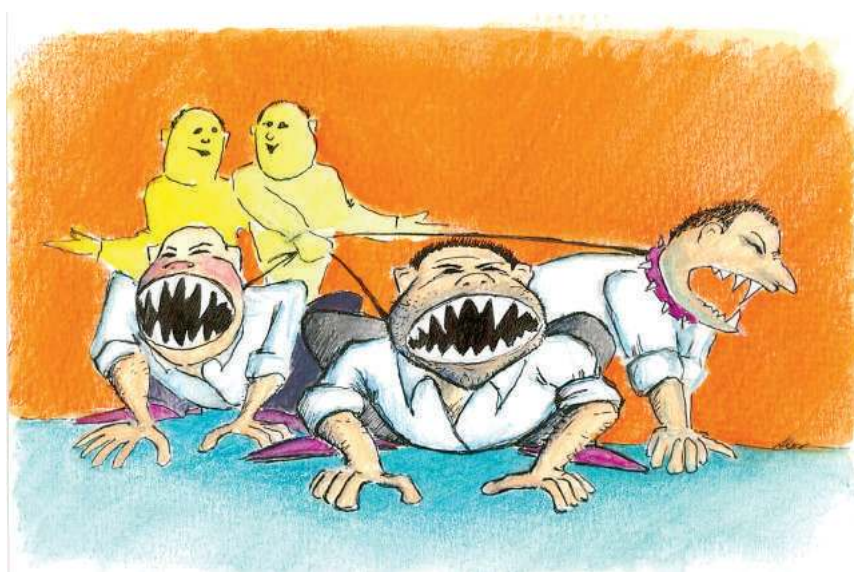
Polska *odpowiedzialność* jest z początku XIX w., ale szybko się zaczęła rozprzestrzeniać, zręcznie dając się

Ale bardzo często boimy się przyznać, że boimy się *odpowiedzialności*...

PRAWDA

Rzeczownik *prawda* był kiedyś regularnym antonimem rzeczownika *krzywdą*. Miały ten sam przyrostek; przymiotnik *praw* znaczył ‘prosty’, a jego antonimem był *krzyw*. Różnie się potoczyły losy tych słów: *krzyw* znaczyło kiedyś w przenośni ‘nieprzychylny’, a *praw*, *prawy* – zyskało znaczenie etyczne. Określenie *człowiek prawy* oznaczało kogoś więcej nawet niż uczciwego, to był raczej ktoś wzniośle szlachetny. *Krzywdą*, jako ‘nieprawość’, pozostała znaczeniowo ‘niesprawiedliwością’, *prawda* zaś była jej przeciwieństwem, czyli ‘prawością’, ‘sprawiedliwością’. Była więc w ten sposób niejako cechą człowieka i jego postępowania.

Potem jeszcze awansowała – nie wystarczyło jej już odnoszenie się do najwyższej chyba z cnót, zaczęła wiązać się ze sprawami poważniejszymi. Z jednej strony stała się podstawową wartością filozoficzną i logiczną: jako jedna z najważniejszych relacji, mianowicie zgodność sądów z rzeczywistością, warunkuje wszystko, co nie tylko mówimy, lecz i myślimy. Z drugiej zaś strony stała się trudno wyobrażalnym, abstrakcyjnym bytem, stanowiącym o łańdźce wszechrzeczy, czymś, w czym musimy się *odnaleźć* i do czego musimy *dążyć*. Taka *prawda ma nas wyzwolić*, my jej *mamy szukać*, potem *dać jej świadectwo*, a wreszcie *jej służyć*. Jest w ten sposób od nas niezależna, jest poza nami, inaczej niż wykoncypowane przez nas samych kłamstwa. Gorzej, że zdaniem niektórych *prawda boli*, a nawet *musi boleć*, a gdy jest *cała i naga*, bywa zwykle *okrutna*, a co najmniej *gorzka*, nawet gdy jest *czysta i święta*. I jeszcze *w oczy kole*, zwłaszcza *mówiona*, a często wręcz *rąbana* i *wygarniana prosto w te oczy*. Jej samej z kolei *trudno w oczy spojrzeć*. Jawi się zatem *prawda* jako coś zewnętrznego wobec nas – i bezwzględnie koniecznego. Ta bezwzględność polega też na tym, że *prawda* tak czy owak *wyjdzie na jaw*, *wypłytnie*, *jak oliwa*, *na wierzch*.



zaufania. Jeśli jednak dodamy wyrażenie przyimkowe z przyimkiem *za*, sprawa się komplikuje. Ktoś *odpowiedzialny za coś* może mieć tę *odpowiedzialność* jakoś przydzieloną, może ona wynikać z jego obowiązków, ale gdy mówimy, że on ją *ponosi*, to przypisujemy mu częściej *nieodpowiedzialność*. W związku z tym można go *pociągnąć do odpowiedzialności*, co bywa równoznaczne z wymierzeniem kary za *nieodpowiedzialne* postępowanie. Nawet kiedy czujemy się *odpowiedzialnymi* ludźmi, nie zawsze chcemy *odpowiadać za coś*, być *za to odpowiedzialnymi*. A gdy czasem usłyszymy: „Odpowiesz mi za to!” – to mamy się czego obawiać. Wtedy mamy *odpowiadać* nie tylko *za coś*,

zastosować do różnych ludzkich cech i relacji. Choć łączy się z ważną postawą wobec świata, zaczęła występować jako coś niekoniecznie absolutnego, skoro można ją ograniczać. *Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością* jest już nowym pomysłem.

Pojęcie *odpowiedzialności*, jakkolwiek tak wieloaspektowe, że aż rozmyte, jest potrzebne. Mało tego, jest postrzegane jako cnota społecznie niemal najważniejsza. Taką *odpowiedzialność*, chcąc nie chcąc, odczuwamy – może i bywa nam z nią niewygodnie, ale to ona świadczy o naszym poważnym stosunku do świata i ludzi, a bez poczucia, że i inni są wobec świata i nas *odpowiedzialni*, nie czulibyśmy się bezpiecznie.

► Obowiązek względem tej nieubłaganej prawdy odbiera jej trochę uroku, *prawda?* Wprawdzie mamy trochę oswojonych kuzynów, *tak naprawdę* miłych i *doprawdy* sympatycznych, *co prawda to prawda*, ale *sama prawda i tylko prawda* wywołuje u nas często, *prawda*, jakiś niepokój. Niektórzy próbują z nią negocjować, to oni najczęściej mówią, że *prawda leży pośrodku*, ale ona leży tam, gdzie leży, a właściwie stoi i ruszyć się nie da. (...)

WOJNA

„O wojnę powszechną za wolność ludów, / Prosimy Cię, Panie” – pisał w „Księgach pielgrzymstwa polskiego” Adam Mickiewicz i, jakkolwiek mogło to w tamtej sytuacji narodowowyzwoleńczo-romantycznej mieć uzasadnienie, przecież dziś brzmi w naszych uszach strasznie.

Wojna jest, zwłaszcza dla tych, którzy doznali jej i jej skutków, rzeczą omal najstraszniejszą, i samo słowo *wojna* u wielu wywołuje odruch przerażenia. Pewnie w długich bezwojennych czasach słowo traci na mocy, jego przesadne użycia w odniesieniu

do różnych swarów, sporów i nieporozumień wycierają znaczenie, oddalają skojarzenia i w ogóle łagodzą. Obfitość wykorzystywania artystycznego, literackiego, filmowego, medialnego tematyki wojennej czyni zaś słowa *wojna*, *wojenny* atrakcyjnie zwiększającymi zainteresowanie. Nadmiernie chętnie realizowana przesadna skłonność do uwyrażnienia

przymiotnik *wojn*, który dał potem rzeczownik *wojna*, już w językach słowiańskich przyjęty jako nazwa zbrojnego konfliktu, owocującego licznymi walkami.

„Na wojnie jak na wojnie” – tak przełożono francuskie powiedzenie, które miało na celu językowe usprawiedliwienie wszystkich okropności wojny („Les désastres de la guerre”

Samo słowo *wojna* u wielu wywołuje odruch przerażenia.

własnych postaw, wagi chwili, nasilenia konfliktu bywa, że desensualizuje, odwraca naszą reakcję na to słowo. Ale gdy przyjdzie użyć go serio, strach wywoływać wciąż powinno.

Praindoeuropejski rdzeń *uei-* oznaczał podobno ‘ściągać coś, dążyć ku czemuś’. Takie gwałtowne zazwyczaj ściąganie dało w prastłowiańskim rzeczowniku *voj*, który miał różne znaczenia, to był i ‘bój’, i ‘wojsko’, i ‘wojownik’. Odnosił się do tego wszystkiego prastłowiański

to tytuł serii obrazów Goi). Opatrywanie numerami czy nazwami wojen, uhistoryczniając je językowo, zdaje się oswajać nas z naturalnością konfliktów zbrojnych, ale wojna wojną pozostaje. I jak mówiło dziwne

polskie powiedzenie: „Pani Wojnina może rodzić ludzi, ale wojna ich tylko gubi”.

I budzi najpierw obawy, potem strach, wreszcie, gdy wybuchnie, twogę.

Fragmenty książki Jerzego Bralczyka *Strach się bać*, Bosz, Olszanica 2022



Filharmonia
Narodowa

1901

2021

Szymanowski / Mahler

Koncertы pamięci Maestro Kazimierza Korda
w pierwszą rocznicę śmierci

29/30.04

Orkiestra Filharmonii Narodowej

Andrzej Boreyko – dyrygent

Augustin Hadelich – skrzypce

Na koncerty zaprasza
PKO Bank Polski –
Strategiczny Mecenat Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Nicholas Griffin

tłum. Rafał Lisowski

Miami 1980. Rok niebezpiecznych dni

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022



Trup w bagażniku, strzelanina na autostradzie, przerzut ton kokainy, dziennikarka na tropie śmierdzącej sprawy – nie dowierzam, że trzymam w rękach reportaż. Nicholas Griffin godzi wyniki żmudnej kwerendy i reportersko-polityczną analizę z piórem wytrawnego pisarza, sięgając po chwytły stylistyczno-narracyjne rodem z prozy sensacyjnej: tempo narracji jest zawrotne, intryga koronkowa, do tego mnóstwo wątków i postaci. A dzieje się to wszystko w feralnym dla Miami roku 1980, który okazał się iskrą pod beczką prochu, na której południe Florydy siedziało od lat. Miasto zmagало się z przestępczością większą niż w Chicago w latach 20., uderzył w nie przyływ nielegalnych imigrantów, wybuchły zamieszki rasowe – oto obraz 12 miesięcy. Brawurowo skonstruowana, ale też niebywale gorzka książka pokazuje eksplozję strachu, przemocy i furii, z której reszta Ameryki nie wyciągnęła w porę wniosków.

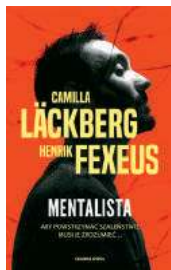
Mateusz Demski

Camilla Läckberg, Henrik Fexeus

Mentalista

tłum. Inga Sawicka

Czarna Owca, Warszawa 2022



Specjalny zespół dochodzeniowy sztokholmskiej policji to ostatnia deska ratunku dla Rubena i Miny. Szkoda byłoby zmarnować ich talenty, ale kiepsko funkcjonowali w poprzednich grupach. Z różnych powodów. Ruben to niereformowalny seksoholik i seksista, a więc element konfliktogenny i słabe ogniwo. Mina dezynfekuje wszystko wokół, widać jednak, że za ostrym przypadkiem mizofobii coś się kryje. I właśnie ona wprowadza do ekipy Vincenta Waldera – mentalistę, specja od mowy ciała i od trików iluzjonistycznych, co w tej sprawie jest kluczowe, bo sztuczkami magicznymi inspirował się morderca. Czyli schemat jest znany – mamy grupę śledczych z ich osobistymi problemami oraz zbrodniarza do złapania. Ale że wypełnienie tego szablonu treścią jest zręczne, zamknąwszy solidne tomszyszcze, z przyjemnością myśli się o ciągu dalszym. Napisany w duecie ze znawcą tematyki „Mentalista” to okazja, by odnowić znajomość z Camillą Läckberg, jeśli odpadliście gdzieś na etapie Fjällbacki jako szwedzkiej stolicy zbrodni.

Aleksandra Pańko

SERIAL

Odwilż

reż. Xawery Żuławski,

prod. Polska,

dostępny w HBO Max



Polskie produkcje HBO wydobywają walory miejsc, do których filmowcy rzadko się zapuszczają. „Wataha” pokazała piękno i grozę Bieszczad, a teraz „Odwilż” to samo robi ze Szczecinem, który skąpany we mgle ma klimat rodem ze skandynawskich kryminałów. Serial jednak ich nie kopiuje, ma własną tożsamość. Choć fabuła osnuta jest wokół morderstwa, ważne są także inne kwestie, choćby przedkładanie roboty nad macierzyństwo. Owdowiałą policjantkę gra magnetyzująca Katarzyna Wajda, która niewiele ma z matki Polki. Jej małą córką zajmuje się teść, a ona ucieka od problemów i emocji w śledztwo ustalające mordercę córki prokuratora okręgowego. Serial oferuje zajmującą intrygę, ale też pogłębiony portret kobiety, która musi się zmierzyć z prywatną tragedią, patriarchalną strukturą policji i własnymi niedoskonałościami. Ekranowa policjantka jest ludzka: popełnia błędy, nie ma supertalentów. Jest pokazana bez idealizowania. Może takich produkcji nam dziś trzeba, żeby jakoś odczarować obraz nieludzkiej policji?

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

**Pieskie myśli**

Nowa interpretacja noweli Gogola, nieraz już bywającej podstawą spektaklu jednoosobowego. Wymarzony materiał dla aktora, który chce pokazać stadia przemiany przeciętnego człowieka w ponadprzeciętnego szaleńca.

Przedstawienie powstałe we współpracy mistrza i ucznia, Krzysztofa Majchrzaka i Ignacego Martusewicza, to studium infekcji uwodzącej siłą wywyższenia, wkroczenia do niedostępnego świata luksusu i władczej potęgi. Ten wirus atakuje duszę urzędnika niskiego szczebla, Poprząsacza, który przemienia się w człowieka sukcesu – we własnym mniemaniu. Martusewicz gra go efektownie, ale nie efekciarsko. Wspomaga się sztuczkami – Poprząsacz jest iluzjonistą amatorem. Bawi się rytmicznie poruszającymi kulkami na uwięzi, przemyślnie tasuje karty i wydaje za ich pomocą niepokojące dźwięki. Gwiżdże, szczeka i wyje jak pies, wykonuje niczym chór cerkiewny hymn „Boh, caria chrani”. Zmienia się też fizycznie – na początku nienagannie ubrany urzędnik, na koniec wygląda jak ludzki zewłok. Leży w odległym punkcie przestrzeni scenicznej jak embrion, który przed chwilą przywoływał na pomoc matkę. Nie wychodzi do okłasków. Umarli się nie kłaniają.

Tomasz Miłkowski

„O czym myślą psy” na podstawie opowiadania Mikołaja Gogola, adaptacja, scenografia i muzyka Ignacy Martusewicz i Krzysztof Majchrzak, Collegium Nobilium, premiera 11 grudnia 2021

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Ile jedzenia ląduje w koszu po świętach?

– Dwa-trzy razy więcej niż w innych miesiącach, co pokazują najnowsze dane Kantar Public.

Czyli?

– Można założyć, że nawet 8-10 kg w tygodniu świątecznym.

Nic dziwnego, 38% Polaków otwarcie deklaruje, że wyrzucali jedzenie po Wielkanocy.

– Nadal wyrzucamy bardzo dużo, chociaż widać tendencję zniżkową. W badaniach ogólnych, nieświątecznych, przyznaje się do tego ponad 40%. Co ciekawe, na pytanie: „Czy kiedykolwiek po Wielkanocy zdarzyło się w twoim domu wyrzucić jedzenie przygotowane z myślą o świętach?” – w badaniu zrealizowanym dla właściciela aplikacji Too Good to Go – twierdząco odpowiadały przede wszystkim osoby w wieku 30-39 lat (49%) i 18-29 lat (48%). A to pokazuje, że młodzi stanowią wysoki odsetek tych, którzy żywność marnują. Mimo że wielu z nich deklaruje troskę o planetę. Najbardziej jedzenie po świętach wyrzucają osoby powyżej 60. roku życia.

Niezależnie od wieku ankietowanych co najczęściej trafia po świętach na śmietnik?

– Głównie sałatka jarzynowa (62%), ale też pieczywo (39%) i różnego rodzaju szynki (25%). Nie brakuje warzyw i owoców (23%), choć wysoko na liście znalazły się także wielkanocne symbole, np. baranek z cukru (23%) czy jajka na twardo (21%). Polacy przywiązani do tradycji – aż 84% przygotowuje pisanki lub kraszanki z jajek gotowanych – też nierzadko wrzucają je potem do kosza (19%). Jeśli zestawić to z badaniami z całego roku, okaże się, że lista produktów będzie dość podobna, z wyjątkiem oczywiście sałatki jarzynowej. Przy czym najwięcej będzie pieczywa (23,7%), wędlin (12,8%) i świeżych owoców (12,6%). Podobne badania Banki Żywności realizują co roku z okazji Światowego Dnia Żywności – wahania są minimalne, zmieniają się jedynie odsetki.

Święta w koszu

Każdego roku Polacy wyrzucają aż 3 mln ton jedzenia. Po Wielkanocy więcej niż w zwykłe dni

**BEATA CIEPŁA**

– prezes Federacji Polskich Banków Żywności

Czym tłumaczyć te tony jedzenia w koszu po świętach?

– W dużej mierze to nasza wina. Po pierwsze, kupujemy za dużo i przygotowujemy większą ilość jedzenia, niż jest to konieczne na dwa dni świąt – tak robi co najmniej połowa z nas. Po drugie, wyrzucamy,

po świętach. Ba, duża część, bo co szósty Polak, w ogóle nie jest zainteresowana inspiracjami dotyczącymi niemarnowania żywności. I znowu moglibyśmy te dane porównać z powodami, dla których w polskich domach jedzenie trafia do kosza w ciągu roku.

Wtedy jednak będzie już widać znaczne różnice.

– Tak, bo na pierwszym miejscu wśród powodów wyrzucania jedzenia jest zepsucie się żywności (65,2%). Następne to przeoczenie daty ważności (42%) i przygotowanie zbyt dużej ilości jedzenia (26,5%). „To duże różnice w stosunku do ubiegłego roku, kiedy w czółówce plasowały się kolejno: przegapienie terminu przydatności do spożycia (29%), zbyt duże zakupy (20%) i zakup produktu złej jakości (15%)”, o czym pisze w opracowaniu prof. dr hab. Danuta Kotożyn-Krajewska z SGGW. Nauczyliśmy się zwracać większą uwagę na to, co wkładamy do koszyka. Wiemy, że np. bułka odpiekana z mrożonego ciasta tak naprawdę jest dobra i smaczna tylko przez kilka godzin. Ekspertki wskazują za to, że wzrosła „liczba wskazań na brak pomysłu na wykorzystanie składnika – niemal dwukrotnie (z 5% do 10%)”.

Wyrzucenie jednej kanapki z żółtym serem oznacza stratę ok. 100 litrów wody.

bo jedzenie zdąży już się popsuć (to także połowa z nas). Zgodnie z polskim „Zastaw się, a postaw się”, nie ma mowy o Wielkanocy bez suto zastawionego stołu. Po trzecie, nie mamy wiedzy. Co ósmy z nas nigdy nie przerabiał jedzenia

Do tego dochodzą zbyt duże opakowania...

– ...którą to przyczynę wskazało aż 17%. Niektóre produkty musimy kupić w zgrzewce czy np. w opakowaniu 300 g. Choć, jeśli mieszkamy sami, wystarczyłoby nam



Coraz bardziej popularne są jadłodzielnie. W Warszawie jest ich 40, w tym przy ul. Stawki 5/7 w Śródmieściu.

w zupełności 100 g albo 150 g. Tutaj nasza wina nie jest już tak duża – to brak wyboru. Jeszcze innym powodem marnowania żywności jest niewłaściwe przechowywanie, które wskazało 14% badanych.

„Zdarza się”, wrzeszczą ramionami Polacy. Inni zapytają: „Jakie to ma w ogóle znaczenie, że stara sałatka trafi do kosza?”

– Musimy sobie uświadomić, że żywność to nie tylko sam produkt i opakowanie, ale także proces jej wytworzenia. Droga od pola do stołu, a następnie niestety do śmietnika, oznacza zużycie realnych zasobów. Czy to energii, czy np. wody. A trzeba wiedzieć, że woda przy produkcji żywności leje się strumieniami. Dość powiedzieć, że wyrzucenie jednej kanapki z żółtym serem oznacza stratę ok. 100 litrów wody.

A że dziennie potrzebujemy ok. 150 litrów...

– ...na mycie, picie i np. gotowanie, to możemy założyć, że jedna kanapka równa się dwóm trzecim naszej codziennej racji wody. Może

więc być tak, że marnujemy więcej, niż jej potrzebujemy do codziennego funkcjonowania. Inny przykład – 1 kg ziemniaków, który trafi na śmietnik, to strata co najmniej 300 litrów wody, a 1 kg wołowiny – aż 6 tys. litrów wody. Tak, aż tyle wody potrzeba, by wołowina mogła się znaleźć na naszym talerzu. Do

1 kg ziemniaków, który trafi na śmietnik, to strata co najmniej 300 litrów wody, a 1 kg wołowiny – aż 6 tys. litrów wody.

tego każda tona żywności, która trafi na wysypisko, emituje do atmosfery 4,2 tony dwutlenku węgla. Co do zasady ok. 20% produkcji gazów cieplarnianych ma związek z produkcją, przetwarzaniem, transportem i przechowywaniem żywności.

Staramy się jednocześnie pokazać, że choć nieświeża sałatka czy 2 kg wyrzuconego jedzenia to może niedużo, musimy tę porcję przemnożyć przez liczbę mieszkańców, dni, miesiące. Wtedy się okaże np., że w każdej sekundzie w Polsce

wyrzucane są do śmieci 184 bochenki chleba. Powiem więcej, według badań PROM, w których Banki Żywności brały udział, na etapach produkcji, przetwórstwa, dystrybucji i konsumpcji w Polsce marnuje się prawie 5 mln ton żywności rocznie.

Ale i tak najwięcej marnujemy my sami, konsumenci – aż 60%, czyli niemal 3 mln ton.

– Innymi słowy, każdego roku Polacy wyrzucają do kosza aż 3 mln ton jedzenia. Rocznie na jedną osobę przypadają aż 93 kg! W tygodniu – ok. 1,7 kg. W święta odpowiednio więcej. A przecież można inaczej. Tym bardziej że aż 65% Polaków samodzielnie przygotowuje jedzenie na Wielkanoc, co też pokazały badania.

A to oznacza, że mamy realny wpływ na ograniczenie marnowania jedzenia w tym czasie.

– Poza tym Polacy w ogóle mają, takie przynajmniej są deklaracje, potrzebę niemarnowania żywności – 64% chce w tym roku zwracać większą uwagę na tę kwestię. Co wynika, jak tłumaczą, głównie z obecnej sytuacji gospodarczej i rosnących cen produktów. Rządziej ze świadomości negatywnego wpływu marnowania jedzenia na środowisko naturalne. Chociaż swoje robią moda na ograniczanie spożycia mięsa i ruchy popularyzujące dzielenie się jedzeniem.

Jeśli zapytać Polaków o sposoby na ograniczenie marnowania żywności, wymieniają np. odpowiedni

sposób przechowywania. Tak wskazała ponad połowa badanych.

– Ale również unikanie nieprzeemyślanych zakupów – mówi o tym prawie połowa – czy wybieranie produktów z długim terminem przydatności do spożycia (niemal co trzeci z nas).

Tyle że to jeszcze nie rozwiązuje problemu.

– Tak, bo do popularnych i znanych sposobów walki z marnowaniem jedzenia powinno należeć przerabianie. Obok dzielenia się ▶

► nadwyżkami czy to z rodziną, czy z potrzebującymi. W grę wchodzi także np. korzystanie z odpowiednich aplikacji.

Skoro już o przerabianiu mowa, to co można zrobić z sałatką jarzynową?

– Jeśli już dodaliśmy do niej majonezu – niewiele, bo nie można jej potem zamrażać. Ale warto, jak już sobie jej nakroję dużo i na zapas, dodać majonezu tylko do tej części, którą jem na bieżąco. Potem w miarę potrzeby dorobię nowe porcje sałatek. A jak przestanę mieć na nią ochotę, schowam pokrojone warzywa do zamrażalnika. Za tydzień czy dwa zjem z przyjemnością. A nie teraz – na siłę i za karę

W skali roku dwa lata temu średnia rodzina wyrzucała żywność za 2,4 tys. zł. Dziś to już ok. 3 tys. zł.

A co z jajkami?

– Jajek nie zaleca się zamrażać, musimy więc je przetworzyć. Te ugotowane, które zdążyły już zmienić kolor od kraszenia, możemy zemleć, dodać do nich zieleninę i zrobić choćby pastę jajeczną. Możemy też wrzucić je do żurku albo do białego barszczu. Kiedy je podgotujemy, nabiorą dodatkowego smaku. Surowe białko? Można upiec bezy. Żółtko? Utrzeć majonez.

Surowe żółtko – o czym wie niewiele – można zamrażać. Wcześniej jednak koniecznie trzeba je posolić.

– Podobnych przykładów nie brakuje – tu odsyłam np. do blogerów kulinarnych. My, jako Banki Żywności, przez kilka sezonów przygotowywaliśmy z braćmi Kuroniami świąteczne przepisy i porady, co i jak można wykorzystać. Albo można zajrzeć na strony internetowe z recepturami z książek kucharskich sprzed wielu dekad. Bo my nie odkrywamy Ameryki w tych pomysłach – pewne rzeczy robiło się w kuchni ponad 100 lat temu. I to też może być inspirujące. Ważne, aby się nie bać eksperymentować. Bo na pierwszy rzut oka może się nam wydawać, że to nie pasuje, że to dziwne, że nigdy nie jadłam, a jak to będzie

niedobre? Warto sprawdzać, próbować, sięgać po nieoczywiste przepisy. Nawet jeśli będzie to zrobienie słodkiego deseru z resztek ciast...

...albo dosypanie łyżeczki cukru do wody, w której jest sałata, by w ten sposób znów stała się krucha. Polacy o tym wiedzą, czy brakuje im informacji?

– Nierzadko brakuje, dlatego sprawdzone sposoby gospodyń domowych także będą w cenie. Warto pytać rodzinę, znajomych. Ale tu uwaga – nie należy popadać ze skrajności w skrajność. Niech to będzie *less waste* (mniej odpadów), a nie *zero waste* (zero odpadów). Przykładowo – jeśli myślę o rzodkiewce, to wyłącznie o jej czerwono-

nej części, którą mogę zjeść. Nie o liściach, z których, jak niektórzy podają, można zrobić pyszne pesto. Oczywiście można, nawet próbowałam i da się, ale tu nie o to chodzi. To nie ma być jak restrykcyjna dieta. Jeśli założymy sobie, że wszystko mamy zjeść, wykorzystać też obierki od ziemniaków, to po miesiącu może nam wszystkiego się odechcieć. Inaczej będzie, jeśli skupię się na częściach naturalnie jadalnych i uda mi się marnować ich mniej lub wcale. To już może być duży krok do zmiany zachowań i w konsekwencji do ograniczenia marnowania jedzenia na stałe.

Gdzie jeszcze szukać inspiracji, by nie marnować jedzenia? Nie tylko od święta.

– Najważniejsze to kierować się zasadą 4 P – nic skuteczniejszego do tej pory nie wymyślono. Pierwsze P to planuj. Zrób remanent w szafkach i lodówce przed pójściem do sklepu. Przygotuj listę – będziesz wiedzieć, co jest ci potrzebne, ale również jak wykorzystasz to, co kupisz. Koniecznie zjedz coś przed wyjściem, bo to pomoże ci się oprzeć promocjom i wyprzedażom. Bądź przy tym asertywny – jeżeli ktoś pyta cię w sklepie, czy może być 40 dkg zamiast 20, odpowiedz,

że chcesz tyle, ile zamawiałeś. Nie wstydz się, że to mało, co ludzie powiedzą. Tu nie chodzi o skąpstwo, ale o szacunek dla żywności, o to, by jej nie marnować.

Drugie P to przechowuj właściwie.

– Produkty z dłuższym terminem przydatności do spożycia umieść z tyłu szafki czy lodówki, tak by w pierwszej kolejności spożyć te, których termin ważności jest krótszy.

Trzecie P to przetwarzaj. Zostanie ci szynka ze świąt – zrób zapiekankę. Niechcianą kietbasę wrzuc do bigosu, a będzie nowe i smaczne danie. Wczorajsze mięso może być świetną bazą nowej potrawy – gulasz za kilka tygodni będzie smakował jeszcze lepiej. Wekuj, rób przetwory – to najprostsze sposoby na przechowywanie warzyw i owoców i cieszenie się nimi na dłużej.

Ostatnie, czwarte P to podziel się. Daj jedzenie, którego masz w nadmiarze, sąsiadowi, znajomej, koleżdze z pracy, rodzinie, która wpadła do ciebie już po świątach. Wypraw ich z ciastem, śmiało. To proste i skuteczne! Pamiętaj: nie wyrzucaj. Nie marnuj!

A jak przekonać tych, którzy o takich sposobach nadal nie chcą słyszeć?

– A gdyby tak przeliczyć to na pieniądze? Przecież ponad połowa Polaków przeznacza na święta ponad 300 zł. Przy czym większość deklaruje, że to kwota w granicach 300-500 zł. Jak sobie pomyślimy, że po Wielkanocy wyrzucamy więcej żywności niż w zwykłe dni, może się okazać, że statystycznie to już nie jest 50 zł na dzień, ale 150 zł, a nawet 200 zł. Zwłaszcza że kupujemy na święta produkty droższe, bo przecież chcemy mieć bardziej urozmaicony świąteczny stół. Dalej: w skali roku – a było to liczone ponad dwa lata temu – średnia rodzina wyrzucała żywność za 2,4 tys. zł. Z tymi pieniędzmi można już pomyśleć o wakacyjnym wyjeździe, nowym tablecie lub komputerze. Teraz, przy stale rosnącej inflacji, marnowana kwota zbliża się już do ok. 3 tys. zł rocznie.

Dorota Bartosewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Ale zamach

Rano 10 kwietnia syreny, wraca katastrofa smoleńska. Te syreny, które straszą ukraińskie dzieci, przypominają nam, że wojna nie wojna, a żyjemy w kraju, gdzie obłęd ma rangę państwową. I może nawet wyć. Prezesowi wróciła katastrofa jako zamach. Przenosimy się znowu w sferę psychozy. Dwie profesjonalne komisje, żadnych dowodów. Technicznie zamach był niewykonalny. Motywu nie było, stabiutki prezydent schodził właśnie ze sceny. Czy prezes wierzy w zamach? Na pewno wierzy, że zamachem dodatkowo utwardzi swój twardy elektorat i może jeszcze poza nim kogoś przekona do PiS. Wojna nie wojna, wszystkie polskie podziały i szaleństwa wracają zarumienione od emocji.

Kolejną ofiarą tej wojny może paść papież Franciszek. Świetny papież, kto wie, czy nie najbardziej niezwykły w historii Kościoła. Emocje wokół najazdu Rosji na Ukrainę są tak wielkie, że jego relatywizowanie tej wojny – mówił, że wszyscy są jej winni – spowodowało, że z dnia na dzień stracił autorytet. Nawet prawowierni katolicy ostro go krytykują. Wielka szkoda, Kościół bardzo potrzebuje mądrego i liberalnego papieża.

Znowu świetne zdanie znajduję u markiza de Custine'a, w relacjach z podróży po Rosji w połowie XIX w. W Rosji panuje „przebiegła apatia”. O tej samej apatii pisze Jerofiejew w „Encyklopedii duszy rosyjskiej”. Rosjan jednoczą „lenistwo, apatia, pustka wewnętrzna”. I cytat z listu Puszkina. Rosja to „obojętność wobec każdego obowiązku, sprawiedliwości i prawdy, to cyniczna pogarda dla ludzkiej myśli i godności”.

Mój 11-latek okrutnie się męczy z lekturą „Szatana z siódmej klasy”. W tej książce wszystko jest przestarzałe: temat, przebieg akcji, język. Takich szkolnych lektur jest wiele. Zniechęcają dzieci do czytania w ogóle. Jakby nie wystarczyły filmy i gry komputerowe. To ostatnie zdaje się najskuteczniej zabija książkę. Boję się, że moje dzieci nie przeczytają ani jednej z moich książek, a przecież piszę je też dla nich.

Pod koniec roku ukaże się moja książka „Album rodzinny, wiersze i fotografie”. Wiersze mego ojca, mamy i moje w trzech blokach, dobrane pod kątem rodzinnym, oraz korespondujące z nimi fotografie. Cieszę się na tę książkę, rodzice zostali zasypani przez pył zapomnienia. Teraz zapominanie przyspieszyło, jest więcej wszystkiego i atakuje nas za wiele bodźców, czas jakby przyspieszył, więc musiało przyspieszyć zapominanie.

Przeglądałem rodzinne fotografie. Okropnie ich dużo, ślizgają się jak oliwki, wymykają jak węgorze, zdjęcia czarno-białe z dawnych czasów, kolorowe z nowszych. Na fotografiach zmarli i jeszcze żywi zdają się być na tych samych prawach. Trafiam na niespodzianki. Nie wiedziałem, że mam zdjęcia z Miłoszem, gdy kręciliśmy film o Norwidzie, jest też fotografia z kolacji, siedzę obok Miłosza, obok jego żona Carol, jest Wisława Szymborska i litewski poeta Tomas Venclova. Pamiętam – przed chwilą Miłosz powiedział, że był na Ślasku na spotkaniach i wrócił przerażony stanem polskich umysłów. „Coś mi się zdaje – mówi – że Smecz może mieć rację w swoim ciemnym widzeniu (to był mój pesymizm w paryskiej „Kulturze”, a Miłosz zawsze mnie krytykował za moje ciemne widzenie). Co to będzie, panie Tomaszu?”. Odparłem sprytnie: „Jedno jest tylko pewne, będzie inaczej, niż myślimy, że będzie”. Tak, mój mroczny obraz polskiego społeczeństwa okazał się celny, przykro mi, lepiej, abym się mylił.

Wojna nie wojna, wszystkie polskie podziały i szaleństwa wracają zarumienione od emocji.

Wiele jest zdjęć z podróży po Stanach, rok 1985, przejechałem wzdłuż i wszerz samochodem ten kontynent. Są zdjęcia ze spotkania z Władimirem Bukowskim, jego genialna książka „I powraca wiatr”. Słynny rosyjski dysydent, 12 lat w łagrach i w szpitalach psychiatrycznych, gdzie go zamykano za karę. Wymienili go w końcu na chilijskiego komunistę Corvalána. Zrobiłem wtedy z Bukowskim wywiad do podziemnego pisma „Wezwanie”, które zostawiłem w dobrych rękach w kraju. Bukowski już nie żyje, co przegapiłem. Pod koniec życia rzeczywiście oszalał, stał się skrajnie prawicowy, nie znosił Unii, liberałów.

Znajduję też teczkę z fotografiami z Mrożkiem, rok 1992, Sztokholm. Stoimy w różnych pozach obok siebie. Sam nie rozumiem, jak udało się namówić Mrożka na tę długą sesję zdjęciową, nie znosił być fotografowany. I jest zabawna fotografia z Szymborską, bawiliśmy się w jej mieszkaniu jak dzieci.

Wygląda na to, że chwałę się tymi zdjęciami i znajomościami. Nie lubimy, gdy ktoś się chwali, bo to nas, odbiorców czyjejs chwalby, jakoś pomniejsza. Proszę mi wybaczyć, nie miałem takich intencji. To tylko spotkanie z czasem, by nie pisać o Ukrainie.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Konrad Malec

Z pierwszymi cieplejszymi dniami po internecie zaczęły krążyć memy o posiadaczach zapasów tłuszczu zebranego zimą oraz informacje o starcie odchudzania, by złapać figurę przed plażingiem. Względnie o rezygnacji z podjęcia takiego wyzwania. Po świętach sprawa nabrzmiała. Pod względem konieczności odchudzania jesteśmy gatunkiem wyjątkowym, przynajmniej w naszej części świata, bo w przyrodzie wszyscy starają się tłuszczu kolekcjonować.

Paliwo w spiżarni

W przyrodzie występuje wiele tłuszczów, naukowo zwanych lipidami. Pełnią wiele ważnych funkcji w organizmie. Niektóre wchodzi w skład błon komórkowych i organelli. Inne biorą udział w fotosyntezie, są protoplastami witamin i hormonów. Jednak tematem tego artykułu są triacyloglicerole, inaczej tłuszcze właściwe. To one odpowiadają za (najczęściej) niechciane oponki i tym podobne atrakcje. Nasze organizmy, podobnie jak innych zwierząt, ewolucyjnie powstały w środowisku, w którym o pokarm trzeba było bardzo się starać. Pełne lodówki i sklep w zasięgu internetowego zamówienia z dostawą do domu to stosunkowo nowy wynalazek. Do niedawna spora ilość tłuszczu była oznaką wysokiego statusu społecznego, związanego z zamożnością. W społecznościach tubylczych, np. w Amazonii, pulchność była pożądaną cechą potencjalnego partnera. Zresztą nie tylko tam, wystarczy zerknąć na obrazy Rubensa.

Po diabła jednak ten przeklęty wynalazek Matki Ewolucji? Przez niego musimy (a przynajmniej część z nas odczuwa silny imperatyw) męczyć się ćwiczeniami i dietami, by przed nadejściem sezonu plażowego pozbyć się oponki. Tłuszcze właściwe, które dalej będę nazywał po prostu tłuszczami, są bardzo cennym materiałem zapasowym. W czasach niedoboru organizm sięga po nie, podczas ich rozpadu (spalania) wydzielają

Susły przed zimą
ważą przeszło
dwukrotnie więcej.



Oponka

W przyrodzie wszyscy starają się tłuszczu kolekcjonować

się ponaddwukrotnie więcej energii niż podczas rozpadu takiej samej ilości cukrów. To dlatego w czasach prosperity nasz organizm odkłada zaskórniaki. Ale w naszym przypadku, gdy tłuszcz osiągnie poziom masy ciała 13% u panów i 18% u pań, stajemy się posiadaczami nadwagi, której skutki mogą być optakane dla zdrowia.

Owinąć się w tłuszczu i zasnąć

Znacznie lepiej pod tym względem mają niektóre zwierzęta. Przykładowo u nietoperzy przy 20%, a nawet 30% tłuszczu nie wystąpią żadne negatywne konsekwencje. Ba! Taki poziom tłuszczu jest niezbędny do przetrwania zimy, przynajmniej u gatunków hibernujących w kraju. W czasie hibernacji temperatura ciała nietoperzy jest o 1-2 st. wyższa od temperatury otoczenia, przy czym różne nietoperze mają różne

preferencje co do niej, a także co do wilgotności, stąd pewna różnorodność zimowych kryjówek (hibernakulów). Kiedy przed laty miałem przyjemność pomagać w badaniach nietoperzy zimujących w Jaskini Szachownica, zdarzało się, że widywałem gacki, bodaj najbardziej zimnolubne nietoperze, blisko wlotu do jaskini. Ponieważ wejście do niej jest bardzo obszerne – kiedyś wydobywano w niej wapień, stopniowo powiększając naturalną jaskinię – światło dochodzi dość daleko. W takich miejscach często widzieliśmy jedynie... łapki po nietoperzach. Te bowiem padły ofiarą sikorek, które potraktowały je jak kulkę tłuszczową wieszoną dla nich zimą.

Niektóre nietoperze z Polski odlatują na zimę, podobnie jak ptaki, choć akurat w ich przypadku chodzi o hibernację w cieplejszych warunkach. Rzecz jasna, zarówno daleka podróż, jak i hibernacja wymagają zgromadzenia odpowiedniej ilości materiału zapasowego. Przykładem mogą być tu borowce. Nasze borowce zimują na Węgrzech, na Słowacji i w Szwajcarii. Niektóre przelatują ponad tysiąc kilometrów. Najdłuższy zarejestrowany przelot tego gatunku wyniósł 1,6 tys. km. Ponadto przez nasz kraj wiedzie trasa migracji osobników z północy i wschodu Europy, a od pewnego czasu rejestrowane są

zimowiska tego gatunku w południowo-zachodniej Polsce.

Kiedyś opowiedziałem koledze, bardzo dalekiemu od spraw przyrodniczych, o borowcach i innych wędrownych nietoperzach. Ów kolega chciał błysnąć przed koleżankami i uświadomił dziewczyny, że nietoperze odlatują z Polski na zimę. Kolega zdecydowanie rozbawił słuchaczki, ale nie o taki efekt mu chodziło. Nie pomogło nawet powołanie się na autorytet Smalca, jak nazywają mnie znajomi (i przez co temat tłuszczów jest mi bliski). Zadzwoił więc do mnie z pretensjami, co za bzdur mu naopowiadałem. Skomentowałem krótko: Czarek, mówiłem o niektórych nietoperzach! Czasem brak jednego słowa wiele zmienia.

Kończąc wątek nietoperzy, warto wspomnieć, że co jakiś czas się wybudzają, w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych, a niekiedy kopulacji ze śpiącą samicą. Kiedyś spotkałem właśnie takiego jegomościa w Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym, największym zimowisku nietoperzy w kraju. To był nocek rudy, który używał sobie na niczego nieświadomej partnerce. Rozłożył się, kiedy skierowałem na niego światło, więc przeprosiłem i poszedłem dalej. Nadmienię tylko, że nie jest to główna strategia rozrodcza nietoperzy, ale dość często się zdarza. Nietoperze wybudzają się także, kiedy temperatura rośnie. Jeśli to niewielkie wahanie, przemieszczają się w chłodniejszy zakątek jaskini czy studni. Gorzej, jeśli wzrost

serca, a co za tym idzie, zwalnia metabolizm. Poza nietoperzami hibernują m.in. nasze płazy i gady, susły, świstaki (te dwa, a właściwie trzy, ponieważ susłów mamy dwa, gatunki, przed zimą ważą ponaddwukrotnie więcej niż po wiosennej pobudce, efekt jo-jo korzystny dla organizmu) czy popielicowate.

W letargu co prawda również spada temperatura i obniżają się pozostałe parametry życiowe, ale w znacznie mniejszym stopniu. Zwierzę wydaje się pogrążone w narkotycznym śnie,

U nietoperzy, nawet gdy tłuszcz stanowi 30% masy ciała, nie wystąpią żadne negatywne konsekwencje.

ale pozostaje czujne na bodźce z zewnątrz. W razie zaniepokojenia jest w stanie natychmiast się wybudzić i zareagować stosownie do sytuacji, np. przyjmując postawę obronną lub atakując przeciwnika. Dlatego lepiej misiowi nie zaglądać zimą do gawry, nie jest przesadnie gościnnie, a zdenerwowany robi się niegrzeczny. Ponadto zwierzę co kilka dni budzi się z letargu i wychodzi za potrzebą (w przypadku borsuka do wygodki poza norą), rozprostowuje kości, rozciąga mięśnie, a jeśli jest ciepło i pojawia się możliwość, uzupełnia zapasy tłuszczu. Borsuki czasem urządzają sobie przy tej okazji dłuższe przechadzki.

O ile można żywić nadzieję, że plastyczne i mające szerokie spektrum pokarmowe niedźwiedzie i borsuki

Zatankować przed długim lotem i długą nocą

Wprawdzie ptaki nie zapadają w sen zimowy, ale i dla nich tłuszcz jest niezmiernie ważny. Ptaki wędrowne przed podróżą gromadzą rezerwy. Rzecz jasna, uzupełniają je po drodze, ale lot jest bardzo energochłonną formą lokomocji (trochę podobnie jak z samolotami, które do przetransportowania danej ilości ładunku potrzebują o wiele więcej paliwa niż samochody czy statki).

Ptaki na podróż gromadzą tyle paliwa, że zastępują nim częściowo te narządy, które nie są niezbędne do lotu. Przede wszystkim redukują układ pokarmowy, stąd często obserwowane, dawniej niezrozumiałe zjawisko, że ptaki po wylądowaniu w dogodnym siedlisku nie zabierają się od razu do żerowania, tylko czekają, i to dość długo. Powodem jest konieczność odbudowy układu pokarmowego.

Również ptaki pozostające z nami na zimę, a także te, dla których jesteśmy ciepłym krajem (więcej o nich w PRZEGŁĄDZIE nr 47/2020), zawzięcie gromadzą tłuszcz, choć inaczej go wydatkują. Muszą najeść się w dzień, by przetrwać długą zimową noc. Szczególnie widać to w grudniu i styczniu, kiedy dzień jest najkrótszy. Wówczas od świtu do zmierzchu, bez odpoczynku, ptaki żerują. Łatwo to zaobserwować przy karmnikach, choć nie wszystkie ptaki z nich korzystają (więcej o karmnikowych obserwacjach w PRZEGŁĄDZIE nr 50/2020).

Kończąc temat ptaków, warto wspomnieć o tłuszczakach, zamieszkujących północną część Ameryki Południowej. Ze względu na znaczną ilość tkanki tłuszczowej dawniej chwymano młode ptaki, by wytopić z nich tłuszcz w celach spożywczych i oświetleniowych. Z ciekawostek – te nocne ptaki posługują się echolokacją, podobnie jak nietoperze.

Dzikię zwierzęta zwykle mają dużo mięśni, a mało tłuszczu.

temperatury jest znaczny i kilkukrotny w czasie zimy. Wtedy zwierzęta się wybudzają i spalają bezcenne rezerwy tłuszczu. Przy niewielkiej liczbie wybudzonych owadów rezerwy te są trudne do uzupełnienia.

Podobne problemy mają inne zwierzęta hibernujące i będące w letargu. Różnica między oboma stanami jest taka, że w hibernacji temperatura ciała bardzo spada, jak u wspomnianych nietoperzy, zmniejsza się też liczba oddechów i uderzeń

dadzą sobie radę, o tyle dla zwierząt hibernujących wybudzenie z hibernacji jest dramatem. To coraz poważniejszy problem, mogący się przyczynić do wyginięcia zagrożonych susłów moręgowanych i perełkowanych czy popielic. Na marginesie myślę o osobach, które deklarują, że chciałyby przespać całą zimę i obudzić się dopiero wiosną – czy byłyby gotowe pogodzić się z atrakcyjną szczupłością wiosną i jesienną obfistością podskórnych zapasów?

► **Tłuste badyle**

Tłuszcz gromadzą też rośliny, przede wszystkim w nasionach (choć nie tylko). To materiał zapasowy dla zarodka i młodej siewki. Niektóre nasiona gromadzą szczególnie dużo tłuszczu, wiele wykorzystujemy do pozyskania oleju. W dodatku przez wieki podkreśliliśmy wydajność wielu z nich, a nawet stworzyliśmy odmiany oleiste

Tłuszcz gromadzą także rośliny, przede wszystkim w nasionach. To materiał zapasowy dla zarodka i młodej siewki.

roślin niemających pierwotnie aż tak tłustych nasion. Najlepszym przykładem jest rzepak, będący w istocie odmianą kapusty.

Warto tu wspomnieć o wielu zapomnianych roślinach oleistych, odrzuconych w pogoni cywilizacji przemysłowej za wysoką wydajnością. Wracają ostatnio do łask za sprawą małych manufakturowych wytwórców. To np. krokosz barwierski, rzodkiew oleista, Inicznik siewny czy konopia siewna, mająca także wiele innych zalet. W czasach globalnego handlu możemy cieszyć nasze podniebienia również mniej lub bardziej egzotycznymi

tłuszczami. Tu oczywistą oczywistością jest oliwka europejska i oliwa z niej, obie utrwalone we wszelkiej mitologii wywodzącej się z regionu śródziemnomorskiego. Coraz większą popularność zyskuje olej z winogron, o podobnej proveniencji, czy bardziej egzotyczny olej z orzeszków ziemnych (które tak naprawdę są krewnymi fasolami), sezamowy, a nawet z kakaowców. Coraz większą popularnością

cieszy się olej kokosowy, o bardzo wszechstronnym zastosowaniu i właściwościach prozdrowotnych.

Wśród egzotycznych olei jest rzecz jasna olej palmowy, kochany przez przemysł spożywczy, szczególnie jego cukierniczą odnogę. Tu jednak zalecam wstrzeźliwość, nie dość, że ma fatalny wpływ na zdrowie (szczególnie po przemysłowym przetworzeniu), to dodatkowo pod jego uprawy karczuje się naturalne lasy tropikalne. Problem szczególnie widoczny stał się na Sumatrze i Borneo. Unikatowe lasy Borneo są jednymi z najwyższych i najciemniejszych na świecie,

stanowią dom dla wielu roślin, grzybów i zwierząt, które występują jedynie na tej wyspie (w języku naukowym nazywamy je endemitami, oddalone od innych lądów wyspy są szczególnie obfite w takie okazy, ale i w Polsce kilka endemitów znajdziemy). Naturalnych lasów zostało niewiele, te z Borneo i Sumatry niemal zniknęły, za co w większości odpowiadają uprawy olejowca gwińskiego, zwanego palmą olejową. Warto o tym pamiętać w czasie zakupów i unikać produktów zawierających olej palmowy. Szczególnie uważnie czytajcie skład słodyczy.

Tłuszczyk? Smacznego!

Przyznam, że bardzo lubię tłuste potrawy. Zarówno te najprostsze, jak pieczywo maczane w oleju dyniowym, krokoszowym, z czarnuszki czy rzepakowym (tłoczony na zimno jest niezwykle aromatyczny), jak i bardziej wyszukane. Nic dziwnego, tłuszcz jest świetnym rozpuszczalnikiem dla wielu związków aromatycznych z potraw. Podobnie jest z pokarmami zwierzęcymi, z tego powodu nie jestem fanem dziczyzny – dzięki zwierzęta zwykle mają dużo mięśni, a mało tłuszczu. Niestety, hodowlane również, za sprawą specjalnych pasz i cudów inżynierii powiązanej z przemysłem hodowlanym, słonina na sklepowych półkach ma mniej niż grubość małego palca, mimo że zwierzę jest zamknięte w klatce tak ciasnej, że nie ma możliwości ruchu. Gdzie jej tam do słoniny na cztery palce, tak zachwalanej w „Chłopach” Reymonta! Trafiłem na taką podczas podróży na Wschód, soloną i w ziołach. Niestety, obecna sytuacja nie sprzyja odwiedzaniu Białorusi i Ukrainy.

A jak to się ma do oponki? Prawdę pisząc, do szczuplaczków nie należę. Brnąć dalej w szczerość, przyznam, że mam pewien zasób materiału zapasowego, utrzymywanego w okolicach pasa. Ów zasób uważam za niezbędny, w końcu przyrodnik często się spóźnia do domu, a wówczas pewna ilość zgromadzonego paliwa może być bardzo przydatna.

Konrad Malec

**Jaś i Małgosia
zaraz stracą życie!**

Jaś i Małgosia zawsze byli razem. Jak to rodzeństwo. Przyszli na świat w jednej, niewielkiej obórce. W tej obórce spędzili dzieciństwo, i razem wyszli na pierwszą trawę, ten sam podmuch wiatru pierwszy raz potargał ich grzywy. Życie wydawało się prawie bajką, choć obórka ledwo stała, a u maminie szyi wisiał łańcuch. Ale nikt nie bił, nikt nie krzyczał. Był raj. Szybko okazało się jednak, że nie ma tu dla rodzeństwa miejsca. Bo dwa dodatkowe osły w gospodarstwie to za dużo. Wtedy to nie wydawał się dramat. Osły kupił sąsiad.

I wstawił przy wiejskim sklepie jako atrakcję dla turystów.

Mineło trochę lat. Nawet całkiem sporo tych lat było. Odszedł gospodarz, który miał obórke. Opustoszało maminie miejsce i łańcuch. Sklep też jakby podupadł. Bo wokoło zbudowano markety.

Osły żyły sobie w swojej bajce, przy swoim sklepie, przyciągając latem dzieci. I biznes jakoś szedł. Ale wraz z nadejściem kolejnej wiosny sklep postanowiono zamknąć. Bo stał się nierentowny. Osły zresztą też.

I tak Jaś wyjechał z tej swojej wsi, a wraz z nim ukochana Małgosia. Ciągłe razem. Ciągłe wtuleni w siebie jak tego dnia, gdy pierwszy wiatr rozwiał ich osłe grzywy na progu starej obórki.

Nie pojechali daleko. Wziął ich handlarz we wsi obok. Taki niewielki. Co zbierze trochę niepotrzebnych i starych zwierząt w okolicy – wywozi je do rzeźni. Teraz na święta ludzie potrzebują pieniędzy, więc interes kwitnie. Będzie duży transport. Jaś i Małgosia pojedą w ostatnią podróż w wyborowym towarzystwie wyeksportowanych, oddanych człowiekowi zwierząt.

Mamy niewiele czasu, jedynie do piątku 22 kwietnia. Musimy zebrać 8700 zł, aby opłacić wykup i transport Jasia i Małgosi. Pomóż nam ocalić te osłe uszy do nieba i te ciepłe chrapy. Ich mały, osły świat bez Ciebie nie ma szans.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem JAS I MAŁGOSIA na konto
15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści JAS na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488



Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochej Mój
Regulamin: <http://centaurus.org.pl/kom>

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Jak sobie pomóc, czyli przewodniczek dla opornych

Nie ma to jak dorzucić do pandemii wojnę. Taka parka na przednówku na pewno zawojuje świat. Zawsze może jeszcze się pojawić Pan Tornado z grzywką postawioną na sztorc i elektrycznym wąsikiem. Spod ziemi mogą wyjść prawe nogi zakopanych niegdyś truchła, a z nieba spaść szkło. Bo chyba już jesteśmy gotowi na wszystko? Człowiek roztrzęsiony jak ciastko z galaretką w upalny dzień w barze przy autostradzie nie będzie zbyt pomocny na wojnie. Czas więc wdrożyć samopomoc. Samopomoc jest najtańsza, a przy tym najczulsza.

Chętnie się podzielę kilkoma radami z przewodnika dla opornych: kiedy nie mogę zasnąć – włączam darmowego audiobooka z YouTube'a. Audioopieka jest przecież popularna w światowym muzealnictwie (tylko czekać, aż audioguide'y zaczną nam szeptać wyznania miłosne, prowadząc nas do swoich ukochanych obrazów). W wyszukiwarce wpisuję mało finezyjne hasło „audiobook za darmo” i trafiam na zestaw dziwnych książek do słuchania. Uručhamiam zawsze tę samą: „Ojca chrzestnego”. Kto 40 lat temu przypuszczał, że to „Ojciec chrzestny” będzie moją ulubioną kołysanką?

Na pamięć znam kwestie podawane m.in. przez Janusza Gajosa, Tomasza Kota i Kamilę Baar. Powtarzam je sobie, zasypiając: „Otarł jedwabną chustką spocone jowiszowe czoło”, „To znaczy, że do twojego ojca strzelali gangsterzy?”, „To, co jej dało tyle przyjemności, było już ukryte pod czarnym, skromnym materiałem” itd.

Jeśli ktoś woli odpłynąć, obserwując kojące slajdy, może uruchomić kolekcję 1540 obrazów Claude'a Moneta online („Claude Monet: A collection of 1540 paintings”). I z miejsca paść twarzą w poduszkę. Nic tak nie koi nerwów jak pastelowe krajobrazy z neutralnym pianem w tle. Trwa to w nieskończoność. Wiadomo, Monet, który ładnie wygląda i u notariusza, i w saloniku ciocieczki, uległ już takiej inflacji, że jego pastelowe plamki wywołują mdłości. Ale oglądając reprodukcje, możemy od czasu do czasu natknąć się na obrazy, których nie widzieliśmy w żadnej poczekalni ani przychodni (nawet u notariusza).

Gdy jednak z Moneta coś będzie w stanie nas wybudzić, należy się dobić darmowymi filmami ASMR. To te szeptane filmiki, na których youtuber wywołuje (wydaje?) takie dźwięki jak szuranie, szum, delikatne stukanie, dmuchanie, szelest itd. Albo wciela się w rolę szepczącego lekarza, który „bada” odbiorcę, „gładząc” jego twarz albo świecąc mu w oczy przyjemnym światłem. Podobno dobroczynne (uspokajające) działanie ASMR zostało dowiedzione naukowo. Niektórzy widzowie opowiadają, że „śwędzi po nich mózg”. Halo, proszę się nie rozłączać! Ja też nie chcę, żeby mnie mózg śwędział, chory ten marketing. Jeśli to metafora, bardziej tu pasuje łaskotanie albo mrowienie. Ale umówmy się – mrowienie można poczuć także po pięćdziesiątce czystej.

Słuchanie szepu jest po pewnym czasie męczące. I to nie dlatego, że coś nas, za przeproszeniem, śwędzi.

To raczej jakaś drażniąca niewygoda, niby niewielka, ale doprowadzająca do szału, jak kapiąca kropla, Sartre'owskie mdłości albo stanie w kościele, kiedy ma się 10 lat i nową grę na peceta na biurku. Podobno sprawdzonym sposobem na prasowanie nerwów są puzzle albo kolorowanki. Nie wierzę, że można od tego nie popaść w depresję. Wystarczy

sobie siebie wyobrazić przy puzzlach – człowiek od razu jakby szybciej się starzeje. Tak, puzzle i kolorowanki to zły urok, nie idźmy w tę stronę. Już lepiej pomalować ścianę, w miejscu, gdzie po spacerze ląduje pies i opadając na ziemię, zawsze ociera się futrem o kolor (niegdyś) niebieski. Ten uroczy fragmencik ściany od lat wygląda, jakby cudem uszedł z pożaru. A głaskanie psa jest (dla nas) dobre, poza tym to jego niezbywalne prawo: patrzcie, pręży się pod dotykiem jak wściekły bobas, wystawia szeroki, parujący jęzor, który przypomina szynkę.

Na końcu wypada powiedzieć prawdę: jest covid, przednówek i wojna. Żaden Monet nas nie oszuka i niczego tu nie załatwi. Ale moja sąsiadka robi dobre ciasto, ale kolega przysłał mi ciekawą książkę, ale na dworzec ludzie wciąż oddają część zakupów, ale koleżanka zapytała mnie, jak się czuję, ale wyszło ostatnio dużo dobrych książek z wierszami, ale moja mama przyniosła mi tulipany, ale żyjemy – na swój sposób, ale to też jest życie.

**Żyjemy – na swój sposób,
ale to też jest życie.**

Od fantazji do czynu

Poruszenie tematu fantazji seksualnych jest jak prośba o pokazanie się w bieliźnie

Rozmawia
Magdalena Kuszewska

KATARZYNA KUCEWICZ
– psycholożka, psychoterapeutka, seksuolożka

Jak to jest z tymi fantazjami seksualnymi w Polsce? Czy to twoim zdaniem temat odpowiednio dyskutowany w naszym kraju?

– Zupełnie nie. Uważam ten temat za bardzo ciekawy, głęboki i szalenie ważny, natomiast wciąż pomijany i traktowany w sposób marginalny. Dzieje się tak dlatego, że wiąże się on z pozytywnym, radosnym myśleniem o seksie. A mam poczucie, że w Polsce, jeżeli już mówimy o seksie, to wtedy, kiedy są problemy, zaburzenia i trudności. Natomiast jeżeli rozmawiamy o przyjemnych rzeczach związanych z seksem, to raczej w kulisach, a nie w mainstreamu. Na przykład w mediach fantazje seksualne bywają uważane za zawstydzające, o nich się nie mówi. I tak sobie teraz myślę, że poruszenie zagadnienia fantazji

– Realne fantazje mogą obnażać nasze cechy charakteru, a także potrzeby, do których niekoniecznie chcemy się przyznawać.

Pewny siebie biznesmen nie przyzna więc, że fantazjuje o byciu... zgwałconym? Albo że chce założyć damski szlafrok, choć jest hetero.

– Z jednej strony nie mówimy, bo obawiamy się czyjejś oceny i zmiany podejścia do nas, a więc także ostracyzmu. Ale z drugiej strony czasami boimy się sami przed sobą przyznać, że podnieca nas ta czy inna wizja. Fantazje seksualne mogą zatem przysparzać różnych problemów, a nawet wstydu czy lęku. Szczególnie kiedy ktoś zastanawia się, czy jego fantazja to coś, co pomaga mu osiągnąć orgazm, czy to jego realna potrzeba. Weźmy pod uwagę kobietą fantazję o byciu zgwałconą przez

męskie, a co kobiecie, bo bardzo łatwo wtedy wpaść w stereotypy – czyli orzec, że np. mężczyźni mają brutalne fantazje, a kobiety takie „waniliowe”, bo to też nie jest prawda. Mężczyźni miewają fantazje zabarwione romantyzmem, a kobiety potrafią marzyć w sposób niezwykle wulgarny.

Generalnie część kobiet potrafi samymi fantazjami doprowadzić się do orgazmu. Mowa o orgazmie psychogennym, kiedy nie potrzebna jest żadna stymulacja narządów płciowych ani jakiegokolwiek części ciała; wystarczy tylko i aż fantazja, aby osiągnąć orgazm. U mężczyzn jest to znacznie rzadsze. Niektórzy seksuolodzy w ogóle twierdzą, że większość mężczyzn nie potrafi fantazjować, stąd tak wielu z nich ogląda codziennie platformy pornograficzne.

Czy jako terapeutka dopytujesz pacjentów o fantazje seksualne? W jakiego rodzaju diagnozie bądź problemach mogą one być przydatne?

– Nie ma kwestionariusza, który jest poświęcony fantazjom i bada przez to konkretne zaburzenia czy parafilie. Nierzadko pacjenci, otwierając się w toku procesu terapeutycznego, sami zaczynają opowiadać o swoich snach, a ze snów bardzo szybko można przeskoczyć do kwestii fantazji i marzeń na jawie. To może bardzo ubogacić wiedzę na temat pacjenta. Czasami pacjent ma jakiś wewnętrzny konflikt, dylemat. I wtedy, pytając o fantazje seksualne, jesteśmy w stanie lepiej zrozumieć, co może dziać się w jego podświadomości. Bo z fantazjami bywa jak ze snami; bywa, że czasem mówią bardzo wiele o tym, co nam w duszy gra, a innym razem są dość

Fantazje nie są oderwane od naszej rzeczywistości, przeszłości i naszego dzieciństwa.

seksualnych jest jak prośba o pokazanie się w bieliźnie. Wiele osób traktuje je bowiem jako coś totalnie prywatnego.

Coś, o czym się nie mówi.

– Tak, tak. O czym się nie mówi nie tylko z koleżankami, lecz także z partnerami. Nierzadko traktujemy fantazje jako procesy myślowe, które są absolutnie niedostępne dla innych. Kiedy ja rozmawiam w gabinecie z pacjentkami, to nierzadko słyszę, że one opowiadają o zupełnie innych fantazjach niż te, które mają. Czyli prawdziwe, intymne fantazje pozostają tylko dla nich...

Pewnie wielu mężczyzn też się wstydzi swoich prawdziwych marzeń erotycznych.

mężczyznę, która jest wyobrażeniem o bardzo dużej męskości, a nie faktyczną potrzebą bycia wykorzystaną seksualnie. I nierzadko tak z fantazjami jest, że one są pewnym przejawem jaskrawienia bądź pewną wariacją na temat naszych potrzeb, a nie ich stuprocentowym wyrazem.

W jaki sposób z twojego punktu widzenia męskie fantazje różnią się od kobiecych?

– Porównałabym kobiecie fantazje do kobiecych filmów porno. Więcej szczegółów, więcej kontekstu emocjonalnego, więcej romantyczności, więcej gry wstępnej, więcej fantazjowania o całej scenerii i sytuacji. Natomiast zawsze pojawia się pewien problem w rozróżnianiu, co jest

przypadkowe. Niekiedy wskazują, jakie potrzeby są niezaspokojone lub jakiego rodzaju tęsknoty czy schematy są w nas.

Fantazje nie są oderwane od naszej rzeczywistości, przeszłości i naszego dzieciństwa. Zazwyczaj bazują na pewnych sytuacjach, które widzieliśmy lub których doświadczyliśmy w przeszłości, a które zaważyły na rozwoju naszej seksualności.

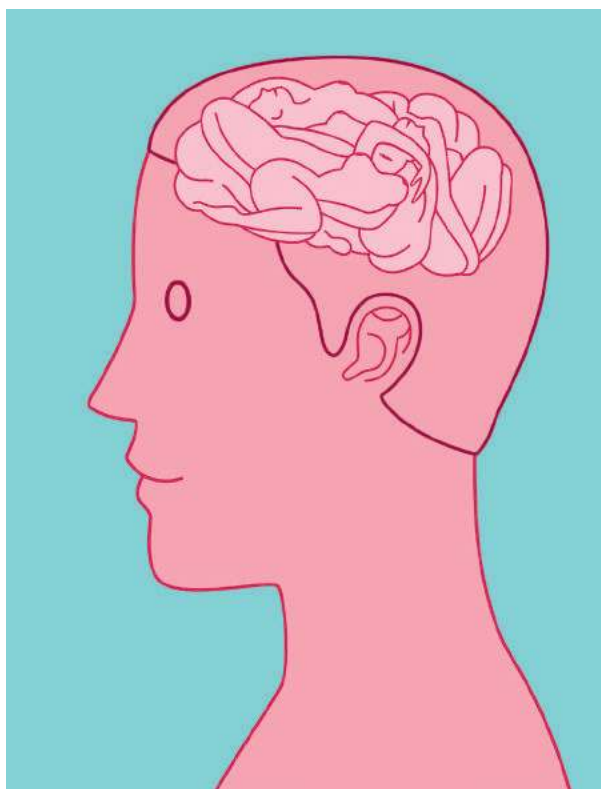
Seksuolodzy opowiadają, że jeśli ktoś przychodzi z problemem, że nie wie, czy jest heteroseksualny czy homoseksualny, to wtedy warto zapytać go o fantazje erotyczne. Może się to okazać pomocne w odkrywaniu siebie.

– Zgadza się. To zresztą działa w dwie strony. Bywa, że pacjent opowiada o fantazjach, a my dostrzegamy jakiś inny problem, który akurat się tli; zauważamy potrzebę kontroli czy dominacji albo chęć powrotu do dzieciństwa.

Podasz przykłady takich pacjentów i ich fantazji?

– Pewien mężczyzna opowiadał o fantazji, w której chciałby być w seksie traktowany jak małe dziecko. Marzył o tym, aby być niańczonym, zaopiekowanym. Chciał być w intymnym kontakcie małym chłopcem, o którego trzeba bardzo dbać, ubrać go i rozebrać, a on pozostaje wciąż taki niewinny i bezbronny. Ta fantazja może wskazywać na deficyt opieki związany z tamtym okresem rozwojowym. Potem dopiero okazało się, że faktycznie mężczyzna ten w okresie niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa był zaniedbywany. Odkrywał to dzięki swoim fantazjom, po wielu latach.

Inny mężczyzna nieustająco fantazjował o seksie z pielęgniarką. Uwielbiał filmy porno o tej tematyce, prosił, aby partnerka przebrała się w taki strój. Postać pielęgniarki działała na niego bardzo stymulująco, ale sam nie wiedział dlaczego. W rodzinie i wśród znajomych nie miał nikogo



Brak edukacji seksualnej sprawia, że nie rozumiemy siebie i swoich potrzeb, seks traktujemy nieraz w sposób średniowieczny.

takiego. W procesie terapii jednak przypominał sobie, że gdy był nastolatkiem, odkrył romans swojego ojca z pielęgniarką. Czyli kochanka jego taty przeszła do jego fantazji. A on, poprzez te fantazje, identyfikował się w pewien sposób ze swoim tatą, który od dawna już nie żył.

Poprzez te historie udowadniasz, jak silnie fantazje łączą się nieraz z okresem dzieciństwa i dojrzewania, z wychowaniem oraz różnymi wydarzeniami.

– Wszystko bywa ze sobą bardzo silnie powiązane i z reguły nie jest uświadomione. To nie tak, że terapeuta bywa tłumaczem snów. Zazwyczaj to pacjent analizuje z terapeutą sen i odkrywa dla siebie jego znaczenie.

A jak wygląda sprawa mężczyzn homoseksualnych w kontekście fantazji?

– Tu nie ma większych różnic. Mówimy bowiem o konkretnym, męskim sposobie pobudzenia, który

przebiega czasem nieco inaczej niż damski.

A jeśli mężczyzna fantazjuje o czymś społecznie niewłaściwym, to czy ma z tym problem? Na przykład o seksie z nieletnimi, co, jak wiemy, w realu jest poza prawem, a zarazem stanowi jedną z najczęstszych fantazji męskich. Kategoria treści porno pod hasłem „nastolatki” jest bardzo popularna.

– Do mojego gabinetu przychodzą osoby zaniepokojone własnymi fantazjami, odczuwające wstręt do samych siebie, mające poczucie wstydu. Albo co najmniej zdezorientowane. Fantazje bywają zaskakujące dla nas samych. Teraz sprawa polega na tym, aby rozróżnić, czy to są moje potrzeby, czy tylko jednak fantazje, których nie mam potrzeby realizować w życiu.

A jak to rozpoznać? Czym różni się potrzeba od fantazji?

– Potrzeba nie ogranicza się tylko do fantazjowania i masturbacji celem wywołania satysfakcji seksualnej tudzież do odgrywania ról w seksie, ale wiąże się z podejmowaniem działania. Czyli, pozostając przy podanym przez ciebie przykładzie fantazjowania o seksie z nastolatkami, mężczyzna zaczyna np. podszywać się pod nie na aplikacjach randkowych. Dąży do tego, aby taką osobę poznać i rzeczywiście się z nią umówić. Potrzeba ma tendencję do eskalacji. Niektórzy fantazjują na przykład o seksie ze zwierzętami; fantazje tego typu czasem wywołują jednocześnie ich przerażenie i poczucie wstydu.

Albo np. fantazje o seksie z teściową czy synową.

– No właśnie. Tego typu zjawiska oczywiście nie są prawnie zakazane, natomiast uważane są za nietypowe, dziwne. Seks z teściową, seks z szefową, seks z kolegą z pracy, kiedy on

► jest heteroseksualny. Bywa, że fantazja po prostu się pojawia i już, ale mężczyźni z reguły są zaniepokojeni jej powtarzalnością. I zazwyczaj próbują zrozumieć: dlaczego ta fantazja? Miałam niedawno pacjenta, lat 28, który związał się z partnerką w swoim wieku, ale namiętnie fantazjował o seksie ze znacznie starszymi kobietami, około osiemdziesiątki. Dopóki oddzielał oba światy, nie widział problemu. Jednak w pewnym momencie poczuł, że chce zacząć realizować te fantazje. I umówił się z jedną z takich kobiet. Bardzo mu się to spodobało.

Znam też przypadki osób, które były rozczarowane przeniesieniem swoich fantazji do rzeczywistości. Jeden z heteroseksualnych pacjentów opowiadał, że miał fantazję

pełną kontrolę. Fantazję możesz „wyłączyć” czy „przewinąć”; to jest tylko myślenie, a nie zapachy, dźwięki, konteksty i tak dalej. I dlatego – jeżeli mamy bardzo silne fantazje – moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem jest próba odgrywania ról. Czyli realizacja fantazji przy udziale partnerki czy partnera. Możemy wchodzić w rolę, odgrywać je, zamiast szukać ciągle nowych obiektów swoich marzeń erotycznych.

Brak edukacji seksualnej sprawia, że nie rozumiemy siebie i swoich potrzeb, seks traktujemy nieraz w sposób średniowieczny, nie chcąc zgłębiać go pozytywnie. Najczęściej każda osoba w związku ma własne fantazje, ale przez brak umiejętności rozmawiania o seksie pozostawia je

mieć taką fantazję, że chce się przebrać z osobą, która zażyła popularny ostatnio mefedron. Weźmy pod uwagę fakt, że ona nie jest do końca poczytalna i świadoma. W tym sensie więc zawsze musimy brać odpowiedzialność za siebie i za swoją decyzję, postanawiając zrealizować taką fantazję.

Jak często mężczyzna mówi: „Marzę o tym i o tym, ale boję się, że żona uzna mnie za zboczeńca”?

– Często, i oczywiście stąd także biorą się m.in. skoki w bok. Niekiedy ludzie wybierają do seksu osoby, które im się średnio podobają. Kiedy my nie mamy z kimś emocjonalnej zażyłości albo kiedy czujemy, że nie musimy się starać, jesteśmy bardziej otwarci na mówienie o swoich fantazjach. A jak zaczynamy się starać, bo nam zależy na tym, co ktoś o nas będzie myślał i mówił, za kogo będzie miał, to bardzo często właśnie się dostosowujemy. Nie jesteśmy w pełni sobą, w obawie przed odrzuceniem. To wyjaśnia, dlaczego mężczyźni lubią czasem seks z kobietami, które są mało inteligentne lub mniej inteligentne od nich; wtedy czują, że nie muszą tak bardzo się starać, bo aż tak im nie zależy, aż tak nie muszą się zaprezentować. I mogą czuć się swobodnie. Zdarza się więc, że fantazje realizowane są z osobą przygodną, na przykład poznaną na wyjeździe integracyjnym firmy. Jeśli nic do niej nie czujemy, mamy większą swobodę i pewność siebie.

To dlatego wielu mężczyzn woli realizować fantazje z kochankami, a nie z żonami.

– Tak. Bo żona będzie oceniać, a kochanka nie. No a jeżeli nawet będzie oceniać, to łatwo się wymiksować z tej relacji. Pamiętajmy: mamy prawo mieć fantazje, których nigdy nie urzeczywistnimy, fantazje, które z wielką chęcią wprowadzimy w życie, i fantazje, które realizujemy tylko częściowo. To my ostatecznie o tym decydujemy.

Czasami boimy się sami przed sobą przyznać, że podnieca nas ta czy inna wizja.

o gwałcie analnym. Ponieważ ta fantazja wracała do niego bardzo długo, uznał, że chce tego. Został w ten sposób wykorzystany seksualnie przez kobietę, z którą umówił się przez portal o tematyce stricte erotycznej. Ona zrobiła to za pomocą strap-onu, czyli dilda z uprzężą. I ten mężczyzna wyznał mi, że ten akt seksualny okazał się dla niego traumą. Żałował tego bardzo, czuł się fatalnie.

Znam też inną historię, w której mężczyzna miał ochotę na seks z prostytutką, taką „zmęczoną życiem”, jak sam to ujął, pozbawioną urody, zaniedbaną. I z taką kobietą się umówił, i przeżył wstrząs. Potem czuł do siebie wielkie obrzydzenie. **Wniosek? Nie wszystkie fantazje powinny wybrzmieć w realu...**

– Doradzam, aby za każdym razem głęboko przemyśleć sprawę, szczególnie w przypadku, kiedy fantazja jest postrzegana jako, powiedzmy, kontrowersyjna czy przekraczająca granice, jak choćby właśnie ta o gwałcie analnym.

W jaki sposób ktoś może sprawdzić, na ile to jest jego fantazja, która nie powinna być realizowana?

– To bardzo skomplikowane. Generalnie warto mieć świadomość tego, że wszystkie fantazje mają coś, czego nie posiada real, czyli naszą

tylko dla siebie, nie dzieląc się tym tematem z partnerem czy partnerką. Fantazje więc służą im tylko do masturbacji, a przecież można by je realizować w parze, tylko wiele osób się wstydzi o tym opowiedzieć. Ktoś marzy o seksie z panią strażak? To niech kupi taki strój dla ukochanej i poprosi o stosowne odegranie roli. Przede wszystkim należy pamiętać o bezpiecznym, świadomym seksie, czyli między innymi stwarzać takie sytuacje, z których obie strony zawsze mogą się wycofać.

To ważne. Szczególnie w sytuacjach, kiedy partnerzy umawiają się na seks BDSM, czyli przemocowy. I jedna strona krzyczy: „Stop! Mam dość”, a druga na to nie zważa, bo to wydaje się elementem seksualnej gry...

– W takich przypadkach warto umówić się na ustalone wcześniej hasło – symbolicznego „pomidora” – które powinno zostać użyte w momencie, gdy ktoś chce przerwać grę seksualną. Trzeba też pamiętać, że jest pewne ryzyko, jeżeli jesteśmy w sytuacji seksualnej z osobą pod wpływem alkoholu czy narkotyków typu kokaina albo mefedron. Ktoś może



Fragment książki Magdaleny Kuszewskiej *Chciałbym... Męskie fantazje seksualne*, Znak Horyzont, Kraków 2022

Tak kończy Przyłębski

Trwa serial, a nawet już telenowela z powrotem ambasadora Andrzeja Przyłębskiego z Berlina. Zapowiadany był ten powrót w ubiegłym roku, po pięciu latach. W trakcie przyjęcia z okazji Święta Niepodległości 11 listopada ambasador zapowiedział, że zjedzie za kilka miesięcy, czyli na początku 2022 r. Podczas spotkania 31 stycznia 2022 r. pożegnał się z podwładnymi. O tym spotkaniu poinformowała rządowa PAP, która również zamieściła pożegnalny wywiad z ambasadorem. Czyli koniec?

Może tak, może nie. Ani PAP, ani Kancelaria Prezydenta nie podały bowiem informacji o odwołaniu ambasadora. Takiego oficjalnego komunikatu nie ma. MSZ nie przekazało także wiadomości o rozwiązaniu z nim stosunku pracy, co następuje po odwołaniu przez ministra spraw zagranicznych ambasadora niebędącego pracownikiem służby zagranicznej. Mamy zatem ambasadora na najważniejszej sąsiedzkiej placówce czy nie?

Coś jest w tej sprawie niezatwione. Otóż na stronach MSZ RFN widnieje nazwisko Pawła Sergiusza Gronowa jako kierującego ambasadą RP w Niemczech. Natomiast na stronie internetowej naszej ambasady w Niemczech nie kieruje nią nikt. Nie wiemy, czy Paweł Sergiusz Gronow zastępuje pana Przyłębskiego, bo ten pojechał na święta do Warszawy i wróci, czy też będzie kierował ambasadą jako chargé d'affaires do przyjazdu następnego ambasadora.

Może kierować długo, bo – jak się dowiadujemy – poszukiwania (od listopada!) nowego ambasadora w Niemczech wciąż są bezowocne (chyba że

w ostatnich dniach coś się zmieniło). A to nie jest mądre. W czasie wojny w Ukrainie i przy pełnej wahań polityce Niemiec w tej sprawie powinniśmy mieć w Berlinie ambasadora, i to z najwyższej półki. Dyplomaty, który potrafiłby docierać z naszym przesłaniem do gospodarzy. Zarówno tych z kręgów polityki i wielkiego biznesu, jak i zwykłych zjadaczy chleba. Potrzebny jest ktoś wiarygodny i przekonujący.

Oczywiście wszyscy wiemy, że tak zawieszona poprzeczka eliminuje Andrzeja Przyłębskiego. Tym ważniejsze jest, by jak najszybciej posprzątał po sobie w Berlinie. Tymczasem, jak mówią nam wiewiórki, Przyłębski nie złożył wizyt pożegnalnych ani, co powinno być jego ostatnią czynnością jako ambasadora, wniosku w Auswärtiges Amt o agrément dla swojego następcy. I, jak możemy przypuszczać, nie złoży.

O co chodzi? Korytarz w MSZ komentuje tę sprawę przypuszczeniami, że może chodzić o to, by pan Przyłębski nadal brał dodatek zagraniczny (ok. 6 tys. euro). Inna wersja mówi, że poszukiwanie jego następcy (następczyni) i złożenie wniosku o agrément skutecznie blokuje żona, właścicielka trybunału swojego imienia, urzędująca po drugiej stronie alei Szucha. I stawia prosty warunek – zgodzi się na oficjalne odwołanie męża i na to, by przestał pobierać każdego miesiąca wspomniane 6 tys. euro, gdy mężowi zostanie zaproponowana godna jego osoby synekura. A tu, proszę, wszystkie posady zajęte...

Hej, panowie Morawiecki i Rau, nie znajdziecie niczego dla takiego asa?

Attaché

Zdjęcie z nagrodzonego na World Press Photo reportażu Brazylijczyka Lali de Almeidy. Członkowie ludu Mundurucu w kolejce do samolotu. Po protestach w miejscu budowy tamy na rzece Xingu wyruszyli do stolicy na spotkanie z władzami.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- imię młociarki Włodarczyk
- ach, co za zapach!
- do zegarka lub ozdoba na nadgarstku
- struna łącząca końce łuku
- o ostrzeżeniu, poufnej informacji
- nabywa wprawy pod okiem majstra
- materiał dla cieśli
- jej podstawowym pojęciem pole elektromagnetyczne
- okrzyk znalazcy rozwiązania
- drobiazg z logo firmy

- masyw górski z Turbaczem
- prostak, ordynus
- lodołom
- zjesz ją lub posiedzisz na niej
- i rzeźbiarz Alfons, i rzut na boisku
- 1 z 42 na trasie maratonu
- tragedia z lasem Birnam
- „Czerwone... na Monte Cassino”
- robiona dobra do złej gry
- przekwitły...lekowski to dmuchawiec
- oddanie czegoś do czasowego użytku za zapłatą
- z zalanych wrzątkiem ziół
- naprzykrzają się, wtrącają
- mgła lub wyziew
- przysmak Kłapouchego
- ociężałość i senność
- dobudowany między dwoma budynkami
- wiatru lub świeżości
- cecha obca łgarzowi
- piesek z dobranocki
- ...wojenny – korespondent wojenny
- część instrumentu wzmacniająca dźwięk
- suszone winogrona
- azalia, rododendron
- na niego – po przekątnej
- oceniane zachowanie ucznia

- nagraniowe lub telewizyjne
- ...Achillesa, inaczej piętowe
- papierową podziwiał ołowiany żołnierz
- wyściełanie materiałem mebli
- nadźwiga się w pracy
- Gdańsk, Gdynia i Sopot
- celna, monetarna, personalna
- Magnitogorsk nad tą rzeką
- o psychice, życiu duchowym
- templariuszy albo maltański
- atrofia
- na ringu lub w instalacji elektrycznej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1061”. Do rozlosowania książki „Kobiety z obrazów” ufundowane przez Wydawnictwo Marginesy. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 kwietnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1058” z nr. 14: Błędy to droga do prawdy.
Nagrody otrzymują: Mirosława Gierczyńska z Katuszyna, Janusz Koćwin z Opola, Monika Wiczorek ze Starachowic.

PENETRACJE

odra

**PROF. ANNA
PACZEŚNIAK,**
UNIWERSYTET WROCŁAWSKI

Opozycja musi mieć świadomość, że niezależnie od tego, kiedy przejmie władzę, ścisła relacja między PiS a jego elektoratem nie zniknie. I niezależnie od tego, czy ci ludzie będą systematycznie wyprowadzani na ulice, czy nie, będą dla nowych rządzących realnym problemem. Ta relacja wzięta się także z umiejętności wyciągania przez PiS wniosków z wyników sondaży. Oczywiście nie tych, które publikują co tydzień gazety, ale tych zamawianych przez partię na własny użytek. Ta umiejętność czytania sondaży to gwarancja, że poparcie dla niej nie spadnie poniżej pewnego poziomu.

**MONDE
diplomatique**

RÉMI CARAYOL,
GEOGRAF,
LAURENT GAGNOL,
DZIENNIKARZ

Uważna analiza ostatnich zdjęć satelitarnych ujawnia istnienie zaskakującej liczby piaskowych umocnień. Sahara opisywana często jako szeroki, pustyнный pas bez granic, „szara strefa”, gdzie kwitnie przemysł broni, narkotyków, papierosów i paliwa i gdzie bez przeszkód krążą przemytnicy, rebelianci, dżihadystyczni bojownicy i migranci, jest w rzeczywistości zamknięta przez ogromne bariery z pia-

sku ciągnące się od Oceanu Atlantyckiego po Morze Czarne.

zwierciadło **ALEXANDER
PORAJ-ZAKIEJ,**
TEOLOG, MISTRZ ZEN

Nie żyjemy na próbę, na przyszłość i być może nie żyjemy na jakąś wieczność. To nie jest tak, że ja uważam, że życia po śmierci nie ma. Życie jest, tylko być może nie ma już tej jednostki, świadomości „ja”. Jestem przekonany, że życie będzie się dalej toczyło bez nas. Tak jak toczyło się, zanim się pojawiliśmy. I być może będzie bez nas o wiele ciekawiej. Po prostu nie uważajmy się za aż tak ważnych.

PANI **KINGA DĘBSKA,**
REŻYSERKA

Mąż (Zbigniew Domagalski) zawsze mi powtarza: „Pisz sama, pisz o sobie, wtedy najlepiej ci to wychodzi”. Najważniejsze moje filmy zrobiliśmy razem: „Moje córki krowy”, „Zabawa, zabawa” i „Zupa nic”. Najcenniejsze w związku jest to, żeby móc przy drugiej osobie rozkwitnąć. Rozwinąć skrzydła jak motyl. Dokładnie tak rozwinęłam skrzydła przy Zbyszku. Wcześniej, mimo że skończyłam japonistykę i reżyserię, miałam poczucie nieadekwatności, niedopasowania. Przy Zbyszku poczułam, że teraz będę fruwać.



Walka o jedzenie w najsympatyczniejszym nawet zwierzęciu budzi bestię.

FOT. SOLENT NEWS/EAST NEWS

Aby język giętki...

**KRYSTYNA ZACHWATOWICZ
O POWSTANIU WARSZAWSKIM**

To był okropny błąd. Absolutnie nie wolno było tego robić.

MAGDA UMER O KRYSTYNIE JANDZIE

Mój mąż mówił, że jak wracałam z wakacji z Krysią, to dwa razy szybciej chodziłam, dwa razy szybciej mówiłam i byłam innym człowiekiem.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O PRAWIE

Nowoczesne prawo zostało wymyślone po to, żeby było kagańcem dla polityki. W związku z tym czasami polityka usiłuje się z tego wyzwolić.

**KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ
O WIARYGODNOŚCI OPOZYCJI**

Czy z kanapy w Warszawie można walczyć o prawa robotnika z Przasnysza?

**DOROTA WELLMAN
O FLADZE UNII EUROPEJSKIEJ**

Krystyna Pawłowicz nazywała ją szmatą, prezydent Duda wyrzucił z prezydenckiego pałacu, premier Szydło usunęła z konferencji prasowych.

**JULIUSZ MACHULSKI
O FILMIE „VABANK”**

Scenariusz napisałem w Bułgarii, w Pomoriu, gdzie byłem na wczasach z rodzicami. Chorowałem na zapalenie płuc i pisałem ręcznie, w dużym brulionie.

**JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI
O ŻONIE EWELINIE**

Dla mojego ścisłego umysłu spotkanie czytanej polonistki było wielkim szczęściem.

**AGNIESZKA HOLLAND
O FELIKSIE FALKU**

Był przystojny, uwodzicielski i podobał się kobietom. Pewny siebie, a jednocześnie trochę podejrzliwy, nieufny.

ANNA SENIUK O CÓRCIE MAGDZIE

Mam wyrzuty sumienia, że często na jej prośby odpowiadałam: „akurat nie mogę, mam spektakl, próbę...”.



Nietanie orbitowanie

55 mln dol. za osiem dni pracy? Brzmi jak marzenie, ale... Po pierwsze, miejscem wypełniania obowiązków była Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, po drugie, mowa nie o zarobkach, ale o kwocie, którą trzeba było zapłacić. Na takie wpisowe zdecydował się każdy z trzech mężczyzn, którzy w ramach misji Ax-1 firmy Axiom Space byli kimś więcej niż turystami – na pokładzie stacji wykonywali eksperymenty naukowe. Żeby wymyślić taki model biznesowy, trzeba mocno stąpać po Ziemi!

Wszyscy mamy równe... nosy

Postrzeganie miłych woni oraz fetorów nie jest uwarunkowane kulturowo – wynika z badań, których podsumowanie opublikował magazyn „Current Biology”. Naukowcy poprosili 280 osób, wśród których znaleźli się m.in. przedstawiciele rdzennych ludów łowiecko-zbierackich i tradycyjnych społeczności rolniczych, ale i mieszkańcy nowoczesnych metropolii, o uszeregowanie 10 zapachów od najprzyjemniejszego do najohydniejszego. Gremialny entuzjazm wzbudziły aromaty wanilii i ananasa, uniwersalny wstręt zaś – smród kwasu izowalerianowego, przywodzący na myśl nieświeże onuce. Zgadujemy, że jeszcze jedno mamy wspólne: pecunia w żadnej kulturze non olet.

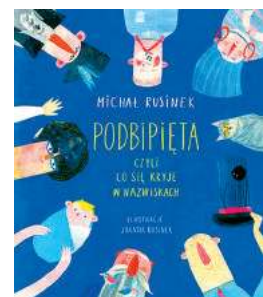
Stary, dobry Ludwig van

Do długiej listy czynników decydujących o tym, jak daleko zajedziemy autem elektrycznym na jednym ładowaniu, należy dopisać muzykę, którą umilamy sobie podróż. Do takiego wniosku doszedł koncern motoryzacyjny Kia, który przeprowadził stosowne eksperymenty wspólnie z dr. Duncanem Williamsem, psychoakustykiem z Uniwersytetu Salfordzkiego. Firma ustaliła m.in., że na zasięg dobrze wpływa słuchanie IX symfonii Beethovena, skutkujące spokojnym (a więc i oszczędnym) stylem jazdy, a odwrotny efekt wywołuje „Blinking Lights” The Weeknd. Podpowiadamy slogan: do elektryka tylko klasyka!

CO SIĘ KRYJE W NAZWISKACH

W naszych nazwiskach kryje się historia, nie tylko prywatna – także historia miejsca, z którego pochodzi nasza rodzina, zawód wykonywany przez jakiegoś naszego przodka albo jego przezwisko. Skąd się wzięło nasze nazwisko?

Dawniej nazwiska powstałe od rodowych siedzib nosili wyłącznie arystokraci i szlachta. Dopiero na przełomie XVII i XVIII w. nazwiska zakończone na „-ski” pojawiły się wśród mieszczan: Krakowski pochodził z Krakowa, Miechowski z Miechowa lub Miechowic koło Bytomia, Bocheński z Bochni, Kaliski z Kalisza, Gdański z Gdańska, Zatorski z Zatora itd. Takie nazwiska noszą także mieszkańcy wsi: Batorski (z Batorskiej Woli), Czarkowski (z Czarkowa), Kamiński (z miejscowości Kamień), Kruszyński (z Kruszyn lub Kruszyny), Malinowski (z Malinowa), Padziński (z Padzina) itd.



**Fragment z książki
Michała Rusinka
*Podbięta, czyli co się
kryje w nazwiskach,*
Znak Emotikon,
Kraków 2022**



Naturalny wdzięk i uroda.

Po pierwsze i po drugie: bezpieczeństwo

W San Francisco z kolei autonomiczny samochód zatrzymał się na policyjne wezwanie do kontroli, by po chwili niespodziewanie odjechać. Chevrolet Bolt, naszpikowany technologiami do „odczytywania” drogi, ponownie stanął kawalek dalej, z włączonymi światłami awaryjnymi. Realizował po prostu procedurę, która zakazuje mu postoju w miejscach o dużym ruchu. Czy to już ten moment, że przeciętne nowe auto jest rozsądniejsze od przeciętnego kierowcy?

Mają ich!

W Nowym Jorku najemcy mieszkań zyskali cenny oręż w walce o swoje prawa. Powszechne w tym mieście jest tworzenie osobnych spółek do zarządzania poszczególnymi budynkami. Dzięki stronie Who Owns What, która analizuje publiczne rejestry, każdy lokator ma możliwość łatwego sprawdzenia, kto jest prawdziwym właścicielem i jak z tym kimś się skontaktować. Co więcej, narzędzie dostarcza informacji o złożonych skargach, eksmisjach, zwolnieniach podatkowych itd. Trzymamy kciuki, by oznaczało to koniec spółek z nieograniczoną nieodpowiedzialnością.

TYGODNIK
ANGORA
PRZEGLĄD
PRAŚY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ.

**OSZCZĘDZASZ
CZAS I PIENIĄDZE**

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA (3), MEDIA DRUM/EAST NEWS

eprasa.pl b04e9a2f0f



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachowna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytary: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat funkcji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADzie bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

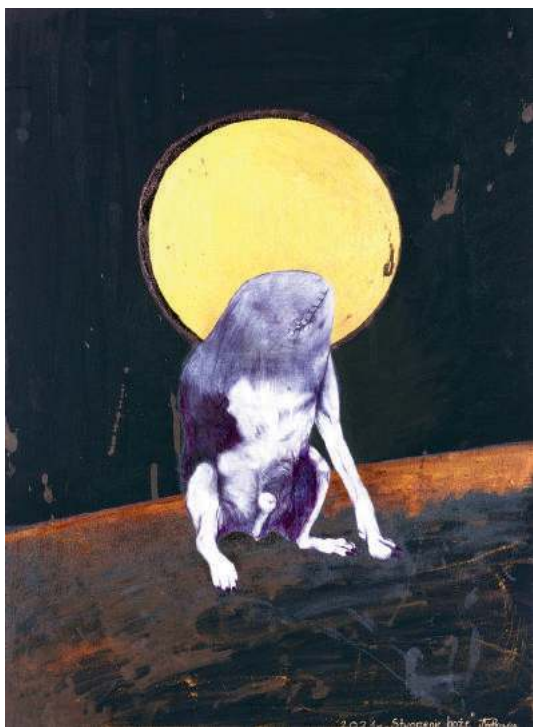
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Michał Piotrkowicz, Stworzenie Boże

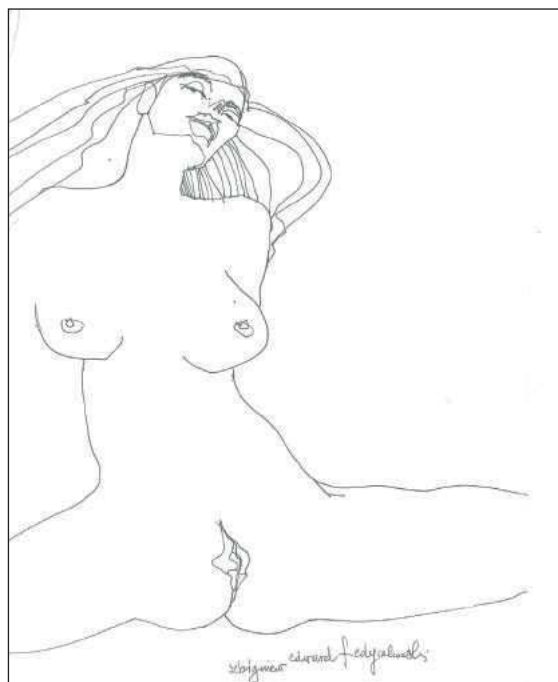


Konrad Wiśniewski, Dobra samarytanka

Łukasz Zbroja, Róża



Ciało nieobce



Zbigniew Edward Fedyczkowski, bez tytułu

„Ciało nieobce” to spotkanie bardzo różnych form wypowiedzi artystycznej. Przy czym ciało jest tu traktowane przez twórców jako pretekst lub bezpośrednie narzędzie. Prace tworzą przestrzeń przede wszystkim do stawiania pytań o istotę naszej integralności. W wystawie biorą udział: Karolina Cecot, Zbigniew Edward Fedyczkowski, Daria Infanti, Tymoteusz Lekler, Danuta Milewska, Michał Piotrkowicz, Konrad Wiśniewski, Łukasz Zbroja. Goście specjali: Koji Kamoji i Włodzimierz Borowski z wideo performance’em „Basho”. Finisaż wystawy 23 kwietnia połączony z performance’em „8 kawałków, 1 taniec” Danuty Milewskiej w galerii Ikikata.

Ikikata Art

Podkowa Leśna, ul. Wiewiórek 18



Tymoteusz Lekler, bez tytułu



FUNDACJA EMERYT

Pomóżmy Sobie Wzajemnie

Szanowni i drodzy Przyjaciele Seniorów!

**Pomóżmy
sobie wzajemnie**

**1% PIT PODARUJ
SENIOROM**

KRS 0000161452



Fundacja „EMERYT”
ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa
tel.: (22) 620 40 44
www.fundacja-emeryt.org
e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org

Prosimy o przekazanie nam 1 % PIT-u na działalność statutową.
Na stronie PITax.pl możesz skorzystać z programu do rozliczenia
podatku PIT dla Fundacji „EMERYT”:
<https://www.pitax.pl/rozliczenie-pit-online-0000161452/>

Dziękujemy za wszelkie wsparcie naszej wieloletniej działalności.

Z serdecznymi pozdrowieniami
SENIORZY Fundacji „EMERYT”



Srebrny Niedźwiedź
71^e Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Najlepszy Reżyser



W ŚWIETLE DNIA

REŻYSERIA DÉNES NAGY

Jeden z najciekawszych
europejskich debiutów

GŁĘBOKI I PIĘKNIE SFOTOGRAFOWANY DRAMAT ZWYKŁYCH LUDZI
NA TLE WIELKIEJ HISTORII

w kinach od 22 kwietnia

